

Jerzy Edigey:

BABA-JAGA GUBI TROP:

WIELKI SEN 2011

Redaktor serii Grzegorz CIELECKI

Projekt okładki i logo serii Rafał BARTLET

Redakcja techniczna Anna LEWANDOWSKA

Korekta Zbigniew KOWALEWSKI

Jerzy STRZAŁKOWSKI

ISBN 978-83-62391-44-8

Wydawnictwo WIELKI SEN Al. Jana Pawła II 65/90, 01-038 Warszawa tel. 0-502-322-705 www.klubmord.com, prezesik13@wp.pl

Rozdział I

UPARTY CZŁOWIEK W POCZEKALNI

Padał deszcz.

Jak zresztą w tym roku prawie codziennie.

Mimo lipca ulice bardziej przypominały jesień niż środek lata.

Przechodnie szybko przemykali między dużymi kałużami.

Człowiek, który wysiadł z tramwaju przy ulicy Zygmuntowskiej, rozglądał się chwilę, a potem niepewnie ruszył w stronę kościoła Św.

Floriana.

Przez moment wahał się, czy dalej iść ulicą Floriańską, czy obrać trasę biegnącą z drugiej strony kościoła.

Rozglądał się szukając tabliczek z nazwą ulicy, a nie znalazłszy jej ruszył powoli przed siebie.

Minął kaplicę z dużym napisem "Orapro nobis", przeciął ulicę Wójcicką i wreszcie znalazł przybity na narożniku prostokątny kawałek blachy "ulica Sierakowskiego".

Szedł teraz szybciej, nie zważając na szeroko rozlaną kałużę wody na chodniku. Jego długie buty były chyba naprawdę nieprzemakalne, gdyż nie patrzył pod nogi i rozpryskiwał wodą na wszystkie strony.

Wreszcie znalazł się przed dużym, szarym, pięciopiętrowym gmachem.

Przy wejściu wisiała tabliczka "Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej".

Nieznajomy przeczytał uważnie napis, chwilę się namyślał, po czym położył rękę na klamce, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Znalazł się w małym korytarzyku, w którym stało kilku milicjantów.

Z lewej strony widać było małe okienko, - w nim rezydował starszy sierżant MO.

- Obywatel w jakiej sprawie?

- dyżurny milicjant zagadnął człowieka w cyklistówce.

Chciałem się widzieć z komendantem.

5.

- Z komendantem wojewódzkim?

- zdziwił się milicjant.

-Czy obywatelma wezwanie?

- Nie, ale mam pilną sprawę i muszę mówić z komendantem.

Milicjant wskazał okienko.

Nieznajomy podszedł doń za chwilęcały dialog się powtórzył.

- W sprawieskarg i zażaleń komendant wojewódzkiprzyjmuje co tydzień w każdy poniedziałek między godzinądziesiątą a dwunastą - wyrecytował jak z nut starszy sierżant.

- Dzisiaj jest środa, niech obywatel przyjdzie w poniedziałek za pięć dni.

Mogę obywatelaod razuzapisać.

- Aleja się muszęzobaczyć z komendantem dzisiaj.

-Dzisiaj towykluczone.

Komendant przyjmuje w każdy poniedziałek.

- Nie mam żadnej skargi ani zażalenia.

Mam bardzoważnąsprawę.

- Toprzyjdźcie, obywatelu, w poniedziałek.

-W poniedziałekmogę już nie żyć.

- Eh, nie przesadzajcie, obywatelu.

Wcale nie wyglądacie nachorego.

Zdrowy mężczyzna, opalony, a i niestary.

Pewnie nie więcej niż 48 lat,nonie?

- Już czterdzieści dziewięć stuknęło.

-A nie mówiłem - ucieszył się starszy sierżant.

-Jamam oko.

Tylko o parę miesięcy się omyliłem.

A ze zdrowiem też mamrację?

- Nietylko chorzy prędko umierają - odpowiedział człowiek w cyklistówce.

- Nieraz i zdrowi giną.

Na przykład odkuli.

- Zdarza się.

Giną.

Zwłaszcza u nas, w milicji.

Ktośwam, obywatelu, groził?

- Właśnie tym chciałem porozmawiać z komendantem.

-Z samym komendantem wojewódzkim?

Ładnie byśmy wyglądali, gdyby tak każdy z jakimś głupstwembiegał do pana pułkownika.

Skierujemy was do odpowiedniego referatu i tam was załatwią.

- Będę rozmawiał tylko z komendantem wojewódzkim.

Znikimwięcej.

6

Sierżant zafrasował się.

- Tak nie można, obywatelu.

Wszystkomusi iść drogą służbową.

Są u nas specjaliści.

Porucznicy, kapitanowie, referenci, naczelnicy wydziałów.

Każdy pilnuje swoich spraw, a komendant nad wszystkimi.

A gdy coś źle, to komendant przyjmuje w każdy poniedziałek między dziesiątą a dwunastą.

Zaraz was zapiszę.

Dajcie swój dowód.

- Muszę mówić komendantem wojewódzkim i tylko z nim.

Konieczniesz dzisiaj.

Tu chodzi nie tylko o mnie, ale i życie kilku ludzi, moich najbliższych.

- Kiedy komendanta nawet niema w gmachu.

Z samego rana wyjechał do ministerstwa.

Nie wiadomo, o której godzinie wróci i czy wogóle jeszcze dzisiaj przyjedzie do biura.

Zadzwoń do sekretarki.

Albo lepiej do zastępcy komendanta.

Sierżant nakręcił jakiś numer, tłumaczył przez chwilę komuś całą sprawę, a potem położył słuchawkę i powiedział:

- Poczekajcie, zaraz zatelefonują, czy zastępca komendanta będzie mógł was przyjąć.

- Będę rozmawiał tylko z komendantem.

- Nie bądźcie dzieckiem, obywatelu.

Zastępca to samo co komendant.

- Nie chcę rozmawiać z zastępcą.

Właśnie odezwał się brzączek aparatu telefonicznego.

Sierżant podniósł słuchawkę i służbiście zameldował:

- Obywatelu pułkowniku, jest tu jeden obywatel, aleni chce podać ani swojego nazwiska, ani w jakiej sprawie przyszedł.

Mówi, że bardzo ważna.

Chodzi o jego życie.

Mówi, że powie tylko samemu komendantowi.

Nawet, z przeproszeniem obywatela pułkownika, z nim też nie chce rozmawiać.

Co mam robić?

Tak jest!

Niech czeka.

- Pułkownik powiedział, że jeżeli obywatel chce, to może czekać.

Gdy komendant wróci, to sam zdecyduje, czy was przyjmie.

Usiądźcie w poczekalni.

Co za lato!

Wisłażnowu wylała i podchodzi aż pod wał.

Zmartwienie z tą pogodą.

Zimno i błotojak w listopadzie.

- A co dopiero ja mam mówić?

- zauważył nieznajomy.

- Ja i inniogrodnicy?

Cała sałata wygniła, ogórki sadzili7.

śmy już trzy razy.

Owocównie ma, kalafiorzy zielone.

Tylko cebuli woda mniejszkodzi.

- Wczoraj kupiłem kalafiora.

Mały jakpieść, akosztował aż sześć złotych - wtrącił się do rozmowy milicjant dyżurny.

- A ile ma kosztować, kiedy pada i pada.

Nie wyrosły nie wiadomo jak zbierać.

Popracuj pansam przy takiej pogodzie w polu!

Na kolanach przy pieleniu.

Płacimy po 200 złotych za dzień i nie ma chętnych.

Gdy która kobieta z tydzień porobi, to więcej nie przyjdzie roboty, bo albochora, albo ma dosyć paprania się w błocie.

A ogrodnikchoćby chciał, to własnymirękoma wszystkiego nie uprawi.

Pracujemy od czwartej rano aż do zmierzchu, żebyuratować przed wygniciem, co tylko się da.

Mówi się, że badylarze są milionerami.

Prawda, są tacy, ale ciężkiej pracy nikt im chyba nie zazdrości.

Nieznajomy wytarł starannie buty i usiadł na krześle.

Wyjął z kieszeni gazetę i zaczął czytać.

Po jakimś czasie złożył ją starannie i schował do kieszeni.

Siedział nie poruszając się prawie, ze wzrokiem skierowanym w drzwi wejściowe.

Te otwierały się od czasu do czasu, aby wypuścić lub wypuścić interesantów, bądź milicjantów wchodzących tutaj lub opuszczających gmach komendy.

Tak minęły przeszłodwie godziny.

Człowiek w cyklistówce podniósł się z krzesła i skierował ponownie do okienka.

- Jeszcze komendant nie wrócił, musicie czekać - poinformował go starszy sierżant.

- Chciałbym kupić sobie coś do jedzenia.

Od czwartej ranonic w ustach miałem.

Czy zdążę?

- Naturalnie.

Komendanta nie ma i w ogóle nie wiadomo, czy wróci.

Ja bym wam jednak radził iść do zastępcy.

- Nie!

- Nieznajomy był uparty.

- Będę rozmawiał tylko z komendantem.

- No to idźcie na Targową.

Zaraz na rogu jest bar.

A ja się dowiem, czy pan pułkownik przyjedzie jeszcze dzisiaj do biura.

Nieznajomy zapiął prochowiec, postawił kołnierz i wyszedł z gmachu.

- Ale się uparł - dziwił się milicjant dyżurny.

- Koniecznie z samym pułkownikiem i znikim więcej.

- To jakiś spokojny facet.

Jużja mamoko - pochwalił się sierżant.

- Mówił, że jest ogrodnikiem.

Pewnie z tych badylarzy z grójeckiego.

Nie wygląda na takiego, co z byle głupstwem na milicję leci to do samej władzy.

Widocznie coś go mocno przycisnęło.

A może chce się przyznać do jakiegoś przestępstwa?

Tak jak ten, co żonę zabił, i przyszedł w ubiegłym tygodniu.

Też nie chciał zniknąć, tylko z samymi pułkownikami.

- Ej, chyba nie.

Nie wygląda na takiego, co kogoś zamordował.

- A tamten wyglądał?

Takie miał niewinne, niebieskie oczka jak u małego dziecka, a żonę siekierą porąbał na ćwiartki.

Różni się ludzie i różne mają sprawy.

- Ciekawe, czy go komendant przyjmie?

- Jeżeli przyjdzie, to przyjmie.

Trochę się pozłości, zemu żyć nie dają, ale w końcu może przepustkę wystawić.

Nie znasz naszego starego?

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby kogoś nie załatwił.

A potem na mnie naskoczy: "Nie mogłeś - powie - skierować go do referatu, tylko od razu do mnie?"

"A jak tu takiego przekonać, kiedy uparty jak kozioł?"

- Spokojny dziś dzień - zauważył milicjant.

- Na taką pogodę nawet psa żal wypędzić.

Jak ktoś niemusi, w ten deszcz do nas nie przyjdzie.

No, zadzwonię nagórę, czy pułkownik dzisiaj będzie.

Sierżant połączył się sekretariatem komendanta, gdzie dowiedział się, że pułkownik telefonował z ministerstwa.

Przyjdzie dopiero przed trzecią podpisać papiery.

Nikogo nie będzie przyjmował.

Nie upłynęło i pół godziny, jak człowiek w białym prochowcu powrócił do gmachu KWMO.

Wysłuchał informacji, że komendant wróci tylko na krótko dla załatwienia najpilniejszych spraw, i powiedział:

- Poczekam.

Muszę widzieć się z komendantem.

Dyżurny milicjant wzruszył ramionami.

Nieznajomy zajął swoje poprzednie miejsce na krzeselku w holu.

Przymknął oczy, wyglądało nawet, że drzemie, ale na każdy

szelest otwieranych drzwi ogrodnik spod lekko rozchylonych powiek obrzucał wchodzącego bacznie, pytającym spojrzeniem.

Elektryczny zegar wiszący w holu powoli odmierzał minuty, kwadransy i godziny.

Już tylko parę minut brakowało trzeciej po południu, gdy rozległ się warkot samochodu hamującego przed wejściem.

Za chwilę do budynku wszedł mężczyzna średniego wzrostu, w cywilnym ubraniu i granatowym, podgumowanym płaszczu.

Był bezkapełusza.

Na widok wchodzącego milicjanci wyprężyli się w postawie zasadniczej. Odpowiedział im skinieniem głowy trzymając w lewej ręce żółtą, dość wytartą teczkę, szybko przeszedł hol i wbiegł na schody.

- Pułkownik przyjechał - zrobił uwagę jeden z milicjantów.

Interesant czekający tyle godzin zerwał się z krzesła i podszedł do okienka.

- Aż się boję dzwonić na górę - zawahał się sierżant.

- Przyjdźcie, obywatelu, jutro.

- Muszę dzisiaj zobaczyć się z komendantem.

Nie wyjdę z tego gmachu.

Choćbyście mielennie zamknąć.

Niech pan zrozumie, że tu chodzi o życie.

Starszy sierżant sięgnął po słuchawkę.

Długo tłumaczył sekretarce, że pewien interesant prosi komendanta o osobistą rozmowę.

Czeka przeszło pięć godzin i mówi, że nie wyjdzie.

Upłynęło przeszło dwadzieścia minut.

Po godzinie trzeciej schody zaroily się tłumem osób cywilnych i w mundurach.

Wielki gmach opustoszał prawie całkowicie.

Wreszcie telefon na stole starszego sierżanta odezwał się znów cichym dzwonkiem.

- Obywatelu, pułkownik pyta o wasze nazwisko.

- Piotr Salamucha, ogrodnik spod Nadarżyna - recytował niepokoje w głosie badylarz.

Ważły się jego losy.

Czy będzie przyjęty?

- Komendant pyta, czy to ważna sprawa?

- Przysięgam, że chodzi o życie!

- On mówi, że chodzi o życie - starszy sierżant powtórzył sekretarce odpowiedź ogrodnika.

- Tak jest.

Już go

przysyłam.

Sierżant położył słuchawkę i jednemu z milicjantów wydał polecenie:

- Dworakowski, zaprowadźcie obywatela do sekretariatu komendanta - powiedział, po czym dodał zwracając się do dyżurnego: - Mówiłem, że stary go przyjmie.

A potemnie zwymyśla.

Milicjant zaprowadził Piotra Salamuchę na pierwszepiętro, do pokoju, w którym urzędowała sekretarka szefa.

Ta poleciła ogrodnikowi zdjąć płaszcz i powiesić na wieszaku, a następnie czekać na wezwanie.

Podziesięciu minutach brązowedrzwi otworzyły się.

Stanął w nich komendant i spoglądając na upartego interesantawesoło zapytał:

- No, panie Salamucha, copana do mniesprowadza?

Proszę do gabinetu.

Ogrodnik wszedł do pokoju sporych rozmiarów.

Pułkownik wskazała jeden z foteli, sam usiadł na sąsiednim i powtórzył pytanie:

- Co pana do mnie sprowadza?

-Wczoraj wieczorem, gdy siedzieliśmyz rodziną wpokoju przy kolacji, ktośiedem razykolejno strzelałdo nasprzez otwarteokno.

11.

Rozdział II:

300 000 ZŁOTYCH OKUPU

- Strzelali dowas?

Kto strzelał?

Dlaczego?

- pułkownikzadał od razu kilka pytań.

-Ale nic się nikomunie stało?

- Strzelał ten, kto chce pieniędzy.

Siedzieliśmy naokołostołu, przy kolacji.

Okno było otwarte, bo wieczoremniepadało.

Akurat podnosiłem szklanę z herbatą do ust, a tunagle huk strzału i coś mi bzyknęło nad głową.

Krzyknąłem: "na ziemię!

" i sam położyłem się pod oknem.

Jeszcześże raz strzelił.

Wszystkie kule poszły w ścianę.

- Nikogo nie trafił?

-Nie!

Trafić to on pewnie nawet nie chciał.

Pisał,żeprzysła jeszcze ostatnie ostrzeżenie.

- Panie Salamucha, proszę opowiedzieć od początku,kolejno, bo nic nierozumiem.

Jakie ostrzeżenie?

- Tak będzie najlepiej - zgodził się ogrodnik i wyjąwszyz kieszeni parę niebieskich kopert zaczął swoją opowieść.

-W połowie czerwca listonosz przyniósł mi list.

Adres pisany na maszynie, koperta niebieska.

Myślałem, żejakieśurzędowe wezwanie.

Otwieram i czytam.

Oto ta kartka.

Komendant wojewódzki rzuciłokiem na podany mukawałek papieru.

Panie Salamucha!

Weźmie pan z banku 200 000 złotych w banknotach po 500 złotych.

Pieniądzezawinie pan w szmatkę, którą załączam.

Pakunekpołoży pan w Jankach Małych 17czerwca o godzinie 10 rano.

Pakunek należy położyć poddrzewemrosnącym za przystankiemPKS,alenię od strony szosy, tylko z przeciwnej, tak aby nie było widać.

Niewolno o tymliście zawiadamiać milicji.

Śmierć albo pieniądze!

12

Karta nie miała żadnego podpisu.

- W kopercie - wyjaśniał dalej Salamucha - była jeszcze ta chusteczka- to mówiąc wyjąłz kieszeni kawałeklnianej szmatki wielkości 20 na 30 cm.

-Zapłacił pan?

- Początkowo potraktowałem to pismo jak jakiś głupizart.
Takie historie widuje sięna filmach.
List i szmatkęwrzuciłem do szuflady stolika.
Nikomunawet o tym niepowiedziałem.
Minał siedemnastyczerwca i przez trzy dninic się nie działo.
Czwartego wieczorem wybuchł pożarw moim obejściu.
O jedenastej wieczorem zapaliła sięsterta słomy.
Na szczęścienie było wiatru i ogień udałosięzlokalizować.
Strata niewielka, bosłoma stara, zesłoroczna, nadająca się tylko na podściółkę.
Sądziłem, że wypadek, może iskraz komina albo nawet od szosy z traktora.
Mieszkamy przy szosie,od sterty doasfaltunie więcej jakz 50 metrów.
W dwa dni później dostałem jednak drugilisti wtedyjuż się przestraszyłem.
- Co było w drugimliście?
Ogrodnik bez słowa podał pułkownikowi niebieską kopertę.
Znajdowała się w niej kartka, również zapisanadrukiem maszynowym.
Pierwsze ostrzeżenie!
Pieniądze należy położyć w dniu 26 czerwca w tym samym miejscu o tej samej godzinie.
Śmierć albo pieniądze!
- Gdy otrzymałem ten drugi list - ciągnął dalej PiotrSalamucha - zrozumiałem, że to nieprzelewki.
Pojechałem do Nadarzyna, do naszego posterunkumilicji.
Tamopowiedziałem wszystko kierownikowi posterunku, chorążemu Janowi Kamińskiemu.
Pan chorąży przeczytałobapisma i mówi:"Nic się pannie bój, panie Salamucha.
To na pewnojacyś chłopcy.
Terazw telewizjigrająróżne takiefilmy jak Zorro.
Niektórym szczeniakomw głowie się poprzewracało.
Złożę raport do powiatówkii zrobimy zasadzkę.
We wtorek 26czerwca potnie pangazety na wielkość pięćsetek, owinie tą szmatką i o godzinie 10-tej złoży pod drzewem wJankach Małych.
My

schowamy się w pobliżu i capniemy szantażystę na gorącym uczynku".

- I niktnie przyszedł - stwierdził pułkownik.

-Topan komendant już wie?

- zdziwił się badylarz.

-Choraży później opowiadał, że aż do zmierzchu czekalischowani w sąsiednim domu, lecz nikt nie próbował nawet podejść do drzewa.

Natomiast w czwartek dostałem następny list.

Panie Salamucha!

Pomimo zakazu zawiadomił pan milicję.

To będzie pana kosztowało o 100 000 złotych więcej.

Weźmie pan pieniądze z banku i położy je w tym samym miejscu we wtorek 10 lipca o godzinie 10-tej.

Dostanie pan jeszcze jedno, ale już ostatnie ostrzeżenie.

Śmierć albo pieniądze!

- Pan ma tyle pieniędzy w banku?

-Tak!

Prowadzę duże ogrodnictwo i prawie całą produkcję kontraktuję na eksport w Hortexie.

Rozliczają się mną przelewami, więc mam rachunek w Narodowym Banku Polskim w Pruszkowie.

Powodzi mi się dobrze ten, kto pisał te listy i żądał okupu, wie o tym doskonale.

W tym roku wprowadzi nieurodzaj, ale za truskawki dostałem sporo pieniędzy.

Pozatym mam własne szklarnie one dają stały dochód.

Wszystkie pieniądze trzymam na koncie.

Jak mi potrzeba, wystawiam czek.

- Panie Salamucha, dlaczego przyszedł pan z tą sprawą do Komendy

Wojewódzkiej, do mnie?

Przecież nawet moim zastępcą nie chciał pan rozmawiać?

Badylarz zmieszał się.

- To nie jest czysta sprawa - powiedział.

- O tym, że poszedłem na posterunek w Nadarzynie, nikt nie wiedział.

Skądże więta wiadomość dotarła do szantażysty już tego samego dnia?

Na kopercie jest stempel poczty warszawskiej z tego samego dnia, w którym byłem na posterunku.

Pan choraży takżenie przejął się zbyt moim powiadaniem.

"Dzieci zrobiły, bo telewizorze jakiś film oglądały.

" Ale czy dzieci przysłyby nocą stóg podpalać?

14

Piotr Salamucha przerwał na chwilę, jak gdyby namyślając się, czy mówić dalej, i dodał ścisząc głos:

- Nie miałem żadnych podejrzeń nawet wówczas, gdy niktnie zgłosił się po paczkę położoną pod drzewem, jednakże potych strzałach zacząłem się bać nadarzyńskiej milicji.

-Dlaczego?

- Nie jestem chorążym.

Leżałem na podłodze i liczyłem strzały.

Po siedmiu pomyślałem: "Łobuz wystrzelał całym magazynem".

Złapałem ze stołu nóż i wyskoczyłem nadwór.

Obaj synowie za mną.

Biegnę przez ogród w stronę szosy, bo tam usłyszałem czyjeś kroki, ktoś uciekałczy przedzierał się przez żywopłot.

Podbiegam do samej drogi, atak naprzeciwkomnie wychodzi kto?

Sam pancerząży Kamiński.

Spostrzegłem, że kaburę od rewolweru ma rozpiętą.

Podchodzi do nas i mówi: "Jechałem rowerem szosą i usłyszałem strzały koło waszego domu.

Zsiadłem więc z roweru i idę do was.

Czy coś się stało?

"Odpowiedziałem, że imyśmy słyszeli jakieś huk od strony szosy i dlatego wyszliśmy z domu.

Odprowadziliśmy pana chorążego do szosy, wsiadł na rower i pojechał.

Mogę przysiąc, panie pułkowniku, że kaburę miał rozpiętą.

Dopiero gdy wracaliśmy do drogi, nieznacznie ja sobie zapiał.

Od tej pory bałem się chodzić do kogokolwiek ze swoją sprawą i postanowiłem, że wszystko powiem tylko komendantowi.

- Tak!

- przytaknął pułkownik.

- Ma pan rację.

Sprawa jest poważna.

Spodziewam się wprawdzie, że to tylko zbieg okoliczności z tym spotkaniem chorążego, który rzeczywiście mógł usłyszeć strzały i biegł wam na pomoc, lecz nigdy nie można być dość ostrożnym.

Dobrze, zajmę się tą sprawą.

Nie mogę jej prowadzić osobiście, bo na to niestety nie pozwalają mi moje obowiązki, ale przekażę ją mojemu oficerowi do specjalnych poruczeń, kapitanowi Stefanowi Kowalczykowi.

Ręczę wam za niego.

Zgoda?

- Pan pułkownik wie najlepiej - odpowiedział ogrodnik.

Komendant wojewódzki MO sięgnął po słuchawkę aparatu.

15.

- Janeczko, proszę sprawdzić, czy kapitan Kowalczyk jest jeszcze w komendzie. Jeśli tak, niech zaraz do mnie przyjdzie.

Za chwilę otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł wysoki, zgrabny mężczyzna w mundurze kapitana. Miał około 35 lat. Wśród ciemnych włosów pojawiały się już pierwsze srebrne nitki.

- Obywatel pułkownik mnie wzywał?

- Tak, kolego. Ten pan - odpowiedział pułkownik wskazując na Piotra Salamuchę -

ma bardzo poważną sprawę. Chciałbym ją wam powierzyć. Otrzymacie wszelkie pełnomocnictwa i wszelką pomoc, ale z pewnych względów całe dochodzenie musi być ściśle tajne. Będziecie się komunikowali bezpośrednio ze mną. Akta należy trzymać w żelaznej szafie tak, aby nikt nie miał do nich dostępu. A teraz, kapitanie, proszę wziąć pana Salamuchę do siebie. On wam opowie o swoich kłopotach i podejrzeniach.

Ogrodnik podniósł się ze swojego miejsca, gorąco podziękował pułkownikowi za pomoc i przeprosił, że zajął mu tyle czasu już po godzinach urzędowania, po czym poprzedzany przez oficera milicji wyszedł z gabinetu.

W pokoju kapitana Piotr Salamucha powtórzył historię otrzymanych listów i podzielił się swoimi podejrzeniami. Kapitan wysłuchał opowiadania uważnie, nie przerywając ani słowem, a potem obejrzał pisma z pogrózkami.

- Każdy list wrzucono w obrębie innego urzędu pocztowego w Warszawie. W sprawie maszyny do pisania wysłuchamy opinii biegłego, ale jestem pewny, że to stara „Olimpia” portable, takich maszyn sprowadzono do Polski w latach 1947-1955 bardzo dużo. Były sprzedawane instytucjom na przydział, ale znajdowały się również w wolnym handlu. Do dzisiaj pracuje w Polsce co najmniej sto tysięcy „Olimpii”. Nie przypuszczam, aby udało nam się szybko ustalić, gdzie akurat znajduje się ta, na której zostały napisane listy. Odciski palców? Ten trop jest nieaktualny, listy przeszły przez wiele rąk. Na przyszłość proszę wszystkie pisma nadchodzące do pana otwierać w rękawiczkach i jeśli szantażysta jeszcze raz się odezwie, to jego list natychmiast włożyć w większą kopertę i mnie dostarczyć.

16

- Tak jest. Zrobię tak, jak pan kapitan sobie życzy.

- Chciałbym, aby pan opowiedział mi o sobie, o swojej rodzinie i o znajomych. Z pana opowiadania wprawdzie wynika, że najbardziej podejrzanym jest kierownik posterunku MO w Nadarzynie, lecz na razie jest to jedyne pana, niczym konkretnym nieuzasadnione, podejrzenie. Będziemy tak prowadzili śledztwo, aby zbadać tę sprawę. Jednocześnie nie możemy zaniedbać niczego, co mogłoby posunąć naprzód dochodzenie. Praktyka wskazuje, że szantaż dokonywany jest zwykle przez osoby z bliskiego otoczenia ofiary. Zresztą z treści listów aż nadto dobrze wynika, że ten, kto je pisał, doskonale orientuje się w pańskim trybie życia. Wie nawet, że nie trzyma pan pieniędzy w domu, lecz na koncie bankowym. Najlepiej o tym świadczą słowa „weźmie pan z banku”...

- Właśnie - zgodził się ogrodnik. - Wiedział o pieniądzach, wiedział o stercie słomy w ogrodzie, od razu się dowiedział, że poszedłem na milicję, i nawet pies na niego nie szczekał, mimo że jest uwiązany na podwórzu.

- Ma pan psa? Zły?

- Mam. Azor się nazywa. Miał być wyżłem, ale jego mamusia widocznie pogoniła za jakimś bokserem, bo wyszedł ni to myśliwiec, ni to buldog. Taki bardzo zły nie jest, ale szczeka, jeżeli ktoś obcy zbliża się do domu.

- To szczekałby również na chorążego - stwierdził kapitan.

- Ej, nie. Pan chorąży często u mnie bywa. Mieszkam przy szosie i gdy milicjanci jadą rowerami, to prawie zawsze do mnie wstąpią. Mam samochód ciężarowy i

nie raz trzy razy dziennie odstawiam towar do miasta. Milicja wie o tym i gdy komu spieszy się do Warszawy, zabiera się moim wozem. Nasz posterunek w Nadarzynie nie ma własnego samochodu służbowego.

Kapitan coś zanotował na leżącym na biurku arkuszu papieru, a Piotr Salamucha ciągnął dalej:

17

- Jak już panu kapitanowi powiedziałem, jestem ogrodnikiem-badylarzem. Mam 6 hektarów ziemi. Wszystko ogród owocowy i warzywniak oraz szklarnie. Kiedy w czasie wojny, we wrześniu 1939 roku, wyszedłem z Warszawy, to dotarłem aż do Chin. Tutaj mnie zagarnęli Japończycy, ale miałem szczęście, gdyż wywieźli mnie do Japonii, gdzie pracowałem pod Tokio w zakładach ogrodniczych. Nauczyłem się ogrodnictwa u najlepszych chyba specjalistów w tej dziedzinie na świecie. Kiedy powróciłem w 1947 roku do kraju, a przywiozło się nieco różnych rzeczy, kupiłem te 6 hektarów pod Nadarzynem. Wówczas były to prawie nieużytki. Dziś chyba najlepsze grunty i najlepszy sad w całym powiecie. Nie mogę powiedzieć, ciężko pracowałem z całą rodziną, ale dorobiliśmy się.

- Pan żonaty? Dzieci?

- Tak. Mam żonę i dwoje dzieci. Starszy syn urodził się na miesiąc przed wojną, w sierpniu 1939 roku. Obecnie jest na czwartym roku politechniki. Na wydziale mechanicznym. Młodszy, z 1950 roku, chodzi do liceum w Warszawie. Poza tym wzięliśmy na wychowanie córkę brata, który zginął w powstaniu warszawskim, jej matka umarła w dwa lata później. Elę uważamy za własne dziecko. Dziewczyna w ubiegłym roku zdała maturę i studiuje ogrodnictwo. Stanowimy naprawdę dobrą i zgodną rodzinę. Dzieci mi się udały, uczą się dobrze, w domu mam z nich dużą wyрекę, bo nie wstydzą się żadnego zajęcia. Teraz, kiedy tak trudno o znalezienie kogoś do robót w polu, cała trójka codziennie wychodzi razem ze mną o czwartej rano do pracy. Żona prowadzi gospodarstwo domowe. Od paru lat mieszkamy w nowym domu - właściwie jest to Wygodne Willa, ładnie zbudowana i umeblowana. Dorobiliśmy się tego wszystkiego ciężką pracą i jesteśmy dość bogaci.

Warszawscy badylarze uchodzą za milionerów - roześmiał się kapitan.

Na ogół powodzi im się nieźle. Zwłaszcza w ostatnich latach dochody ogrodników znacznie się podniosły, gdyż zaczęli stosować bardziej nowoczesne metody uprawy.

18

Gdy w 1947 roku kupiłem gospodarkę, było to 6 hektarów zapuszczonej ziemi. Żyto i kartofle ledwie chciały na niej rosnąć. Budynków gospodarskich prawie nie było. Stara chałupa jeszcze słomą kryta i jedna obora na dwie krowy i konia. Od początku stosowałem ekstensywną gospodarkę. Podpatrzyłem to u Chińczyków, a później w Japonii. Stosunkowo więc szybko stanąłem na nogi i okrzyczano mnie „kułakiem”. Ale jakoś przetrzymałem ten okres i dzisiaj moje gospodarstwo jest najlepsze w całym powiecie. Nawet w Grójeckiem, gdzie przecież ziemia znacznie lepsza, niewielu ogrodników może ze mną konkurować. Są między badylarzami, jak kapitan mówi, „milionerzy”, lecz jest ich mniej, niż to plotka głosi. Im ktoś lepiej gospodaruje, stosuje nawozy i korzysta z ostatnich zdobyczy nauki, tym lepiej mu się powodzi. A reszta? Ostatecznie wiąże koniec z końcem, bo Warszawa blisko, zbyt na owoce i zieleninę nieograniczony, ceny na ogół nieźle. Niejednemu więc nie chce się

głową ruszyć, gospodaruje po staremu, jak jego ojciec lub nawet dziadek.

- A kto u was bywa? Przyjaciele, rodzina, krewni, koledzy i koleżanki dzieci?

- W lecie mamy na to za mało czasu, za dużo roboty. Tyle że w niedzielę czasem siostra żony i szwagier przyjdą na obiad. W zimie inaczej, żona bardzo lubi teatr, ja mam trochę znajomych sprzed wojny oraz tych Polaków, których poznałem w Charbinie, a którzy repatriowali się po wojnie do Polski. W zimie roboty mniej, to i gości zapraszamy do siebie, i jeździmy do Warszawy.

- A ostatnio? W okresie gdy zaczęły przychodzić listy?

- Nie. Od połowy maja nikt u nas nie był i my też nie mieliśmy czasu wybrać się nawet do kina, nie mówiąc już o teatrze. Nieraz całymi tygodniami nie zapala się telewizora, bo wieczorem człowiek zbyt zmęczony.

- A do młodych również nikt nie przyjeżdża?

- Młodzi mają zawsze więcej sił i chęci do zabawy. Pełno w domu ich kolegów i koleżanek. Gdy nie pada, przyjeżdżają prawie codziennie. Niby to pomagać przy zbieraniu owocu, ale taka pomoc to jak kot napłakał. Więcej zje-

19

dzą, niż zbiorą. Ale co tam! Nie żałuję im tych paru owoców. Niech będzie na zdrowie. Zygmunt, mój syn najstarszy, przyjaźni się z dwoma kolegami, jeszcze z czasów szkolnych. Jeden jest na uniwersytecie, coś tam studiuje. Drugi był na architekturze, lecz jakoś mu nie poszło. Pracował później w biurze projektowym. Teraz mówi, że wziął kilkumiesięczny urlop. Obydwaj są prawie co dzień u nas. Często nawet nocują. Do Eli przyjeżdża parę koleżanek i kręci się koło niej kilku chłopców. Dziewczyzna przystojna, no i „bogata”. Ale to chyba nic poważnego. Przyjadą, pośmieją się, potańczą.

- A najmłodszy? Też ma przyjaciół?

- O, on najwięcej. Wiadomo, 15 lat, najtrudniejszy wiek. Albo go całe dnie nie ma w domu, albo drzwi się nie zamykają, bo tak koleżkowie ciągną na wieś. Bywa, że dziennie po pięciu, sześciu przyjeżdża, ale ci najmłodszy najlepiej pracują. Teraz przy takiej deszczowej pogodzie bardzo trudno wynająć ludzi do pracy. Ustaliłem więc normy, ile owoców ma zebrać Stasiak codziennie, i płacę mu „dniówkę”. Jeżeli koledzy mu pomogą i zbiorą więcej, to część nadwyżki mogą zabrać do domu, a za przekroczenie „normy” zwiększam synowi dniówkę. Oni sami dzielą się między sobą. Gdy chłopaki potrzebują na kino lub na inne wydatki, to nawet nieźle pracują. Ale różne psie figle też się ich trzymają. Przedwczoraj Ela rwała czereśnie, a potem z drzewa musiała skakać, bo chłopcy zabrali jej drabinę.

- Panie Salamucha - kapitan powziął decyzję - sporządzi pan listę wszystkich młodych ludzi, bywających w pańskim domu. Zwłaszcza tych, którzy bywali w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Ja rozejrzę się, co to za towa-rzystwo. Sprawę musimy prowadzić dyskretnie, aby nie spłoszyć szantażysty, lecz ująć go na gorącym uczynku.

Trzeba będzie zastanowić się, pod jakim pretekstem mógłbym zjawić się u was w domu? Chciałbym poznać tę młodzież, nie budząc podejrzeń swoją oficjalną rolą. Jak to zrobić?

- Nic trudnego. Przyjedzie pan jako inspektor z Horte-xu, a później żona zaprosi pana na niedzielny obiad.

W święto zawsze u nas pełno młodych. Kolegów starszego syna, fatygantów Eli i młodzików, koleżków Stacha. W ten sposób będzie pan kapitan mógł ich obejrzeć.

- Mówił pan, że nieznany sprawca strzelał siedem razy. Gdzie poszły kule? A może to był straszak?

- Nie, to był pistolet. Huk był głośny. Jedna kula trafiła w żyrandol, zbiła go, a następnie uderzyła w sufit i spadła na podłogę. Oto ona - tu Salamucha wyjął z kieszeni z lekka spłaszczony pocisk i podał go kapitanowi. - A pozostałe siedzą w ścianie w pokoju.

- To dobrze. To bardzo dobrze. Niech pan ich nie rusza i nikomu nie pozwoli ich wyjąć. Ja sam to zrobię, tylko trzeba tak urządzić, aby w tym czasie nikogo w domu nie było. Przyjdę do was pojutrze o dziesiątej rano. Zgoda?

- Prócz żony nikogo nie będzie, bo reszta przy zbiorze owoców. Powiem żonie, żeby mnie zaraz zawołała do mieszkania, „bo pan inspektor z Hortexu przyjechał”. Nikt nic nie będzie podejrzewał, do mnie często urzędnicy przyjeżdżają. Dużo kontraktuje na eksport. Nikogo też nie zdziwi, jeżeli zaproszę pana na obiad w niedzielę.

Kapitan obejrzał pocisk, następnie włożył go do koperty.

- Oddamy do analizy w Zakładzie Kryminalistyki - powiedział - ale nietrudno poznać, że to najpopularniejszy kaliber, „siódemka”. No tak, panie Salamucha, jesteśmy umówieni na pojutrze na dziesiątą. Ma pan też sporządzić listę nazwisk z adresami tej młodzieży, która u pana bywa.

- Z adresami będzie trudniej.

- Więc tylko imię i nazwisko z zaznaczeniem, czy to kolega starszego czy młodszego syna, względnie córki. Do jakiej szkoły lub uczelni chodzi. Resztę już sami znajdziemy.

Piotr Salamucha wyszedł z pokoju. Kapitan spojrział na zegarek. Było już po szóstej. Usiadł ponownie przy biurku i spisał wszystko, czego dowiedział się od ogrodnika. Papiery włożył do teczki, zaopatrzył napisem „ściśle tajne”, po czym zamknął je w stalowej kasie. Była prawie siódma, gdy opuszczał gmach przy ulicy Sierakowskiego.

21

*

Nazajutrz z samego rana kapitan odwiedził dział personalny KWMO i poprosił o wypożyczenie mu akt kierownika posterunku w Nadarzynie. Po pół godzinie dyżurny milicjant położył grubą, szarą teczkę na biurku Stefana Kowalczyka. Ten zdjął sznurek, którym akta były przewiązane, i zagłębił się w ich studiowaniu.

Jan Kamiński urodzony w roku 1925 w Warszawie, syn... Wykształcenie - szkoła powszechna i następnie szkoła MO w Słupsku. Brał udział w konspiracji, należał do PAL, ale większej roli w tej organizacji nie odegrał. W czasie powstania w jednostce PAL na Powiślu na rogu Dobrej i Tamki. Tam też został ranny. Po zdobyciu Powiśla przez hitlerowców w dniu 11 września zdołał wyjść z tłumem uchodźców i przez Pruszków wyostał się na wolność, później leczył się w szpitalu w Podkowie Leśnej. Po oswobodzeniu Warszawy wstępuje do wojska. Bierze udział w walkach o Kamień Pomorski. Znowu ranny przy wysadzeniu przez Niemców browaru. Po wojnie przechodzi z wojska do milicji. Najpierw w stopniu kaprała, później awansuje na sierżanta i zostaje skierowany do szkoły w Słupsku na przeszkolenie. Jako starszy

sierżant, a potem chorąży pracuje w komendzie powiatowej MO w Wołominie. Żonaty. Czworo dzieci. Żona pracowała w PSS w Wołominie jako kierowniczką sklepu. Obecnie zajmuje się jedynie gospodarstwem domowym.

W listopadzie 1960 roku chorąży Kamiński w czasie powrotu do domu zostaje napadnięty przez chuliganów. Uderzony w głowę traci przytomność. Zabrano mu dokumenty, pistolet służbowy „TT”, dwa zapasowe magazynki z amunicją oraz portfel z własnymi pieniędzmi.

W związku z napadem i rozbrojeniem chorąży miał dys-cyplinarkę. Otrzymał nagane z wpisaniem do akt. Cofnięto mu również skierowanie do szkoły oficerskiej MO w Szczytnie, co na długo, a może nawet na zawsze przekreśliło Kamińskiemu szansę awansu na podporucznika i posuwania się w górę na drodze kariery milicyjnej. Nie mając ukończonej szkoły, chorąży aż do emerytury będzie musiał nosić na czapce tylko jedną gwiazdkę. Także przeniesienie z Wołmina, z pracy w komendzie powiatowej do Nadarzyna, na stanowisko komendanta małego posterunku, miało w sobie znamiona degradacji.

- Dali mu łupnia za ten rewolwer - pomyślał kapitan i zabrał się do dalszego studiowania zawartości teczki personalnej.

Z przeglądanych kart widać było, że chorąży nie załamał się. Przeciwnie, postanowił walczyć. Zaświadczenie szkoły dla dorosłych stwierdzało, że Jan Kamiński jest słuchaczem 9 klasy. Zaświadczenie wydane w rok później mówiło już o klasie dziesiątej. Na przyszły rok ten wówczas już 39-letni mężczyzna będzie zdawał maturę.

Jednym z ostatnich załączników teczki personalnej było podanie adresowane do komendanta głównego MO z prośbą o przyznanie bezzwrotnej zapomogi w wysokości 5000 złotych. Do prośby załączone było świadectwo lekarskie, stwierdzające, że Stanisław Kamiński, lat 11, syn Jana, jest zagrożony gruźlicą, toteż zaleca się, aby pacjent przez jakiś czas przebywał w klimacie podgórskim.

Personalny odnotował na marginesie podania, że przyznano zapomogę 3000 złotych. W teczce znajdowało się także podanie Kamińskiego, proszące o skierowanie go do szkoły oficerskiej. Odpisu odpowiedzi jeszcze nie było, gdyż pismo wpłynęło dopiero przed paru dniami.

Słuchając opowiadania Piotra Salamuchy kapitan Stefan Kowalczyk nie traktował podejrzeń ogrodnika zbyt poważnie. Spotkanie w ogrodzie z komendantem posterunku mogło być przypadkowe, rozpięta kabura również nie świadczyła o winie. Chorąży mógł rozpiąć kaburę i nawet wyjąć pistolet wówczas, gdy przez ciemny ogród spieszył w stronę, gdzie padły strzały. Poza tym nie byłby chyba tak naiwny, aby oddać 7 strzałów ze swojego służbowego pistoletu. Pierwsza ekspertyza rusznikarska zdemaskowałaby go natychmiast. O wizycie badylarza na posterunku MO w Nadarzynie - w małym miasteczku taki fakt nie może ująć uwagi - mógł się dowiedzieć bez najmniejszej trudności ten, kto interesował się Salamuchą. W sumie wszystkie

22

23

podejrzeń kapitan potraktował jako objawy zdenerwowania człowieka przestraszonego strzałami i listami.

Jednakże teraz, po szczegółowym przestudiowaniu akt personalnych chorążego, podejrzenia Salamuchy nie wydały się Kowalczykowi tak bezpodstawne. Przeciwnie, oskarżenie nabierało mocy. Zjawił się i motyw, i możliwość wykonania groźby przez szantażystę. Jan Kamiński w związku z chorobą syna gwałtownie potrzebował pieniędzy. A pistolet? Czy rzeczywiście chorążego napadnięto i rozbrojono przed paroma laty w Wołominie? Kapitana ogarnęły wątpliwości. Jedyńm tego dowodem był guz na głowie milicjanta i jego zeznania o napaści i rabunku.

A jeśli już wówczas Kamiński planował jakąś akcję? Sfingował napad, aby później móc bezkarnie posługiwać się pistoletem? Z jakichś nie znanych bliżej powodów chorąży zrezygnował wówczas w Wołominie z wejścia na drogę przestępstwa, a rewolwer dobrze ukrył, aby posłużyć się nim teraz, strzelając do okna Salamuchy. Czy zresztą zrezygnował? W powiecie i w samym mieście Wołominie w ciągu ostatnich lat było kilka rabunków dokonanych z bronią w ręku, lecz sprawców nie wykryto.

- To straszne, jeżeli moje przypuszczenia są choć w części prawdziwe - powiedział sam do siebie kapitan. -Komendant posterunku szantażystą?! Nie, to niemożliwe. Ale logika faktów wskazywała, że to wcale nie jest takie nieprawdopodobne. Kapitan doskonale rozumiał, że w tej sprawie nie może kierować się ani uczuciem, ani solidarnością noszonego munduru. Od tej chwili musi traktować chorążego jako potencjalnego przestępcę i zrobić wszystko, aby wyświecić jak najszybciej tę całą historię.

Schował papiery z powrotem do teczki w takiej kolejności, w jakiej były pierwotnie, i z aktami w ręku zameldował się do komendanta wojewódzkiego.

Pułkownik uważnie wysłuchał raportu, a potem prze-wertował dokładnie zawartość teczki z personaliami Ka-mińskiego.

- Od tej chwili - rzekł - przekażcie wszystkie inne sprawy swoim podwładnym i zajmijcie się tylko Salamuchą.

24

Sprawa wygląda bardzo nieprzyjemnie i dla dobra służby musi być za wszelką cenę jak najszybciej wyjaśniona. Zaraz wydam odpowiednie polecenia. Czy macie już plan działania?

- Przede wszystkim musimy bardzo dokładnie obserwować każdy krok chorążego. Po drugie całe obejście Salamuchy musi być dzień i noc pod ścisłą obserwacją i to tak dyskretną, aby nikt z domowników i odwiedzających ten dom niczego się nie domyślał. Również miejscowa milicja. Dobrze byłoby także podesłać do posterunku w Nadarzynie jednego lub dwóch pewnych ludzi, którzy bez zwracania na siebie uwagi obserwowaliby wszystko, co dzieje się w miasteczku. Trzeba to jakoś zrećnie przeprowadzić.

- Jak chcecie to zorganizować?

- Po prostu powołamy dwóch milicjantów z Nadarzyna na przeszkolenie służby ruchu w Iwicznej. Chorąży na pewno podniesie krzyk, że ogołaca mu się posterunek z ludzi. Wobec tego z rezerwy Komendy Wojewódzkiej MO przydzielimy mu dwóch albo nawet trzech nowych milicjantów. Wśród nich umieszczę swojego człowieka i wydam mu odpowiednie polecenia. Równocześnie roztoczmy opiekę nad domem ogrodnika, codziennie będziemy tam posyłać ludzi, którzy pod pozorem reperacji

szosy, sprawdzania telefonów lub lotnej służby drogowej będą mieli baczenie na wszystko, co się dzieje w obejściu badylarza.

- Plan jest dobry, ale czy Kamiński nie skapuje się, o co chodzi? Jeżeli podejrzenia są uzasadnione, to, jak widać, mamy do czynienia z wielkim cwaniakiem. Takiego tak łatwo w pole nie wyprowadzisz.

- Proponuję, obywatelu pułkownik, aby dla pełnego uśpienia czujności chorążego załatwić pozytywnie jego podanie o skierowanie do szkoły oficerskiej w Szczytnie. Jeżeli Kamiński jest szantażystą, to papierek kierujący go na przeszkolenie będzie chyba dobrym dowodem, że o nic go nie podejrzewamy.

- Takie skierowanie można wypisać. Jeżeli Kamiński jest przestępcą, to zanim się nowy kurs w Szczytnie za-

25

cznie, będziemy mieli go pod kluczem. Ale jeśli chorąży jest niewinny... Co zrobimy z tym fantem?

- Wtedy skierowanie do szkoły będzie najwłaściwszym zadośćuczynieniem za niesłuszne posądzenie. Bardzo bym się cieszył, gdyby od jesieni chorąży pojechał do Szczytna. Dobrze odpokutował za ten wypadek z pistoletem. I nagana, i karne przeniesienie do Nadarżyna, i skreślenie z listy kandydatów do szkoły. Za jedno problematyczne przewinienie aż trzy kary na raz.

- W takich wypadkach musimy być bardzo surowi. Broni trzeba pilnować jak własnego oka. Zresztą... Zgadza się. Wychodząc stąd powiedzcie, kapitanie, Janeczce, żeby przygotowała odpowiednie pismo do Kamińskiego. Personalnego sam zawiadomię, że postanowiłem dać Kamińskiemu szansę nauki, gdyż uważam, że wówczas za surowo go ukarałem. Ale, ale, jak potraktujecie żądanie złożenia pieniędzy?

- Przygotuję zasadzkę. Obstawię wszystko naokoło w promieniu paruset metrów, tak że żaden człowiek nie przejdzie niezauważony. Z obu stron szosy ustawię samochody milicyjne, a nad przebiegiem całej akcji będę osobiście czuwał przy radiostacji. Jestem absolutnie pewien, że złapię zbrodniarza na gorącym uczynku.

- A ja jestem pewien, że nikt się nie zjawi po kopertę leżącą pod drzewem na przystanku PKS. Przecież on wie, że milicja jest zawiadomiona o wszystkim.

- Jeśli po pieniądze ma się zjawić Kamiński, to sprawdzi w „powiatówce” w Pruszkowie, czy przygotowuję zasadzkę. A „powiatówka” nic o tym nie będzie wiedziała. Również tak zrobię, aby nawet u nas, w Komendzie Wojewódzkiej, nie wiedzieli o akcji. Tymczasem Salamucha podniesie z Narodowego Banku Polskiego w Pruszkowie 300

000 złotych. Zażąda przy tym nowych banknotów pięćset-złotowych. Przypuszczam, że szantażysta dowie się o tym

i licząc, iż tym razem w pakunku jest forsa, podejmie próbę jej zainkasowania. Wtedy będzie mój.

- Nie wiem, czy ogrodnik zgodzi się zaryzykować tak poważną sumę. Jaką może mieć gwarancję, że nie narażamy go na straty?

- Toteż Salamucha nie będzie ryzykował nawet jednym groszem. Pieniądze wezmę od nas, z kasy Komendy. Obywatel pułkownik powiedział, że otrzymam wszelką pomoc, jakiej zażądam. Właśnie proszę o te 300 000 złotych.

- Kapitanie, czy nie jesteście za pewny siebie i nie nadstawiacie zbyt karku? Jeżeli wasz plan się nie powiedzie, to będziecie ten dług spłacać przez całe życie. Uprzedzam, dam wam pieniądze, ale na osobiste pokwitowanie, do wyliczenia i do zwrotu.

- A jednak zaryzykuję. I wygram!

- Nie pozostaje mi nic innego - zakończył rozmowę pułkownik - jak życzyć szczęścia.

26

27

Rozdział III

PODWIECZOREK U MILIONERÓW

Zbliżając się do Nadarzyna kapitan Stefan Kowalczyk z daleka, o jakieś dwa kilometry od miasteczka, zauważył duży sad dochodzący aż do samej autostrady.

Nieco w głębi widać było ładną, jednopiętrową białą willę, krytą czerwoną dachówką. Od strony szosy sad ogrodzony był wysoką siatką i rosnącym za nią gęstym żywopłotem. Pośrodku ogrodzenia widniała duża, zresztą otwarta brama.

Wybetonowana droga prowadziła w głąb sadu, w stronę domu mieszkalnego.

Kapitan uważnie rozejrzał się po całej okolicy. Z obu stron sadu ciągnęły się uprawne pola. Dalej, w stronę Nadarzyna, zaczynały się zabudowania podmiejskie.

Naprzeciwko gospodarstwa Piotra Salamuchy rozciągał się również sad, ale nie tak starannie pielęgnowany i bez ogrodzenia. I tutaj wśród drzew stały zabudowania właściciela. Był to najbliższy sąsiad ogrodnika.

Prowadząc motor kapitan szedł w stronę biało-czerwonej willi. Drzewa owocowe rosły równym szeregiem. Każde było porządnie okopane. Pnie miały pomalowane wapnem. Między drzewami biegły starannie uprawione grządki różnych jarzyn. W regularnych odstępach stały beczki napełnione wodą. Chociaż w tym roku deszczu nie brakowało, przezorny ogrodnik przygotowany był na ewentualność podlewania swoich plantacji. Wszędzie było czysto i widziało się troskliwą, fachową rękę gospodarza.

Kapitan Kowalczyk postawił motocykl przed domem i wszedł po trzech schodkach na niski ganek. Na dźwięk

dzwonka otworzyły się drzwi i stanęła w nich kobieta w wieku około 45 lat. Widząc przybyłego zagadnęła:

- Pan pewnie z Hortexu. Mąż uprzedził mnie o pańskim przyjeździe. Jest w ogrodzie. Zaraz go zawołam. Proszę, niech pan wejdzie i zaczeka.

Pani Salamucha wprowadziła gościa do małego holu i wskazawszy mu otwarte drzwi na lewo, sama zniknęła w małym korytarzyku wychodzącym z holu. Kapitan wszedł do wskazanego mu pomieszczenia i znalazł się w sporym pokoju - gabinecie pana domu. Na podłodze leżał wzorzysty dywan, umeblowanie składało się z kompletu orzechowych mebli „na wysoki połysk”, z takim uporem produkowanych od wielu lat przez nasz przemysł meblarski. W oszklonej szafie widać było grzbiety kilkudziesięciu książek, wszystkie prawie dotyczyły rolnictwa i ogrodnictwa. Były tam książki polskie, rosyjskie, jak również w języku angielskim. Na biurku leżało sporo papierów, głównie pism urzędowych, wśród nich zawiadomienie Narodowego Banku Polskiego w Pruszkowie, że Hortex przekazał na rachunek Piotra Salamuchy

wpłatę 186000 złotych, a ogólny stan konta wynosi na dzień 1 lipca 893 678 złotych.

- Rzeczywiście milioner - pomyślał kapitan oglądając wykaz bankowy.

W gabinecie znajdowały się jeszcze drugie drzwi. Te także były uchylone. Milicjant zajrzał za nie. Był tam pokój tej samej wielkości co gabinet. Umeblowany równie dostatnio i typowo. Cały środek zajmowały dwa wielkie łóża małżeńskie. Prócz nich duża, trzydrzwiowa szafa, toaletka z dużym lustrem, komódka i parę krzesełek.

Wszystko z czeczotki lub - być może - forniuru imitującego czeczotkę. Nad łóżem zawieszono jakieś święte obrazki i haftowane makatki.

Słyszając kroki w holu kapitan lekko przymknął drzwi i cofnął się na środek gabinetu.

W tej chwili wszedł do niego Piotr Salamucha.

- Serdecznie witam, panie kapitanie - powiedział. -Przepraszam, że kazałem na siebie czekać, ale my, ogrodnicy, wykorzystujemy obecnie każdą chwilę bez deszczu.

29

A pracowałem dość daleko od domu. Zanim żona mnie zawołała, zanim doszedłem do mieszkania i umyłem ręce, musiało upłynąć trochę czasu. Proszę, może papierosa?

- Dziękuję. Pozwoli pan, że obejrzę cały dom i zorientuję się nieco w terenie.

- Proszę bardzo. Jak pan widzi, tutaj jest mój gabinet. Tamte drzwi prowadzą do naszej sypialni. Stąd jest przejście do łazienki i na mały korytarz. Po drugiej stronie holu znajduje się spora jadalnia, a za nią kuchnia.

- Chodźmy więc najpierw do jadalni. To tam do pana strzelano? Chciałbym obejrzeć ślady i wyjąć kule.

Gospodarz wskazał drzwi. Obydwaj przeszli przez hol i znaleźli się w pomieszczeniu większym niż sąsiednie. Prócz kompletu mebli stołowych, również „na wysoki połysk”, znajdowała się wygodna kanapa-tapczan, radio i telewizor. Był to nie tylko typowy „jadalny”, ale zarazem pokój, w którym rodzina spędzała wolne chwile. Nad stołem, u sufitu, wisiał żyrandol; trzy łańcuchy podtrzymywały wielką szklaną amplę, mającą z trzech stron dodatkowe, małe klosiki z żarówkami. Teraz ampli nie było, została stłuczona w czasie nocnej strzelaniny. Pozostały tylko boczne światła.

- Umyślnie nie zmieniałem żyrandola, żeby pan kapitan mógł sam obejrzeć. Trafił i zbił szkło, a kula uderzyła następnie w brązową oprawę, straciła impet i spadła na stół. A tu są ślady po pozostałych sześciu strzałach -ogrodnik wskazał na ścianę naprzeciwko szerokiego trzyskrzydłowego okna. Na wysokości dwóch metrów widniały małe okrągłe dziurki w murze.

Kapitan Kowalczyk uważnie obejrzał ślady.

- Strzelał z ogrodu, trochę na skos. Pewnie stał za tamtym wysokim krzakiem bzu.

Wygląda na to, że istotnie nie chciał nikogo trafić i celowo skierował pistolet nad głowami siedzących przy stole. Z tej odległości, najwyżej dziesięciu metrów, trudno przypuszczać, żeby chybił mając przed sobą kilka osób jasno oświetlonych dużą lampą. Prawdopodobnie właśnie ta lampa stanowiła cel kanonady.

30

- Ja też - tłumaczył Salamucha - mówiłem panu pułkownikowi w komendzie milicji, że strzelał, aby mnie ostrzec, a nie zabić.

Kapitan wziął krzesło, postawił pod ścianą, wszedł na nie i zaczął badać ślady po kulach. Wyjął z kieszeni parę narzędzi, aby przy ich pomocy wydostać tkwiące w murze pociski. Ale w tej chwili rozległ się gdzieś blisko warkot motocykla. Orodnik

wyrżał przez okno i cofając się powiedział półgłosem:

- Jedzie tutaj chorąży Kamiński z Nadarzyna.

- Nie chciałbym, aby mnie zobaczył - odpowiedział równie cicho kapitan. - Jak to zrobić?

- Niech pan wyjdzie tędy do kuchni - badylarz wskazał drzwi - a stamtąd do ogrodu.

- Proszę nie wspominać chorążemu o mojej wizycie. Będę na pana czekał w ogrodzie za domem - to mówiąc kapitan zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, cicho zamykając za sobą drzwi.

Znalazł się w obszernej, dobrze wyposażonej kuchni. Nie było tu nikogo, ani nawet śladów, że dzisiaj ktoś gotował na dużej płycie kuchennej lub na gazowej maszynie, zaopatrywanej w gaz z butli. Z kuchni drzwi prowadziły do obszernej sionki, a stamtąd wygodnymi schodkami kapitan zszedł na podwórze. Znajdował się teraz akurat po przeciwnej stronie domu niż ta, gdzie przed gankiem zostawił swój motocykl.

Na podwórzu stał długi, wysoki na pięć metrów budynek. Jedna jego część, sądząc po firankach, była zamieszkała. Resztę, przynajmniej trzy razy dłuższą, przeznaczono na magazynowanie owoców. Z tej strony znajdowała się nawet wysoka rampa, tak aby z magazynu można było ładować owoce i warzywa bezpośrednio na samochód. Dopiero za magazynem znajdowały się właściwe pomieszczenia gospodarskie: stodoła, obora, chlew i kurnik z wybiegiem dla drobiu ogrodzony siatką. W tym wybiegu spacerowało około setki kur i kurczaków. Wszędzie panowała wzorowa czystość.

Jeden z boków podwórza zajmował garaż. W otwartych boksach stały dwa traktory, jeden duży „Ursus”, a drugi

31

specjalny, ogrodniczy. Dalej było pomieszczenie na samochód ciężarowy, a w sąsiednich drzwiach stał nowy moskwicz. Pod dachem ułożono w równy rząd maszyny rolnicze i ogrodnicze, zaczynając od zwykłych pługów, a kończąc na aparatach do opryskiwania drzew.

- Jeżeli ten Salamucha prawdę mówił, że przed piętnastu laty było tylko 6 hektarów nieurodzajnych piasków -z uznaniem pokiwał głową kapitan dokonując tej krótkiej lustracji zaplecza gospodarczego - to rzeczywiście wszyscy musieli ciężko pracować, aby stworzyć tak wzorową farmę. No, ale to się naszemu badylarzowi opłaciło. Na każdym kroku widać, że milioner.

Za podwórzem ciągnął się znowu sad owocowy, a między nim plantacje jarzyn.

Kapitan skierował się w stronę drzew rosnących za magazynem na owoce. Bo jeżeli Ka-mińskiemu przyjdzie ochota wyrzeć na podwórze, nie powinien go tutaj zobaczyć. Stefan Kowalczyk wprawdzie nie znał chorążego z Nadarzyna, ale kto wie, może ten spotkał go przypadkowo w gmachu Komendy Wojewódzkiej MO przy ulicy Sierakowskiego i teraz, w tym nieznanym, spacerującym po podwórzu ogrodnika, mógłby rozpoznać funkcjonariusza milicji? Natychmiast by się zorientował, że sprawą okupu zajęły się władze zwierzchnie i prowadzą ją bez zawiadamiania właściwego terytorialnie posterunku MO w Nadarzynie. Na pewno chorąży domyśliliby się wówczas, że dlatego okryto taką tajemnicą, gdyż on uważany, jest za najbardziej podejrzanego. A tego kapitan Kowalczyk chciał uniknąć. Szybkim

krokiem przeszedł przez podwórze, chroniąc się za budynek magazynu. Tutaj równym szeregiem ciągnęły się drzewa czereśniowe. Większość z nich była zielona, ale sporo i takich, na których między kiściami liści przeświecały duże różowe owoce. Koło kilku drzew stały rozkładane drabiny. Zbierano czereśnie. Nazajutrz, po opakowaniu w eleganckie kobiałki, po parogodzinnym locie miały znaleźć się na ladach sklepowych Berlina i Sztokholmu. Wysoka, przystojna dziewczyna szła w stronę magazynu, niosąc wielki kosz świeżo zerwanego owocu.

- Proszę, niech się pan poczęstuje naszymi czereśniami - powiedziała mijając kapitana i podając mu pełną dłoń pięknych czereśni. - Lepszych nigdzie pan nie dostanie.

- Tego jestem najzupełniej pewien — odpowiedział Stefan. - Ani lepszych, ani z ładniejszej rączki.

- No, proszę - roześmiała się dziewczyna. - Pierwszy raz usłyszałam komplement z ust milicjanta.

- Skąd pani wie, że jestem z milicji?

- Absolutnie nie wiem. Przeciwnie, słyszałam, że przyjechał inspektor z Hortexu. Kapitan musiał mieć bardzo głupią minę, gdyż dziewczyna parsknęła śmiechem.

- Gdy pan nas pozna bliżej, to przekona się, że w naszym domu żadna tajemnica nie utrzyma się dłużej niż przez godzinę. Tata nie potrafi ukryć, że go coś trapi lub cieszy i zaraz wygada się przed mamusią. A mamusia pobiegnie natychmiast do „kochanego Zygmunia”, aby z nim podzielić się ważną wiadomością. I tak dalej, i tak dalej. Nie upłynie i pięć kwadransów, gdy o wszystkim wiedzą nie tylko domownicy, ale i pani Michasiowa, i państwo Walczakowie.

- Wobec tego już jako milicjant zapytam panią, z kim mam przyjemność i kto to są i pani Michasiowa, i państwo Walczakowie.

- Powinien pan domyślić się, że jestem Elżbieta, córka Salamuchów, studentka wydziału ogrodniczego. Pani Michasiowa to dawna przyjaciółka mamusi jeszcze z jej lat dziecinnych. Gdy owdowiała, przeprowadziła się do nas i prowadzi kuchnię. Państwo Walczakowie w dawnym ustroju byli „parobkami u krwiopijcy”. On razem z ojcem zajmuje się gospodarstwem, z tym że pan Walczak ma pod swoją opieką przede wszystkim żywy i martwy inwentarz. Jego żona pilnuje razem z mamusią kur i magazynu z owocami. Pani Michasiowa i państwo Walczakowie pracują już u nas przeszło dwanaście lat. Po wybudowaniu nowego domu dla nas oni przeprowadzili się do starego, przerobionego i rozbudowanego na magazyn. Ona ma pokój, a Walczakowie pokój z kuchnią.

- Jeszcze jedno pytanie. Czy mają dzieci?

- Pani Michasiowa nie ma, a państwo Walczakowie dwóch synów i trzy córki. Wszyscy mieszkają i pracują na Śląsku lub we Wrocławiu. Do rodziców przyjeżdżają rzadko. Jedna z córek, która wyszła za mąż w Katowicach za nadsztygara, chciała rodziców ściągnąć do siebie, ale pan Walczak powiedział, że oboje z żoną są jeszcze za młodzi, żeby siedzieć u dzieci na łaskawym chlebie. Tak więc wszyscy są absolutnie poza podejrzeniami. To bardzo przyzwoici ludzie.

- Kto w takim razie, pani zdaniem, nie jest poza podejrzeniami?

- Nie zastanawiałam się nad tym. Oczywiście jestem poinformowana o dziwnych listach otrzymywanych przez ojca, bo przecież wiedzieliśmy o nich. Ojciec sam o

nich opowiadał, a poza tym listy leżały na biurku w gabinecie. Myślałam początkowo, że to jakieś kawały, i szczerze mówiąc, podejrzewałam kolegów Stacha, najmłodszego brata. Jednak po tych strzałach widzę, że to poważniejsza sprawa niż sztubackie figle, i boję się rzucać na kogokolwiek już nie podejrzenie, lecz nawet cień podejrzenia.

- A może pani pomyśli nad tym i później podzieli się ze mną swoimi spostrzeżeniami?

- Dlaczego właśnie ja? Czy dlatego, że jestem młoda i, jak sam pan powiedział, ładna?

- Nie. Tylko dlatego że z naszej rozmowy zorientowałem się, że umie pani logicznie myśleć i dawać krótkie, lecz wyczerpujące odpowiedzi. Poza tym, aby możliwie szybko dojść prawdy, muszę mieć w tym domu „bez tajemnic” jakiegoś sprzymierzeńca. Mógłby on, bez zwracania na siebie uwagi, wszystkich obserwować. Bo wydaje mi się, że sprawca szantażu znajduje się w kręgu znajomych lub nawet przyjaciół, a może krewnych pana Salamuchy i jego bliskich.

- Równie dobrze i ja mogę być tą szantażystką.

- Nie przypuszczam. Gdy padły strzały, była pani w mieszkaniu. Naturalnie mógł strzelać pani współnik, ale za pani niewinnością w tej aferze przemawia przede wszystkim brak powodu. Nie jest pani typem dziewczyny, która musi zdobyć 150 000 złotych drogą szantażu.

- Nie sto pięćdziesiąt, tylko trzysta - poprawiła Ela.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy - powtórzył kapitan. - Pani musiałaby przecież mieć współnika, od razu odliczam jego dołę. Więc jak z naszą umową? Stoi?

- Niech będzie. Zaryzykuję. Jeśli i pan nie boi się ryzyka.

- Nie boję się - kapitan z humorem stwierdził, że bierze na siebie coraz więcej zobowiązań. Podpisał już asy-gnatę na 300 000 złotych do kasy KWMO, a teraz, bądź co bądź, będzie musiał uważać na swojego młodego, przystojnego pomocnika w spódnicy.

- A co mam robić?

- Na razie nic. Będzie pani, panno Elu, bacznie obserwowała, co się dzieje w domu. Kto przyjeżdża, co mówi, czy nie interesuje się papierami na biurku ojca i tak dalej. A to, co zwróci pani uwagę, przekaże pani mnie. Ponieważ moje incognito zostało zdemaskowane, nie ma sensu nadal udawać inspektora z Hortexu. Skoro jednak występuję oficjalnie jako oficer milicji, nie będę mógł robić niektórych obserwacji. Każdy bowiem zachowa się inaczej w mojej obecności niż w towarzystwie pani. Czy zrozumieliśmy się?

- Tak jest, wodzu! Zrozumiano - panna Ela z wdziękiem przyłożyła zgrabną, choć nieco brudną rękę do czoła, co miało imitować salutowanie. - Czy mogę te czereśnie zanieść do magazynu?

- Nie - odpowiedział kapitan wpadając w żartobliwy ton dziewczyny. - Rozkazuje postawić na ziemi. Sam zaniosę. Gdzie je wysypać?

- Milicja jest bardzo rycerska. Zanieś pan do magazynu. Tam mamusia z panią Michasiową sortuje owoce i pakują do łubianek. Odbiorą ładunek od pana. A koszyk proszę mi przynieść. Tam, pod to drzewo, gdzie stoi drabina.

Oficer milicji wziął kosz i zaniósł do magazynu. Tu przy wielkim stole siedziały dwie

niewiasty zajęte sortowaniem i przebieraniem owoców.

34

35

- Pan inspektor sam się fatygował - zawołała pani Sa-lamucha. - A gdzie mąż?

- Chwilowo zajęty - odpowiedział oficer. - Ale pani musiała mnie pomylić z kim innym. Jestem Stefan Kowalczyk, kapitan MO z Komendy Wojewódzkiej. Gdzie wysypać te owoce?

- Na stół, panie kapitanie - obydwie kobiety były wyraźnie zdziwione słowami oficera. Wiedziały doskonale, kim jest, ale zgodnie z umową miały udawać, że nawet nie domyślają się podwójnej roli przybysza, a tymczasem ten od razu porzuca umówioną grę.

Kapitan wysypał czereśnie, zabrał kosz i pomaszerował pod drzewo. Panna Ela siedziała już na dużym konarze i zręcznie oczyszczała z owoców całe gałęzie. Gdy zobaczyła swojego „szefa”, zawołała:

- Niech pan przesunie drabinę bardziej w lewo. Tam, gdzie są te gałęzie z owocami. O tak, dobrze. Teraz niech pan wchodzi na drabinę i zrywa. Zgniłe od razu wyrzucać na ziemię. Jeść wolno. Mówić i kręcić się nie za dużo, bo pan zleci. A pod drzewem ziemia twarda.

- Pani już wypraktykowała, kiedy brat zabrał drabinę, prawda?

- A nie mówiłam, że w tym domu nie ma tajemnic? Nawet pan o tym wie. Tutaj wszyscy o wszystkim wiedzą.

Piotr Salamucha bardzo się zdziwił, gdy szukając swojego gościa znalazł go cztery metry nad ziemią, siedzącego okrakiem na czubku drabiny.

- Elu! Jak mogłaś zagonić pana inspektora do roboty. Jeszcze nam, broń Boże, spadnie!

- Pan sądzi, że u nas w milicji są niedorajdy? Ogrodnik zamilkł zdziwiony, że rzekomy inspektor

przyznaje się wobec jego córki do swojej właściwej roli, a kapitan zniżając z drabiny dodał:

- Doszedłem do wniosku, że właściwie nie ma celu udawać urzędnika z Hortexu, i tak wszyscy by poznali, że nie mam pojęcia o ogrodnictwie. Dziękuję, panno Elu, za wykład o rwaniu owoców. Ojciec zaprosił mnie w niedzielę na obiad. Mam nadzieję, że będę miał sposobność je-

szcze z panią porozmawiać i poznać jej przyjaciół. Podobno w niedzielne popołudnia zawsze u państwa bardzo wesoło? Chciałbym zobaczyć, jak się młodzież bawi.

Panna Elżbieta, siedząca na konarze drzewa, kiwnęła głową na znak, iż zrozumiała, o co kapitanowi chodzi. Pragnął, aby w tę niedzielę w domu Salamuchów zebrało się jak najwięcej znajomych i przyjaciół. Na pewno będzie wśród nich i szantażysta. Ale jak go poznać, jeżeli nie jest nim chorąży Kamiński?

- Panie kapitanie - powiedział ogrodnik, gdy już odeszli od drzewa - stała się rzecz nieprzewidziana. Nie mogłem temu przeszkodzić.

- Co takiego? Nowy list?

- Nie! Gorzej! Chorąży Kamiński przyjechał i z miejsca zrobił mi wymówkę, że nie zameldowałem o strzałach. Kazał mi jutro zgłosić się na posterunek i podpisać protokół, a potem wszedł na krzeselko, które pan przystawił do ściany, i scyzorykiem

wydłubał z muru wszystkie kule. Twierdził, że odda je do ekspertyzy rusznikarskiej, aby ustalić, kto był sprawcą. I co ja miałem zrobić? Przecież nie mogłem mu powiedzieć, że pan kapitan czeka na podwórzu i sam chce wyjąć kule.

- Trudno. Stało się. Dobrze, że pan nic o mnie nie powiedział. Chociaż nie jestem taki pewny, czy chorąży nie dowie się o tym. O moim przyjeździe rozgadał pan domownikom. W takiej sytuacji byłoby śmieszne udawać inspektora, gdyż nawet pańscy pracownicy wiedzą o tym, że przyjechał milicjant.

- Moja wina, panie kapitanie. Ale ja nie nadaję się do żadnych konspiracji. U mnie co w głowie, to i na języku.

- Więc dobrze. Niech pan nie ukrywa przed domownikami, że kapitan z KWMO będzie u was na niedzielnym obiedzie. Przypuszczam, że szantażysta specjalnie przyjedzie mnie obejrzyć. A kulami niech pan się nie martwi. To nie takie ważne. Jutro proszę pójść na posterunek i podpisać protokół. Tym razem niech pan jednak nie mówi ani chorążemu, ani komukolwiek z milicji, że jest pan w kontakcie z KWMO.

36

37

- Słowa nie pisnę - zapewniał gorąco Salamucha.

- No, to na mnie czas. Do widzenia w niedzielę. O której przyjechać?

- Bardzo proszę na pierwszą. Na obiedzie będą tylko domownicy. Młodzież schodzi się zwykle nieco później. Na podwieczorek i na tańce.

Kapitan pożegnał gospodarza, zapuścił motor i po pół godzinie szybkiej jazdy znalazł się z powrotem w swoim pokoju na Sierakowskiego. Mimo że przy ogrodniku nadrabiał miną, w gabinecie nie ukrywał przed samym sobą poniesionej porażki. Na koncie chorążego przybyła wprawdzie nowa, poważna poszlaka, ale wyraźnego dowodu nadal nie było.

Kowalczyk był pewien, że chorąży, jeżeli to on był sprawcą, nie ośmieliłby się użyć swojego służbowego pistoletu. Ryzyko było zbyt wielkie. Jeżeli jednak rzeczywiście sfingował napad na siebie w Wołominie, i rozporządza drugim rewolwerem, niewątpliwie strzelał z tamtej broni. W komendzie milicji znajdowały się odpowiednio powiększone zdjęcia kul wychodzących z luf tego zaginionego rewolweru. Jednakże twierdzenie, że kule wydłubane z muru są identyczne z kulami z dawnego pistoletu Kamińskiego-go, nie dawało jeszcze podstaw do aresztowania chorążego. Oficjalnie nie miał już tej broni od lat.

Widocznie jednak Kamiński obawiał się, że wyniki ekspertyzy mogą skierować podejrzenia w jego stronę. Dlatego nie zawahał się odwiedzić ogrodnika i wyjąć kule z muru. Teraz zamieni je na inne i spokojnie pośle do Zakładu Kryminalistyki na Wiśniową. Albo po prostu uderzy w każdy pocisk ze dwa razy młotkiem tak, aby uszkodzić charakterystyczne karby. I kto mu dowiedzie, że kule nie spłaszczyły się przy spotkaniu z twardym murem?

Tak czy inaczej chorąży Jan Kamiński był na razie jedynym podejrzanym i w miarę upływu czasu poszlaki przeciw niemu stawały się coraz cięższe.

Gdy kapitan zdał pułkownikowi raport ze swojej wizyty w Nadarzynie, dowiedział się, że zgodnie z przypuszczeniami, nie tylko komendant posterunku w Nadarzynie, ale

również „powiatówka” w Pruszkowie bardzo się piekliła, że w pełni „sezonu” - a posterunki MO w okolicach Warszawy mają najwięcej pracy w miesiącach letnich - zabiera im się dwóch ludzi. Uspokoił się dopiero wtedy, kiedy Komenda Wojewódzka zgodziła się łaskawie przydzielić im w zamian za dwóch, skierowanych na przeszkolenie służby ruchu w Iwicznej, trzech milicjantów z własnej rezerwy. Pismo o powołaniu chorążego do szkoły oficerskiej w Szczytnie wysłano drogą służbową i dotarło do KPMO w Pruszkowie, gdzie nie wzbudziło wielkiego entuzjazmu. Kamiński zapoznał się już z terenem pracy i z obowiązków komendanta posterunku wywiązywał się ku zadowoleniu swojej bezpośredniej władzy. A tu raptem zabierają go na trzy lata do szkoły i trzeba będzie znaleźć kogoś na jego miejsce. Sam chorąży powinien dostać zawiadomienie najpóźniej w sobotę. Całą sobotę kapitan Kowalczyk spędził w rozjazdach. Najpierw długo konferował z głównym kasjerem KWMO, rezultatem tej narady był z jednej strony czek na Narodowy Bank Polski na sumę 300 000 zł, z drugiej pokwitowanie i zobowiązanie oficera MO, że przyjmuje pełną odpowiedzialność za otrzymaną kwotę. Następnie kapitan pojechał na Ksawerów do Komendy Głównej, gdzie po krótkiej rozmowie otrzymał odpowiednie pismo do jednego z dyrektorów Narodowego Banku Polskiego. Tam znowu konferencja, kilka poleceń wydanych przez dyrektora i Kowalczykowi wypłacono 300 000 złotych w nowiuteńkich banknotach pięćsetzłotowych. Razem 600 pięćsetek, czyli tak zwanych popularnie „brudasów”. Również Piotr Salamucha odwiedził Narodowy Bank Polski, chociaż nie centralę, lecz jego oddział w Pruszkowie. Złożył w okienku czek i poprosił o przygotowanie na poniedziałek 300000 złotych. Podkreślił, że pieniądze mają być wypłacone nowymi banknotami pięćsetzłotowymi.

W niedzielę punktualnie o godzinie pierwszej w południe kapitan zatrzymał motocykl przed domem państwa

38

39

Salamuchów. Tym razem drzwi otworzyła mu panna Ela. Zapraszając gościa do środka po cichu informowała:

- Rozkazy wypełniłam. Dom będzie pełen ludzi. Zaprosiłam wiele osób. Dwie najlepsze przyjaciółki ze swoimi sympatiami, wszyscy często u nas bywają. Ponadto trzech chłopaków z mojej „gwardii”. Dwaj to koledzy z wydziału ogrodniczego, jeden syn ogrodnika z sąsiedztwa. Kolega jeszcze ze szkoły. Od pewnego czasu, jak to mówią, uderza do mnie w konkury. Jego rodzice bardzo to popierają, rozmawiali nawet z ojcem o ewentualnym naszym małżeństwie.

- A pani?

- Lubię tego chłopca, lecz nie więcej niż innych. Zresztą mam czas. Przede mną jeszcze cztery lata studiów... Poza tym będą przyjaciele Zygmunta. Jeden z nich, Andrzej Nowaczyk, przyjechał już wczoraj i ofiarował się pomagać ojcu w tej tak gorącej dla nas porze. Pracował w biurze konstrukcyjnym, ale pokłócił się ze swoim bezpośrednim szefem i rzucił pracę. Drugi kolega brata, z politechniki, zjawił się z samego rana. Wzięli opryskiwacze i pojechali z ojcem na sam koniec ogrodu. Tam pod górkę, gdzie ojciec założył spory sad morelowy i brzoskwiniowy. Właśnie trzeba spryskać drzewka, bo pojawiły się pasożyty. Gdy jest praca, nie ma u nas święta...

Mama w kuchni, przygotowuje obiad. A Stasiak pojechał rowerem do Pruszkowa. Ale za chwilę wszyscy powinni się zjawić. Po obiedzie Zygmunt wyskoczy moskwiczem - pewnie widział pan samochód osobowy, ojciec kupił mu za to, że przeszedł na czwarty rok na politechnice - i przywiezie swoją „miłość”. To pierwsza wizyta tej dziewczyny w naszym domu, więc mama już od wczoraj piecze różne smakołyki. - To przyjemnie, że w ten sposób chce przyjąć sympatię syna, a może nawet swoją przyszłą synową?

- Widzi pan, Zygmunt jest trochę dziwnym chłopcem. Uczy się bardzo dobrze, a wygląda, jakby do trzech nie umiał zliczyć. Dzikus, zwłaszcza wobec dziewcząt. Przystojny, wysoki, wiele panien ciekawie na niego zerka. Niejedna chciała go rozruszać, a on ani be, ani me. Mama poważnie się martwiła. Toteż gdy nagle jej pierworodny zaczął się interesować Krysią, cały dom przeżywał wielką sensację. Bodaj nie mniejszą niż z wykupem.

- Pani zna tę Krysię?

- Nie. Nikt jej nie zna, ale ja ją widziałam. Dziewczyna jest ekspedientką w CDT w Warszawie. Przy stoisku z materiałami piśmiennymi. Tam właśnie brat ją poznał, szukając kalki kreślarskiej. Widocznie od razu wpadł w oko dziewczynie, bo kazała mu przyjść na drugi dzień. Potem chodził jeszcze kilka razy i ani się Zygmunt spostrzegł, jak go panna osiodłała. Kiedy dowiedziałam się o jej istnieniu, pobiegłam do cedetu, aby przyjrzeć się dziewczynie. Owszem, przystojna, zrobiona na brunetkę, tylko ma nieco za szerokie usta i za jaskrawo się maluje. Co prawda przy tych świetlówkach w CDT inaczej wyglądałaby na trupa.

Gdy tak gawędzili, a właściwie gdy Ela zdawała kapitanowi relację z wydarzeń ostatnich dni pod dachem ogrodników, usłyszeli warkot traktora.

- Ojciec z chłopcami wraca z sadu - zauważyła panna Ela.

Niedługo potem ogrodnik witał się z kapitanem. Przepraszał za spóźnienie i tłumaczył, że korzystając z bezde-szczowego poranka od szóstej rano ratował morele i brzoskwinie. Teraz tylko się umyje, zmieni kombinezon roboczy na garnitur i najdalej za dziesięć minut usiądą do stołu. Upłynął jednak dobry kwadrans, zanim pan Salamucha, już wyświeżony i odświeżnie ubrany, wszedł do gabinetu, gdzie panna Ela nadal zabawiała gościa rozmową.

- Bardzo prosimy, panie kapitanie. Serdecznie prosimy - gospodarz wskazał ręką drogę do jadalnego.

A tam stół już ugiął się pod stertą przekąsek domowej roboty i sprowadzonych z „Delikatesów”. Na kredensie stały butelki. Wśród nich wyróżniały się pękate karafki z domowymi nalewkami - ciemnoczerwoną wiśniówką, złotą morelówką, jasnoróżowym naparem z berberysu i brązową tarniówką. Kapitan dostrzegł tę baterię i zdrętwiał. Jeżeli tylko spróbuje z każdej butelki, to motor będzie prowadził w rękę aż do domu.

41

Wbrew protestom oficera milicji usadowiono go na honorowym miejscu. Pani domu zajęła krzesło naprzeciwko. Z jednej strony kapitana siedziała Ela, z drugiej Andrzej Nowaczyk, który okazał się młodym, bardzo sympatycznym człowiekiem. Grzeczny, zawsze chętny do posług, podawał półmiski z potrawami, wyręczał pana domu w nalewaniu kieliszków i pomagał pani domu w przynoszeniu potraw z kuchni. Widać

było, że Andrzej jest ulubieńcem państwa Salamuchów. Ogrodnik nie mógł się nachwalić pomocy i pracowitości, z jaką chłopak naprawiał do północy traktor, a dziś opylał drzewka morelowe.

Zupełnym przeciwieństwem ruchliwego i pogodnego Nowaczyka był najstarszy syn Salamuchów. Gdy wszedł, uklonił się i przedstawił kapitanowi, po czym w milczeniu zajął swoje miejsce. Na pytania odpowiadał krótko „tak” lub „nie”. Na próżno Ela usiłowała parokrotnie wciągnąć brata do ogólnej rozmowy. Jadł nie odzywając się ani słowem, a na talerz patrzył, jak gdyby to były tablice wyższej matematyki. Drugi przyjaciel Zygmunta, Zbigniew Sowa, wydał się kapitanowi nijaki. Może dlatego, że cały czas wpatrywał się jak sroka w gnat w pannę Elę. Dziewczyna czuła na sobie jego uparty wzrok. Korzystając z tego, że matka wyszła do kuchni, a ojciec sięgnął do kredensu po nową karafkę, zirytowana tą obserwacją pokazała mu język.

Zbigniew zaczerwienił się i do końca obiadu nikt nie usłyszał jego głosu.

Dopiero gdy zjedzono zupę, przy stole zjawiała się najmłodsza latorośl rodu, piętnastoletni Stasiak. Najpierw wysłuchał uwagi ogrodnika, że dom to nie knajpa, w której na posiłki można się zjawiać w dowolnej porze, a potem na rozkaz pani domu pomaszerował do łazienki. Swoim wyglądem przypominał bardziej młodego praktykanta kominiarskiego, niż syna podwarszawskiego milionera.

Po obfitym obiedzie, ciągnącym się prawie dwie godziny, Salamucha poprosił swojego gościa do gabinetu, gdzie panna Ela podała im kawę z domowymi likierami. Zygmunt prawie natychmiast po posiłku wyprowadził

42

swojego moskwicza z garażu i pojechał do Warszawy. Razem z nim zabrał się Zbyszek, a Andrzej ofiarował swoją pomoc w sprzątaniu pani Halinie i zapewniał, że razem z Elą pozmywa i przyszykuje wszystko do zapowiadanego podwieczorku. Gdy panowie zostali sami w gabinecie, badylarz poinformował kapitana, że czek zrealizuje w poniedziałek. Stefan wręczył panu Salamusze pieniądze, które uprzednio podjął w centrali Narodowego Banku Polskiego i pouczył ogrodnika, aby je zawiązał w szmatkę przysланą przez szantażystę i zgodnie z jego nakazem złożył osobiście o godzinie 10 we wtorek 10 lipca pod drzewem przy przystanku PKS w Jankach Małych. Potem badylarz ma wrócić do domu i tutaj oczekiwać dalszych dyspozycji. Natomiast banknoty podniesione w NBP w Pruszkowie ogrodnik winien zdeponować jeszcze w poniedziałek w KWMO w Warszawie. Oczywiście wszystko należy utrzymać w najgłębszej tajemnicy.

- Nie rozumiem, panie kapitanie, po co ta zamiana pieniędzy? - ogrodnik podejrzliwie oglądał wręczoną mu paczkę banknotów.

- To jest konieczne. Inaczej nie ręczę za życie pana ani też nikogo z pańskiej rodziny. Niech się pan zresztą nie obawia. Te pieniądze są jak najprawdziwsze. Niczym się nie różnią od innych banknotów. Sam je wczoraj podjąłem z kasy centrali NBP.

Około czwartej zjawili się pierwsi goście. Przede wszystkim bliski sąsiad, Jan Matejak, syn miejscowego ogrodnika, który przyniósł pannie Eli piękny bukiet sztamo-wych róż. Dziewczyna wzięła kwiaty i śmiejąc się powiedziała speszonemu tym chłopcu:

- Świetnie, Janku, że przyniosłeś taką miotłę. Będzie czym zamiatać schody.

Potem zjawili się Krzysztof Nowicki i Leszek Wróblewski - koledzy Eli z uczelni.

Wręczyli witającej ich pannie paczuszkę. Było tam... pół kilograma nadgniłych czereśni.

- Są bardzo brzydkie, więc od razu poznaliśmy, że z waszej plantacji.

43

Ela zagroziła chłopcom, że za karę będą musieli zjeść te czereśnie. Niczego więcej nie dostaną.

Przybyły również zaproszone dwie koleżanki ze swoimi sympatiami. Kapitan już wcześniej dowiedział się od panny Eli ich nazwisk i adresów, które skrętnie zanotował. Sześciu czy siedmiu chłopców, kolegów Stacha, przyjechało rowerami z Pruszkowa. To towarzystwo zaraz się ulotniło do ogrodu, otaczając troskliwą opieką grządki z czerwonymi, dojrzałymi truskawkami.

- Żeby zebrali chociaż tyle, ile zjedzą - westchnął ogrodnik - to byłoby bardzo dobrze.

Wreszcie już po piątej przed gankiem zatrzymał się moskwicz, z którego Zygmunt pomógł wysiąść ciemnej, przystojnej dziewczynie z kunsztownie upiętą piętrową fryzurą. Dziewczyna miała na sobie strojną sukienkę. Niebieski kolor szyfonu ładnie kontrastował z przybraniem ze srebrnej lamy. Krysia widocznie zupełnie nie rozumiała, że taka sukienka nadaje się na bal albo na dansing w „Grand Hotelu”, lecz nie na podwieczorek w wiejskim domu, nawet jeżeli ten dom jest nowoczesną willą kosztującą kilkaset tysięcy złotych.

Jednocześnie panna Krysia zachowywała się nienaturalnie. Starła się być jak najmilsza dla wszystkich, ale po prostu, jak to się mówi, „przełajnowała”. Gdy młodo jeszcze wyglądającą matkę Zygmunta, panią Halinę, usiłowała pocałować w rękę, a Piotrowi Salamusze rzuciła się w objęcia wyciskając swoją pomadką do ust krwawy ślad na policzku ogrodnika, młodzież i kapitan z trudem stłumili śmiech. Widząc nieudany debiut swojej najdroższej, Zygmunt stał się jeszcze bardziej milczący i chmurny niż zwykle.

Podano podwieczorek. Pani domu wystąpiła na nim z prawdziwym popisem sztuki cukierniczej. Andrzej dwoił się i troił obsługując gości i usiłując wprowadzić wesoły, beztroski nastrój. Toteż młodzież szybko się rozruszała. A gdy już wszyscy siedzieli przy rozsuniętym na całą długość stole, zjawił się ostatni, jedyny zresztą nieproszony gość, Bogdan Wielgos, urzędnik Narodowego Banku Polskiego w Pruszkowie.

Po podwieczorku stół zsunięto i postawiono pod ścianą. Jadalnia zamieniła się teraz w duży taneczny pokój. Ela przyniosła magnetofon i rozpoczęły się tańce. Kapitan siedząc wraz z państwem domu na tapczanie, obserwował zabawę.

- Może papierosa - zaproponował ogrodnik wyciągając z kieszeni papierośnicę.

Okazała się jednak pusta. - Przyniosę z gabinetu - rzekł. - Mam na biurku zapasowe pudełko.

- Proszę się nie trudzić - powiedział Zbyszek Sowa. - Ja przyniosę.

Za chwilę wrócił z papierosami.

Młodzież bawiła się coraz lepiej. Chłopcy zdjęli marynarki, nawet panna Krysia zachowywała się w tańcu bardziej naturalnie.

- Janek, wynieś tę swoją miotłę do gabinetu ojca i postaw na stolyczku. Tylko patrzeć, jak ktoś w tańcu machnie ręką lub zawadzi o kredens i przewróci. Tych badyli wprawdzie nie żal - panna Ela była bezlitosna dla konkurenta - ale wazon jest

kryształowy i bardzo go lubię.

Janek westchnął i wyniósł róże do gabinetu.

Upłynęło chyba z pół godziny. Kapitan zaproszony przez pannę Elę musiał tańczyć twista. Później, chcąc zrobić przyjemność nietańczącemu i coraz bardziej ponuremu Zygmuntowi, zaprosił do walczyka pannę Krysę, wreszcie spocony wylądował z powrotem na kanapie. Nawet pani domu puściła się w tany z młodzieżą. Chłopców było dwa razy więcej niż partnerek do tańca.

- Pan pozwoli zadzwonić? - zapytał gospodarza Bogdan Wielgos.

- Proszę bardzo. Telefon w gabinecie na biurku.

Gdy młody człowiek wrócił z gabinetu, Salamucha zaproponował kapitanowi:

- Co mamy przeszkadzać młodzieży swoją obecnością. Chodźmy do mojego pokoju. Żona poda nam dobrej kawki, a ja wyciągnę ustalą „pestkówkę”. Ten wiśniak ma już przeszło dwanaście lat, a pije się go jak wodę.

- Znam te stare nalewki. Pije się jak wodę, a potem ani ręką, ani nogą ruszyć.

Człowiek siedzi przy stole niczym kłoda drzewa i martwi się, czy do drzwi trafi o własnych siłach.

44

45

- Nie ma z tym zmartwienia - pocieszał ogrodnik. - Dom duży. W razie czego znajdzie się miejsce, aby odpocząć, a nawet przespać do rana.

Przeszli do gabinetu. Gospodarz zaczął się krzątać. Wyciągnął z dolnej części szafy bibliotecznej niewielką butelczynę. Bystre oko kapitana dostrzegło tam ładny zapasik różnych płynów. Szukając scyzoryka, aby odkorkować butelczynę, Salamucha zbliżył się do biurka. Na jego twarzy odmalował się wyraz zdziwienia. Wskazał ręką na blat. Kapitan podążył wzrokiem za tym ruchem. Na wierzchu różnych papierów leżała niebieska koperta adresowana na maszynie:

Ob. Piotr Salamucha.

I nic więcej.

Kapitan ostrożnie ujął za brzeżek koperty, otworzył ją i wyjął skrawek papieru.

Półgłosem odczytał:

Panie Salamucha!

Przypominam ostatni termin - wtorek 10 lipca, godzina 10. PKS. Janki Małe. Drugi raz nie będę strzelał w lampę. Śmierć albo pieniądze.

46

Rozdział IV

SZANTAŻYSTA ZABIERA PIENIĄDZE

Na biurku leżała duża, szara, zużyta koperta. Kapitan Stefan Kowalczyk z zachowaniem wszelkich ostrożności schował weń znaleziony przed chwilą list szantażysty.

- Nie mam wielkiej nadziei znaleźć odcisków palców na tym piśmie - powiedział - ale niczego nie można zaniedbać.

- Tata! - rozległ się głos od strony okna, przy którym stało biurko, i głowa najmłodszej latorośli rodu Salamuchów wychyliła się z zapadającego na dworze zmroku. - Był pan chorąży i prosił, żeby ojciec przed wyjazdem do Warszawy zadzwonił rano na posterunek MO, bo on chce się z wami zabrać do miasta.

- Dawno był? - spytał kapitan.
- Chyba z pół godziny minęło.
- A gdzie go spotkałeś?
- Przed domem. Przy tym oknie. Pan chorąży chciał wejść, aby porozmawiać z tatusiem. Ale gdy zobaczył, że u nas tyle gości, to cofnął się i tylko kazał mi powiedzieć o tym telefonie. No, lecę zsypać truskawki z koszy do magazynu, bo chłopaki już odjeżdżają. Aleśmy narwali! Cztery czubate kosze. Będzie ojciec płacił.
- Znowu ten chorąży - mruknął oficer - ale prócz niego mogli podrzucić i Zbigniew Sowa, i Bogdan Wielgos. Obaj wchodzili do gabinetu. Jeden po papierosy, drugi do telefonu.
- Nie tylko oni mogli wejść. Drzwi były przecież otwarte - zauważył ogrodnik.
- Panie Piotrze - poprosił kapitan - niech pan jakoś zręcznie, bez zwracania niczyjej uwagi, zawoła pannę Elę.

47

Salamucha wyszedł z gabinetu, zatrzymał się w drzwiach jadalni, gdzie młodzież niezmordowanie tańczyła, i powiedział do córki:

- Elka, przynieś dwie kawy do mojego pokoju. Gdy Ela zjawiała się z kawą, kapitan zapytał:
- Czy zauważyła pani, kto wchodził do gabinetu w tym czasie, gdy jedliśmy podwieczorek, i później, gdy zaczęły się tańce?
- Do gabinetu? Tutaj? - Ela usiłowała sobie przypomnieć. - Najpierw zaprowadziłam Krysię do sypialni rodziców, bo w tańcu pękło jej ramiączko i musiała je przyszyć. Przechodziłyśmy przez ten pokój. Zostawiłam ją samą w sypialni, żeby się doprowadziła do porządku, i wyszłam. Chyba wracała również tędy, a nie przez łazienkę i korytarz. Nasza łazienka, jeżeli pan to zauważył, ma dwie pary drzwi. Jedne bezpośrednio do sypialni rodziców, drugie na korytarz prowadzący z holu do kuchni.
- A prócz panny Krysi?
- Widziałam, że dziewczęta chodziły poprawiać fryzury. One często bywają u nas i dobrze znają rozkład domu, mogły więc przechodzić przez gabinet. Chłopcy wychodzili na dwór na papierosy. Drzwi od gabinetu były otwarte, a na popielnicze stojącej na stoliku widać sporo niedopałków. Co prawda nikogo z nich w tym pokoju nie widziałam, ale dużo tańczyłam i mogłam nie zauważyć... A co się stało?
- Ktoś tu grzebał w papierach pana Salamuchy. Jak gdyby szukał pieniędzy - skłamał na poczekaniu kapitan nie chcąc wtajemniczać dziewczyny we wszystkie szczegóły sprawy.
- Nic dziwnego. Ojciec nigdy niczego nie zamyka. Aż dziw, że go dotąd nie okradli. No, ale muszę śpieszyć do gości. Czy są jakieś dalsze polecenia?
- Nie. Bardzo dziękuję. Nawet nie śmiem pani zatrzymywać słysząc to „cha-cha-cha”.

Nazajutrz kapitan zreferował pułkownikowi przebieg wypadków.

48

- Z przysłanego listu wyraźnie wynika, że szantażysta gotów jest podjąć próbę zainkasowania pieniędzy wiedząc nawet, że milicja zrobi obstawę. Nie przypuszczam, żeby amator 300 000 złotych był tak naiwny i wierzył w towarzyski

charakter moich dwóch wizyt w domu ogrodnika. Mimo to postanowił iść na całego, jest bardzo pewny siebie i liczy, że mu się uda.

- Jak wygląda teren?

- Janki Małe to miejscowość oddalona około dwóch kilometrów od Janek, rozwidlenia autostrad do Krakowa i Katowic. Janki Małe leżą przy szosie katowickiej. Jest tu przystanek PKS. Po obydwu stronach szosy, lecz już za rowem, rosną drzewa. Zaraz za przystankiem znajduje się topola, pod którą szantażysta kazał złożyć okup. Stojąc na szosie twarzą do Nadarzyna, po lewej stronie mamy trzy zabudowania gospodarcze i jeden placyk ogrodzony siatką z prowizorycznym domkiem campingowym. Między tym placikiem a jednym z gospodarstw odchodzi od autostrady polna droga. Prowadzi ona najpierw między opłotkami, a później wśród zboża do szosy krakowskiej, oddalonej o jakieś półtora kilometra. Po prawej stronie szosy katowickiej, trochę bliżej Warszawy, mamy również jakąś boczną drogę, a przy niej dwa biało malowane domki. Jeden piętrowy, drugi mniejszy. Inne domostwa znajdują się w głębi i oddalone są od przystanku PKS co najmniej pół kilometra.

- Jak sobie wyobrażacie całą akcję?

- Myślałem o tym cały czas. Wyobrażałem sobie, że to ja mam podjąć te pieniądze. Widzę tylko dwa sposoby. Jeden to podjechać pod przystanek szybkim autem, a raczej motocyklem. Zatrzymać motor. Można nawet nie gasić, lecz jedynie oprzeć o przystanek autobusowy. Następnie skok po pieniądze, na motor i gazu! Sądzę, że szantażysta użyje raczej motocykla, bo jest to pojazd bardziej dostępny i daje możliwość ucieczki nie tylko szosą, ale i bocznymi drogami. Facet wie, że będziemy siedzieli w domach i w zbożu. Liczy, że uda mu się wyzyskać przewagę tych kilku sekund, które potrzebne będą milicji do wyskoczenia na szosę i uruchomienia ich maszyn.

49

- Ryzykowny pomysł - zauważył pułkownik.

- Rzeczywiście ryzykowny - zgodził się kapitan. - Ale szantażysta idzie przecież na całego.

- A druga koncepcja?

- Sam nie pokaże się przy przystanku PKS, tylko przyśle kogoś niewtajemniczonego i będzie czekał na paczkę w umówionym miejscu. Może małego chłopca lub dziewczynkę? Obieca cukierki za przyniesienie leżącej paczuszki? Będzie liczył na to, że albo nie zauważymy małego posłańca, albo go nie zatrzymamy, a jedynie będziemy śledzili, dokąd dziecko idzie. W umówionym miejscu szantażysta będzie na motocyklu czekał na pieniądze. Zabierze je i rzuci się do ucieczki. Idąc za dzieckiem nie będziemy mogli użyć żadnego pojazdu, więc człowiek na motocyklu ma od razu handicap środka lokomocji. Uważa też, zresztą słusznie, że nie użyjemy broni palnej, aby nikogo nie ranić na tej tak uczęszczanej szosie.

- Hm! - mruknął pułkownik. - Rozumujecie, kapitanie, słusznie, logicznie, ale coś mi się widzi, że ten facet wykombinował jakiś ekstra sposób dobrania się do leżącej pod drzewem forsy. Przecież wie, że i my potrafimy myśleć.

- Zastanawiałem się nad różnymi sposobami. Przystudiowałem wszystkie słynne światowe przestępstwa w tej dziedzinie i jedynie te dwie metody wydają mi się

możliwe. Przestępca musi liczyć na swoją odwagę i szybkość. To jest jego szansa. Przecież nie podkobie się jak kret, aby zabrać pieniądze. Nie użyje również helikoptera, bo go nie ma. Duchy także nie zjawią się po paczkę.

- Mógłbym się nawet założyć - pułkownik lubił zakłady, czego najlepszym dowodem, iż był stałym klientem miejscowego punktu „toto-lotka” - że amator 300 000 złotych nie zastosuje żadnego z przewidywanych przez was systemów, a jednak spróbuje zainkasować pieniądze. Jakie zabezpieczenie proponujecie?

- We wszystkich domach ukryję milicję. Sam zajmę miejsce obserwacyjne przy oknie na pięterku w białym domku. Będę miał radiostację połączoną z aparatami milicji. Obie drogi boczne zastawię barierami. W Jankach, na skrzyżowaniu szos, będzie stała milicyjna warszawa. Nieco z tyłu drugie szybkie auto z rezerwą. Za Jankami Małymi w stronę Katowic dwa samochody milicyjne.

- To wszystko?

- Nie. To tylko część mojej obstawy. Poza tym na miejscu będę dysponował dwoma szybkimi motocyklami. Na szosie, jakieś pięćdziesiąt metrów od przystanku PKS, dwie partie robotników będą naprawiały szosę. Połowę jej zagrozi się kozłami. Oczywiście robotnikami będą nasi ludzie przebrani w kombinezony. Prócz tego będą oni mieli specjalne bale nabijane ostrymi gwoździemi. Na pierwszy alarm rzucają te bale na drogę. Przez taką przeszkodę ani samochód, - ani motocykl nie przejedzie. Porwie gumy. Również w zbożu, w promieniu pięćdziesięciu metrów od przystanku, umieszczę milicję. Aby nie wzbudzać żadnych podejrzeń, „grupa drogowa” już dzisiaj reperuje szosę w pobliżu Janek i obecność robotników w dniu jutrzejszym będzie zupełnie naturalna.

- Tak... - zastanawiał się pułkownik. - Ten figiel z belką wrzuconą pod koła samochodu, to jedyny oryginalny pomysł w całej tej sprawie. Przyznaję, że dowcipne. Reszta stereotypowa i na pewno przewidziana przez przestępcę.

- A jednak gwarantuję, że żaden człowiek nie zdoła się prześliznąć przez ten kordon.

- A jeśli zjawi się, jak przypuszczacie, dziecko?

- Wtedy bierzemy je do samochodu i jedziemy do przestępcy. Na wszelki wypadek kupię tabliczkę czekolady, aby dogadać się z małym obywatelem. Patrole na szosie będą zresztą obserwować nie tylko pojazdy, ale nawet przechodniów. W każdej warszawie umieścimy fotografa, aby robił zdjęcia ludzi zbytnio kręcących się przy szosie.

- Jak widzę, kapitanie, obstawiacie się na wszystkie sposoby.

- Nic dziwnego. W kasie jest przecież moje pokwitowanie na 300 000 złotych do wyliczenia. To nie w kij dmuchał.

- Zgodnie z przepisami możemy wam potrącać po 40 procent z poborów. Jeżeli przestępca uda się podjąć pie-

50

51

niądze, macie zapewnioną służbę w milicji przynajmniej do setnego roku życia.

Mowy nie ma, żebyśmy was przedtem zwolnili na emeryturę.

- Nie będzie tak źle!

- Ja, niestety, nie jestem tego tak bardzo pewny.

- Obywatel pułkownik zawsze odnosił się pesymistycznie do moich poczynań. A ja

przywiozę jutro z Janek Małych przestępcę.

- Życzę powodzenia.

*

Nazajutrz od samego rana szosa krakowska przedstawiała niecodzienny widok. Przynajmniej dla niewtajemniczonego. Tuż przy skrzyżowaniu, około 100 metrów od nowoczesnej stacji obsługi, stała milicyjna warszawa. Dwaj funkcjonariusze służby ruchu zatrzymywali wszystkie samochody skręcające w stronę Katowic i nie tylko sprawdzali prawa jazdy, ale również legitymowali jadących, a ich nazwiska skrzętnie zapisywali w notatnikach służbowych. Około pół do dziesiątej pod stację benzynową zajechał mercedes. Wóz postawiono na parkingu. Kierowca został w maszynie, a dwóch pasażerów udało się do małego barku kawowego. Zamówili kawy i usiedli przy oknie w taki sposób, aby mieć widok na szosę katowicką i na swój samochód. Podróżni wcale nie okazali niezadowolenia, gdy sympatyczna bufetowa oświadczyła, że kawa będzie dopiero za piętnaście minut, ponieważ jeszcze nie ma ciśnienia w „expressie”. Oświadczyli, że to nic nie szkodzi i z przyjemnością zaczekają. Nie ma się co śpieszyć. Jeden z mężczyzn zaczął się bawić z szarym, wesołym kotem, który szybko wyniuchał, w której kieszeni płaszczka przybysza znajduje się bułka z szynką i umiał ją wyżebrać przymilnymi skokami i ocieraniem się o nogi. Drugi mężczyzna, widocznie zapalony radioamator, wyjął z kieszeni ciekawą w kształcie aparat i usiłował złapać jakąś muzyczkę. Ale to mu się nie udawało. Zamiast jazzu z eteru płynęły słowa „Tu Wega, tu Wega. U mnie wszystko w porządku. Przechodzę na odbiór”. Na próżno kręcił gałką.

52

W równych odstępach czasu rozlegał się ten sam głos: „Tu Wega...” Co dziwniejsze, parę minut po dziesiątej kierowca mercedesa uruchomił motor i tak ustawił swoje auto, aby móc natychmiast wyjechać na drogę. Drzwi samochodu były uchylone. Kiedy samochody jadące w stronę Nadarzyna, po formalnościach sprawdzania prawa jazdy i legitymowania pasażerów, ruszały w dalszą drogę, zanim nabrały większej szybkości, już musiały hamować. Większą część szosy zamykała bariera. Pozostawał jedynie wąski przejazd jej lewą stroną. Toteż tworzyły się tu nieustanne korki. Na domiar złego pół kilometra dalej szosa znowu była zamknięta podobną barierą. Trzeba przyznać, że robotnicy zatrudnieni przy naprawie drogi nie budzili żadnych podejrzeń. Zachowywali się tak jak ich koledzy po fachu - niewiele robili, palili papierosy, jedli drugie śniadanie i interesowali się wszystkim, tylko nie swoją robotą. Nie dość na tym. Ledwie wozy minęły zator spowodowany robotami drogowymi, znowu napotykały warszawę i innych funkcjonariuszy ruchu. Ci dla odmiany zatrzymywali pojazdy zdążające do stolicy.

- Cholera - klęli kierowcy - jak ładny dzień i prosta szosa, to ich pełno. Za to na zakręcie i w nocy, kiedy furmanki i rowerzyści bez świateł włączają się po całej autostradzie, wtedy milicjanta nie zobaczysz nawet na lekarstwo.

Tymczasem kapitan Kowalczyk, rozstawiwszy swoje sieci, jak pajak czuwał w środku czatując na ofiarę. Urządził się wygodnie w małym pokoiku na pięterku białego domku. Razem z porucznikiem Linkowskim, który pełnił w tej akcji rolę jego zastępcy, siedzieli za firanką, obserwując szosę. Na stoliku stała radiostacja. Była zestrojona ze wszystkimi aparatami wozów milicyjnych, posterunków ukrytych w

pozostałych zabudowaniach i w zbożu. Obaj oficerowie mieli również wielkie lornetki. Na dole, na podwórzu stały motocykle gotowe na każdy rozkaz natychmiast wyruszyć w pościg.

Regularnie co trzy minuty porucznik Linkowski brał mikrofon do ręki i powtarzał:

„Tu Wega, tu Wega. U mnie wszy-

53

stko w porządku. Przechodzę na odbiór". Za chwilę głośnik radiostacji podawał kolejno odpowiedzi innych posterunków. U nich również nie zauważono nic podejrzanego.

Pięć minut po dziesiątej jadący z Warszawy swoją ciężarówką Piotr Salamucha zatrzymał się koło przystanku PKS. Wyszedł z szoferki i ciekawie rozejrzał się wokoło. Nikogo jednak nie zauważył. Ogrodnik przeszedł przez rów, okrążył drzewo i położył pod nim białe zawiniątko. Potem wrócił do ciężarówki i pojechał dalej.

W tej chwili odezwała się radiostacja na pięterku. „Tu Wega. Tu Wega. Paczka jest na miejscu. Nakazuję wzmożoną czujność. Przechodzę na odbiór."

W odpowiedzi pozostałe radiostacje zameldowały, że odebrały meldunek i pozostają w pełnej gotowości.

Mijały minuty i kwadranse. Porucznik Linkowski nieustannie powtarzał swoje „Tu Wega..." Odpowiadano mu niezmiennie, że niczego podejrzanego nie zauważono.

Tak minęła prawie godzina. Kapitanowi Kowalczykowi oczy łzami zachodziły od obserwowania przez wielką lornetę całej okolicy aż po kraniec horyzontu. Nic się jednak nie działo. Na szosie panował normalny ruch. Ilość samochodów podążających od strony Warszawy bardzo się zmniejszyła. O wiele też mniej furmanek powracało ze stolicy. Ogrodnicy i chłopci zdążyli już sprzedać swój towar i dawno wrócili z Zieleniaka. Za to więcej samochodów mijało punkt obserwacyjny milicji, dążąc do Warszawy. To były wozy, które wyjechały rankiem ze Śląska i teraz dobijały do mety.

- Nie przyjdzie drań - odezwał się porucznik. - Przestraszył się widocznie albo dowiedział o obstawie.

- O obstawie to on dobrze wiedział już przedtem. Przecież drugi raz zastawia się pułapkę. Najpierw „powiatów-ka", a teraz my. Za pierwszym razem nie zgłosił się, gdyż prawdopodobnie wiedział, że zamiast pieniędzy w paczce są pocięte gazety. Dlatego zarządziłem, aby dzisiaj leżały tam najprawdziwsze pięćsetki. Sądzę, że się zjawi.

- Już by był. Przeciąganie stanowi dla niego ryzyko, bo chociaż paczka jest niewidoczna od strony szosy, leży

54

w miejscu bardzo uczęszczanym. Pierwszy lepszy człowiek czekający na autobus może ją znaleźć, gdy znużony zechce odpocząć na trawie.

- Poprzednio, jak podaje raport „powiatówki", milicja czekała pięć godzin i nikt nie zauważył paczki. Ale i moim zdaniem nie będziemy tutaj tak długo siedzieć. Jeżeli w ciągu następnej godziny nikt się nie zjawi po pieniądze, damy polecenie, aby Salamucha przyjechał i zabrał je z powrotem. Dopiero wtedy zlikwidujemy całą obstawę. Na razie nie pozostaje nam nic innego jak czekać cierpliwie.

Upłynął znowu kwadrans. Na szosie nie działo się nic ciekawego. Na próżno kapitan

Kowalczyk kierował swoją lornetkę w różne strony. Poza dużym, czarnym psem, biegnącym skrajem drogi, nie było widać żywego ducha. Pies biegł tuż przy rowie, coraz to przystawał pod jakimś drzewem, aby je uważnie obwąchać. Z braku innego obiektu do obserwacji, obaj oficerowie przyglądali mu się z uwagą. Był to ładny, duży okaz owczarka alzackiego. Czarny, podpalany, z długą mordą, stojącymi spiczastymi uszami i prostą spuszczoną w dół kitą.

Właśnie pies dobiegł do drzewa, pod którym leżała paczka. Zatrzymał się i obwąchał pień topoli. Dostrzegłszy białe zawiniątko przysunął do niego swój czarny nos, z widocznym zadowoleniem pomachał parę razy ogonem, po czym złapał paczkę w zęby, szybko przebiegł przez szosę, przesunął się pod barierką, którą przezorny kapitan Kowalczyk kazał postawić dla zamknięcia przejazdu na bocznej drodze, a następnie wielkimi skokami przebiegł kilkadziesiąt metrów między opłotkami ciągnącymi się wzdłuż tej drogi, a wreszcie zniknął z pola widzenia między łanami zbóż.

Kapitan Kowalczyk nie stracił zimnej krwi. Zerwał się z miejsca i biegnąc w stronę schodów, rzucił swojemu zastępcy:

- Wydać rozkaz zamknięcia szosy krakowskiej. Zatrzymywać w Jankach wszystkie samochody, motocykle, nawet pieszych i rewidować w poszukiwaniu pieniędzy.

Wszyscy milicjanci szeroką obławą mają gonić psa w stro-

55
nę autostrady na Kraków. Warszawa i mercedes, stojące w kierunku Nadarzyna, niech natychmiast jadą pierwszą boczną drogą do szosy krakowskiej i tam ją zamkną.

Kapitan zbiegł ze schodów, wskoczył na stojący na podwórzu motocykl i z jednym z milicjantów na siodełku z tyłu skierował się na drogę, którą przed chwilą biegł wilczur. Musieli się jednak zatrzymać, aby przesunąć motor pod barierką. Pies zrobił to dużo sprawniej i szybciej. Gdy pokonali już tę przeszkodę, oficer milicji dodał gazu swojemu junakowi, aż motor zawył na pełnych obrotach.

Niestety, nie udało się długo utrzymać tej szybkości. Miedza wybrana przez czarnego psa jako trasa ucieczki nadawała się do wszystkiego, tylko nie do jazdy motocyklem. Chociaż kapitan ryzykował skruceniem karku, nie mógł wyzyskać wszystkich możliwości maszyny. Było jasne, że na tej drodze czworonożne bydlę musi być szybsze niż produkt szczecińskiej fabryki motocykli.

Mimo to kapitan nie ustawał w wysiłkach i kontynuował wariacką jazdę. Do szosy krakowskiej było coraz bliżej. Gdy znaleźli się o jakieś 200 metrów od niej, kapitan usłyszał głuchy odgłos. Jak gdyby strzał rewolwerowy oddany gdzieś na szosie. A droga była coraz gorsza. Jechali teraz już nie miedzą, ale po prostu przedzierali się na przełaj przez zagon żyta.

Wreszcie skończyła się ta makabra i wypadli na szosę. Była pusta. Kapitan zahamował motor, zszedł z siodełka i rozejrzał się wokoło. Ani jednego przechodnia, ani rowerzysty lub motocyklisty. Nawet żaden samochód nie przejeżdżał w ciągu ostatniej minuty. Horyzont był czysty.

- W ziemię się zapadł czy co? - zauważył milicjant.

O jakieś sto metrów od miejsca, gdzie wydostali się na autostradę, widać było duży ogród otoczony siatką i wysokim żywopłotem. Wzdłuż żywopłotu ciągnęła się boczna droga. Duży kierunkowskaz głosił „Łaszczki 2 km”. Na tej drodze także było

pusto.

- Jedźmy tam - zdecydował kapitan wsiadając na motor.

56

Podjechali do drogi, skręcili w nią i jechali dalej uważnie się rozglądając. Nagle kapitan gwałtownie zahamował. Zeskoczył z siodła i podszedł do krzaków żywopłotu.

Tu, wciśnięty między gałęzie, skurczony w nienaturalnej pozycji, leżał wielki czarny pies, cel ich szaleńczego pościgu. Głowę miał spuszczoną, oczy zamknięte, różową pianę na pysku. Usłyszał kroki, a może poczuł zapach obcego, bo otworzył oczy, z trudem podniósł łeb i obnażając wielkie białe kły, usiłował warknąć. Ale z jego gardła wydobył się tylko krótki jęk, a między zębami ukazała się nowa porcja różowej piany. Łeb bezwładnie stoczył się na łapy.

57

Rozdział V:

GDY DECYDUJĄ MINUTY

Z pomocą towarzyszącego mu kaprala kapitan Kowalczyk wyciągnął nieprzytomne zwierzę z krzaków żywopłotu. Pies miał dużą ranę z prawej strony klatki piersiowej. Za każdym oddechem krew wyciekała z broczącej rany.

- Zastrzelił go, a sam drań uciekł z pieniędzmi - stwierdził milicjant. - Żeby go dostał w swoje ręce! Taki piękny pies. A jaki mądry! Poszedł, wziął pieniądze i przyniósł swojemu panu. A ten zapłacił mu za to kulka!

Oficer nie słuchał tego monologu. Z uwagą oglądał ranę psa. Kula prawdopodobnie przebiła płuca i ugrzęzła gdzieś w okolicach łopatki. Strzał był oddany z bardzo bliska. Widocznie przestępca przystawił broń do piersi zwierzęcia, bo rana była osmalona, a w jej pobliżu, na sierści znajdowały się cząsteczki niespalonego prochu. Tylko dlatego że strzelano z tak krótkiego dystansu, pies jeszcze żył. Kula nie mogła nabrać impetu. Inaczej poszłaby dużo głębiej. W ostatnim momencie przed strzałem pies musiał się również nieco poruszyć, co zmieniło kierunek drogi pocisku. Poszedł on trochę na skos, w prawo, w stronę łopatki. Tak czy inaczej chwile życia psa były już policzone. Oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy, na ziemi zwiększała się czerwona piana krwi.

- Opatrunek - rozkazał kapitan, nie odwracając nawet głowy do milicjanta stojącego już przy motocyklu.

Kapral wyjął z bagażnika małą polową apteczkę, w jaką są zaopatrzone wszystkie pojazdy milicyjne, i podał ją oficerowi. Ten odkorkował buteleczkę z płynem dezynfekcyjnym, zmoczył w nim kawałek waty i zaczął ostrożnie obmywać ranę. Widocznie zabieg musiał być bolesny, bo pies odzyskał przytomność. Otworzył oczy i kierując mordę w stronę ręki kapitana wysunął czerwony długi jęzor i przeciągnął nim po dłoni oficera.

- Kapralu - kapitan wydał drugie polecenie - natychmiast sprowadzić do mnie z Janek warszawę. I powiedzcie, żeby otworzyli szosę i przerwali rewidowanie przejeżdżających.

Milicjant obrócił motocykl, kopnął nogą w rozrusznik i błyskawicznie wskoczył na junaka. Na zakręcie gnał już chyba siedemdziesiątką. Tymczasem Stefan starał się zatamować upływ krwi z rany, założył prowizoryczny opatrunek i bandażował w

poprzek całą pierś zwierzęcia. Pies znowu zemdlął.

O tej samej godzinie zarządzona przez kapitana obława, idąca szerokim pasem w klinie obu szos, dotarła do autostrady katowickiej. Zaroło się na niej nagle od mundurów milicyjnych i od kombinezonów rzekomych robotników. Zobaczywszy z dala sylwetkę swojego dowódcy na drodze do Łaszczyk, milicjanci schodzili się tam w oczekiwaniu dalszych dyspozycji. Gdy spostrzegli na ziemi nieruchome, piękne zwierzę, nie kryli swojego oburzenia.

- A to świnia! - zauważył jeden z sierżantów MO. - Jak nigdy dotąd nie strzelałem do człowieka, nawet do tego bandyty Łuczaka, kiedy go goniłem, to tego łobuza zastrzeliłbym z zimną krwią. Jeszcze tak bym celował, aby drań pomęczył się przed śmiercią.

- Z tego psa nic nie będzie. Już zdycha. Zaraz kojfnie. Taki ładny. Miałem dawniej wilka, ale był mniejszy i szary.

- To nie pies, a suka - zauważył inny.

- Niech który wybiegnie na drogę - zakomenderował kapitan. - Gdy nadjedzie warszawa, ma od razu tutaj skręcić.

- Obywatel kapitan chce tego psa uratować? - spytał jeden z rzekomych robotników.

- Będę się starał. Szkoda zwierzęcia.

- Gdyby wyżył, to mógłby zaprowadzić do swojego pana - w sierżancie Matuszczyku odezwał się służbista. - Przecież ona jedna wie, komu zaniósła pieniądze.

58

59

- Trzeba ją zawieźć prosto do weterynarza.

- Najlepiej do doktora Ditkowskiego, na trasie NS, prawie naprzeciwko Hali Mirowskiej.

- Doktor Szczypiorski na Żoliborzu też dobry. Ojciec leczy u niego swoje konie - powiedział inny z milicjantów, którego rodzice prowadzili gospodarstwo w Dziekanowic - A kiedyś, gdy nasza krowa prawie zdychała i tydzień nie chciała wziąć, to Szczypiorski ją uratował.

- To ten, który bada konie na Wyścigach? - ktoś zapytał.

- Ten sam. Jeździ na motocyklu. Raz u mnie mandat zapłacił.

W tej chwili warszawa z wielkimi literami MO po obu swoich bokach podjechała do rozmawiającej grupki. Kapitan schylił się i wziął sukę na rękę.

- Ależ ciężka - zauważył. - Waży chyba ze czterdzieści kilogramów.

Ostrożnie niosąc psa kapitan usadowił się na tylnym siedzeniu samochodu nie puszczając suki z kolan. Wydał ostatnie polecenia:

- Motocykl niech jedzie w stronę Katowic. Sprowadzi obydwa samochody, które zamknęły szosę. Nie mają tam nic do roboty. Ten, co zabrał forsy i strzelił do psa, na pewno uciekł wprost przez pola albo leży nawet gdzieś w pobliżu i śmieje się z nas. Kapralu, proszę, zaraz zatelefonujcie z Janek, na stacji mają telefon, do Kliniki Weterynaryjnej na Grochowie, że jedziemy z ciężko rannym psem. Żeby wszystko przygotowali do operacji. Ruszajmy!

Warszawa skręciła i wyjechała z bocznej drogi na autostradę. Oficer jeszcze raz ją zatrzymał.

- Połączcie mnie z porucznikiem Linkowskim - rozkazał radiooperatorowi siedzącemu obok kierowcy.

Na sygnał wywoławczy rozległ się głos porucznika:

- Tu Wega, tu Wega. Słyszę was. Przechodzę na odbiór.

- Mówi Kowalczyk - kapitan w pośpiechu zrezygnował z hasła. - Likwidujcie akcję i wracajcie na Sierakowskiego. Odbiór.

- Tu Wega - porucznik Linkowski był jak zwykle skrupulatny. - Likwiduję akcję, wracamy na Sierakowskiego. Czy uciekł? Przechodzę na odbiór.

- Uciekł drań, ale mamy psa. Teraz jadę na Grochowską do Kliniki Weterynaryjnej. Staremu sam złożę raport. Odbiór.

- Zrozumiano. Jedźcie na Grochowską. Staremu za żadne skarby, nawet za te 300 000 złotych nie ośmieliłbym się nic powiedzieć. Przechodzę na odbiór.

- Wyłączam się - na znak kapitana radiooperator zamknął aparat.

- No, a teraz gazu. Jak najszybciej na Grochowską. Wiecie, gdzie to jest?

- Pewnie że wiem. Warszawski rodak jestem - oburzył się kierowca dodając gazu. - Między Weterynaryjną a Pod-skarbińską.

Na skrzyżowaniu szos w Jankach, koło czarnego mercedesa stała grupka milicjantów. Na widok powracającej warszawy wyszli naprzeciw, na jezdnię, pragnąc się czegoś dowiedzieć. Ale kierowca uruchomił syrenę i jeszcze zwiększył szybkość. Milicjanci odskoczyli na bok, a samochód całym pędem skierował się na szosę krakowską.

- Gazu - poganiał oficer.

Gnali tak prawie setką aż do placu Narutowicza. Tutaj kapitan rozkazał:

- Włączyć syrenę i prosto w Grójecką. Nie objeżdżać. Nie mamy ani chwili do stracenia.

Plac Zawiszy przelecieli po torowisku tramwajowym nie zważając na znaki zamykające ruch uliczny. Skrzyżowanie Alei Jerozolimskich z Żelazną minęli nie bacząc na czerwone światło i prawie cudem wyminęli potężną ciężarówkę wyjeżdżającą z wiaduktu. Teraz pędzili asfaltem do Marszałkowskiej. Tu ruch był coraz większy, więc kierowca mimo stale włączonej syreny musiał nieco zwolnić. Przy Poznańskiej, widząc czerwony sygnał i rząd stojących aut i wozów tramwajowych, wyjechali na lewą stronę jezdni, wyminęli cały korek i już byli po drugiej stronie Marszałkowskiej. Koło Cedetu mieli szczęście - trafili na zielo-

60

ne światło. Za to Nowy Świat przecięli starą metodą, wprost po jezdni tramwajowej.

- Teraz gazu - poganiał kapitan Kowalczyk. Kierowca i bez tej zachęty wyciskał z milicyjnej warszawy ostatni dech. Wskazówka szybkościomierza przekroczyła znak 100 i posuwała się coraz bardziej w prawo.

- Żeby nam tylko jakiś bałwan nie włożył pod koła - martwił się radiooperator.

Na głos syreny jednak piesi uciekali z jezdni, zaś samochody zwalniały i zjeżdżały na boki zostawiając środek jezdni wolny. Pędzili więc bez przeszkód.

- Jedziemy prosto ulicą Waszyngtona - rozkazał kapitan. - Mniejszy ruch, będzie prędzej.

Kierowca zajęty prowadzeniem wozu nic nie odpowiedział, nieco zwolnił na Rondzie i wpadając w Waszyngtona znowu zwiększył szybkość. Jeszcze jedno rondo i byli na

Grochowskiej.

- Zajeżdżaj do środka - polecił kapitan kierowcy warszawy.

- Już się robi - odpowiedział sierżant i uruchomił syrenę. Ludzie idący chodnikiem Grochowskiej uskoczyli na widok samochodu całym pędem wtaczającego się w bramę kliniki weterynaryjnej.

Do zatrzymanego się wozu podszedł młody człowiek w białym kitlu:

- To ten milicyjny pies? - zapytał. - Dzwoniono do nas i wszystko przygotowane do zabiegu. Pan adiunkt czeka na sali operacyjnej.

Młody człowiek, jak się później okazało jeden ze stażystów, pomógł kapitanowi wysiąść z wozu i przytrzymując nieprzytomną ciągle sukę zaprowadził go do budynku stojącego na lewo od wejścia. Minęli mały korytarz i znaleźli się w dużej sali. Jej środek zajmował stół obity ceratą. Nad stołem wisiała wielka lampa bezcieniowa. Przy małym stoliku, z boku, gdzie leżały rozmaite narzędzia i aparaty, stało trzech mężczyzn w białych kitlach. Widząc mały pochód, niosący ranne zwierzę, najstarszy z tej grupki polecił:

- Połóżcie sukę na stole. Nie, nie tak, raną do góry. Umocować!

Młodzi lekarze weterynarii szybko i zręcznie unieruchomili sukę przy pomocy specjalnych pasów. Chirurg pochylił się nad pacjentką.

- Rana postrzałowa w prawą pierś - informował kapitan. - Założyłem prowizoryczny opatrunek. Bardzo krwawiła.

Lekarz sięgnął po jeden z lancetów i przeciął bandaż. Następnie usunął opatrunek i bacznie przyjrzał się ranie, która znowu zaczęła krwawić.

- Zastrzyki na podtrzymanie akcji serca i surowicę przeciwwężcową - rozkazał pomocnikom. Sam umył ręce i włożył gumowe rękawiczki.

Tymczasem jeden z lekarzy nappełnił strzykawkę i zręcznie wbijając igłę pod skórę zwierzęcia zrobił zastrzyk. Po chwili powtórzył ten zabieg inną strzykawką. Drugi asystent chirurga obmywał ranę gazą, przepojoną płynem dezynfekcyjnym.

- Dobrze, że suka jest nieprzytomna. Przy takim wykrwawieniu i bardzo słabej akcji serca obawiam się, że nie wytrzymałaby narkozy - zauważył chirurg.

- Czy uda się ją uratować?

- Mam nadzieję. Psy mają twarde życie. Skoro udało się wam przewieźć ją żywą do nas, chyba zdołamy ją uratować. Po adrenalinie i innych zastrzykach serce powinno wzmocnić pracę. Rana nie wygląda groźnie, ale to silne krwawienie wskazuje, że została uszkodzona jakaś arteria. Poza tym nie wiemy jeszcze, gdzie jest kula.

Przypuszczam, że nie poszła daleko i nie przebiła przepony ani nie dotarła do jamy brzusznej. Wtedy szansę na uratowanie byłyby równe zeru.

Stoliczek z narzędziami podtoczono do stołu operacyjnego. Zapłonęła lampa bezcieniowa i chirurg w asyście dwóch innych lekarzy rozpoczął operację.

Posługując się różnymi narzędziami w kształcie pośrednio między nożem a łyżeczką zręcznie usuwał martwe tkanki. Kleszczami chwycił i zamykał krwawiące naczynia krwionośne. Sięgając coraz bardziej w głąb rany lekarz dotarł w końcu do głównego źródła krwawienia - uszkodzonej tętnicy. Jeszcze chwila i arteria wypreparowana z otaczających ją,

63

tkanek została unieruchomiona zaciskami. Tymczasem jeden z asystentów

przygotowywał ketgut do podwiązania uszkodzonego miejsca. Parę ruchów i chirurg wyprostował się.

- Jak na razie, najgorsze za nami - powiedział. Zapуścił jeszcze sondę w głąb rany.

- Kula poszła na ukos - stwierdził. - Nie powinna dotrzeć do jamy brzusznej.

Najwyżej mogła uszkodzić kość łopatkową. Wykaże to rentgen.

Teraz ranę zalano jakimiś antybiotykami i założono opatrunek.

- Przygotować wszystko do transfuzji - polecił.

Dwaj asystenci przynieśli i umocowali nad stołem operacyjnym aparat w kształcie dużej gruszki.

Po skończonym zabiegu chirurg jeszcze raz dokładnie zbadał ciągle nieprzytomną sukę.

- Tętno wzrosło i jest bardziej rytmiczne. Również i oddech się pogłębił. Jeżeli nie będzie żadnych komplikacji -zawyrokował - suka nie tylko wyliże się z tej rany, ale najdalej za dwa tygodnie będzie biegała po podwórzu. To pańska suka? Tresowana?

- Nie - zaprzeczył kapitan Kowalczyk. - To własność szantażysty. Chcąc zatrzeć ślady swojej działalności właściciel usiłował sukę zastrzelić. Ratujemy ją, bo to prawdopodobnie jedyny ślad, po którym będzie można dojść do przestępcy.

- No tak -roześmiał się doktor. - Teraz rozumiem, dlaczego narobiono takiego alarmu. Z Komendy Wojewódzkiej dwukrotnie dzwonił jakiś oficer. Wymienił swoje nazwisko. Lenkiewicz? A może Linkowski? Zawiadamiał o przywiezieniu rannego psa i uprzedzał, że jesteśmy odpowiedzialni za jego życie. Jak gdyby weterynarz był cudotwórcą!

Chirurg zdjął zakrwawione rękawice i umył ręce.

- Weźcie, koledzy - rzekł - psa na wózek i zawieźcie do rentgena. Musimy wiedzieć, gdzie utkwiała kula. Wtedy zastanowimy się, co robić dalej. Dopóki nie mamy rentgeno-gramu, zgadujemy w ciemno.

Wilczycę ostrożnie przełożono na wózek i wywieziono do pomieszczenia, w którym mieścił się rentgen.

- Cały mundur kapitan sobie powalał - zauważył lekarz.

Istotnie, zarówno marynarka, jak i spodnie nosiły rdzawe, duże plamy.

- Widziałem na dworze kran, pójdę się obmyć.

- Służę szczotką i ręcznikiem. Ale może tutaj przy umywalni będzie panu wygodniej?

- Nie, dziękuję. Zachlapałbym całą podłogę. Wyglądam przecież jak rzeźnik.

Kapitan przyjął ofiarowaną mu szczotkę i ręcznik. Kierowca samochodu, sierżant MO pomagał mu w doprowadzeniu munduru do porządku.

- Dobrze, że mamy chociaż psa - zauważył sierżant, który już nieraz brał udział w różnych akcjach razem z kapitanem i dlatego pozwalał sobie na pewną poufałość. - Dałby nam „stary”, gdybyśmy nawet takiego sukcesu nie mieli. A i tak wyobrażam sobie, co kapitanowi powie. Nie chciałbym na pana miejscu składać dzisiaj raportu.

- Tak - przytaknął kapitan. - Czeka mnie ten przykry moment. Pułkownik na pewno nie będzie zadowolony.

- Aby tylko przetrzymać pierwsze chwile. Nic się nie tłumaczyć, bo to jeszcze gorzej. Najlepiej nic nie mówić. Pamiętam, było to ze trzy lata temu. Robiliśmy obławę na waluciarzy na Bazarze Różyckiego. Dzielnica wypożyczyła trochę ludzi z Komendy Wojewódzkiej. Nie bardzo wiedzieliśmy, co mamy robić, i prawie wszystkie większe

asiory uciekły nam przez mur i przechodnią bramę na Ząbkow-ską. Ale nam pułkownik dał bobu po powrocie z akcji! A byliśmy niewinni. Dzielnica nie wytłumaczyła nam, co i jak. Kazała jedynie robić obstawę. To i robiliśmy. Ani nie znaleźliśmy waluciarzy, ani terenu, skąd mogliśmy wiedzieć, którądy będą przyskać? Kiedy pułkownik już się wykrzyczał, zażądał raportu i w końcu sam przyznał, że nie nasza wina, lecz dzielnicy, bo źle przygotowała akcję.

- Pewnie, że dzisiaj wszystko mogło wypaść o wiele lepiej. Któż jednak mógł przewidzieć, że ten cwaniak przyśle

64

65

psa? Człowieka mogliśmy złapać, a suka pomachała ogonem i zwiąła.

- A dlaczego on do niej strzelał?

- Przeszkadzałyby mu w ucieczce. Człowieka idącego czy jadącego z psem każdy łatwiej zauważy. Poza tym psów jest o wiele mniej niż ludzi. Wszystkie są rejestrowane. Bał się, że będziemy sprawdzać i szukać. Wolał nie ryzykować.

- To i teraz możemy szukać, kto miał psa i pozbył się

go-

- Tak też zrobimy. Poza tym mam nadzieję, że po wyzdrowieniu suka sama nas zaprowadzi do dawnego pana. Dlatego tak ją ratowałem.

- Za chwilę powinniśmy mieć już rentgenogram - powiedział chirurg wychodząc z budynku. - Może papierosa? O, widzę, że pan się już umył. Po wyschnięciu nie będzie śladów. Mieliście szczęście. 20-30 minut później i żadna ludzka siła ani nawet boska nie zdołałaby uratować suki. Przywieźliście ją w ostatnim momencie. Dobrze, że od razu założył pan opatrunek. To w każdym razie zmniejszyło krwawienie. Sama rana nie była groźna, tylko uszkodzona tętnica. Gdyby tak strzelił nie w prawą pierś, a z lewej strony, zabiłby na miejscu i nie byłoby co wieść.

W tej chwili jeden z asystentów podał lekarzowi rentgenogram.

- Tak, jak pan doktor przypuszczał - powiedział. - Kula poszła na skos w prawo.

Utkwiła w mięśniu pod łopatką. Kość nienaruszona.

Lekarz uważnie studiował rentgenogram.

- Operacja wyjęcia kuli byłaby długa i niebezpieczna - wyjaśnił kapitanowi. - Wątpię, czy osłabiona wylewem krwi suka przeżyłaby ten zabieg. Wydaje mi się, że najlepiej zostawić kulę tam, gdzie jest. Otorbi się i nie powinna przeszkadzać. Początkowo, zanim się zwierzę nie przyzwyczai, będzie odczuwało pewien niedowład prawej przedniej łapy. Ale to powinno szybko ustąpić. Gdyby wystąpiły komplikacje, oczywiście będziemy operować. Ale nie przewiduję.

66

- Co mamy robić dalej? - zapytał kapitan.

- Suka zostanie u nas. Mamy w tym celu specjalne klatki. Lekarz dyżurny, a ostry dyżur trwa w klinice całą dobę bez przerwy, dostanie polecenie, żeby specjalnie czuwał nad tym pacjentem. Przypuszczam, że za dwa, trzy dni suka poczuje się na tyle dobrze, że zacznie jeść. Możecie wtedy ją dokarmiać. Najlepiej surową wątroba, bo zwierzę będzie osłabione chorobą. Za kilka dni, gdy rana się podgoi, zabierzecie sukę do siebie na dalszą rekonwalescencję. My także odczuwamy brak „łóżek szpitalnych”.

- Już za parę dni? — zdziwił się sierżant.
 - A tak - potwierdził lekarz. - Sądzę, że najdalej za tydzień będzie można ją zabrać. Istnieje przecież przysłowie „goi się jak na psie”. Gdyby ludzie tak szybko wracali do zdrowia jak zwierzęta, połowa szpitali stałaby pusta. Niestety, nasze ludzkie organizmy nie umieją się tak szybko regenerować.
 - Jutro odwiedzę klinikę i dowiem się, co z suką - kapitan serdecznie podziękował adiunktowi i innym lekarzom za ratowanie zwierzęcia,
 - Nie nasza zasługa - śmiał się adiunkt. - Podziękowania należą się przede wszystkim temu, kto strzelał, że trafił w prawą pierś. A właściwie dlaczego on strzelił z prawej strony? Przecież musiał wiedzieć, że psy, jak w ogóle wszystkie ciepłokrwiste stworzenia, mają serca z lewej strony klatki piersiowej... Do widzenia, kapitanie. Prosimy z następnymi pacjentami.
- Milicyjna warszawa wykręciła i wyjechała na ulicę Grochowską. Jechali teraz w stronę ulicy Sierakowskiego już bez używania syreny. Powoli i statecznie. Kapitan nawet nie myślał o czekającym go raporcie u szefa. Cały czas usiłował znaleźć odpowiedź na ostatnie pytanie adiunkta:
- Dlaczego właściwie on trafił w prawą pierś psa?

67

Rozdział VI RAPORT U PUŁKOWNIKA

Porucznik Linkowski widocznie już dłuższy czas czatował na przyjaciela na balkoniku klatki schodowej drugiego piętra, bo gdy tylko kapitan Stefan Kowalczyk ukazał się w holu gmachu Komendy Wojewódzkiej MO, usłyszał z góry znajomy głos:

- Stefan, chodź zaraz do mnie. Czekam i czekam tutaj na ciebie.
- Jeszcze kapitan nie zdołał osiągnąć drugiego piętra, a już porucznik Linkowski informował, że zgodnie z poleceniami zlikwidował obławę i dwukrotnie dzwonił do Kliniki Weterynaryjnej.
- Przykazałem im, że za wszelką cenę mają uratować psa. W przeciwnym razie zbadamy, dlaczego im się to nie udało. Zdaje się, że napuściłem im porządnego pietra.
 - Przestraszyć to się tak bardzo nie przestraszyli. Ale swoją drogą dobrze, że telefonowałaś do nich. Zanim przyjechalіśmy, wszystko przygotowali do operacji, nawet krew do transfuzji. Dzięki temu suka prawdopodobnie zostanie uratowana.
 - To świetnie - ucieszył się Linkowski. - Bo, widzisz, ja mam dla ciebie nieprzyjemną wiadomość. „Stary” wie już o przebiegu akcji i jest wściekły. Nawet Janeczka boi się wejść do jego gabinetu. Kazał, żebyś natychmiast po powrocie zameldował się u niego z raportem. Dobrze dostaniesz po uszach.
 - Trudno. Nie zawsze się udaje. Będę musiał wypić to piwo, którego nawarzyłem. Ale kto mógł przypuszczać, że ten drań wytresuje sukę i przyśle ją po pieniądze? Wszy-

68

stkiego bym się spodziewał, ale nie tego. No, to idę do pułkownika. Co ma być, to będzie.

- Wesołej zabawy - porucznik ironicznie pożegnał schodzącego na pierwsze piętro Stefana.

Zanim jednak kapitan Kowalczyk poszedł do pułkownika, wstąpił do swojego

pokoju. Obciągnął i poprawił mundur. Zapiął wszystkie guziki, wyczyścił buty i przyczesał włosy. Dopiero tak przygotowany pomaszerował do sekretariatu, gdzie Janeczka uśmiechnęła się do oficera:

- Gorące przyjęcie czeka was, kapitanie. Pułkownik chyba z pięć razy dopytywał o was. Jest bardzo zły. Możecie wejść. U szefa nikogo nie ma. Dzisiaj nikt nie ośmiela się przychodzić do niego z najważniejszymi sprawami. Idą do zastępcy.

- Żeby to ja tak mógł pójść do zastępcy... - westchnął kapitan. - Niestety! - i z determinacją otworzył drzwi do gabinetu szefa. Tam stanął na baczność i oficjalnie zameldował swoje przybycie.

- Doskonale się składa - zauważył pułkownik - że w końcu raczyliście przybyć. Kierujecie wielką akcją i znikacie bez słowa. Nawet nie uważacie za stosowne zawiadomić zwierzchnika o rezultacie obławy. Obiecywaliście przywieźć w południe do komendy szantażystę złapanego na gorącym uczynku, a jest już po trzeciej. A pieniądze, te trzysta tysięcy złotych, wpłaciliście do kasy?

Kapitan stał wyprostowany jak struna i milczał. Pułkownik coraz bardziej się zapalał i podnosił głos:

- Cztery samochody. Siedem radiostacji. Dwudziestu dwóch ludzi. Naukowe przygotowania i „teoretyczne rozpracowanie akcji”. I co dalej? Jaki rezultat? Czy kapitan mowę stracił? Jak prasa to wszystko opíše, nie pozostanie mi nic innego, tylko jechać do generała i prosić o dymisję. No, mówcie wreszcie.

- Melduję posłusznie - kapitan zaczął trochę drżącym głosem - że na razie nie udało się nam schwytać przestępcy.

- Nie udało się. No proszę. Chcieli, ale były obiektywne trudności - kpił pułkownik. - Za mało ludzi zaangażowa-

69

no do jednej koperty. A może za mało było tam pieniędzy? Trzeba było okrągły milion wsadzić.

- Obywatelu pułkowniku. Wszystko było przygotowane prawidłowo. Kto mógł przypuszczać, że zamiast człowieka zjawi się zwierzę. Przybiegła suka, chwyciła pieniądze w zęby i uciekła.

- Kierujący akcją wszystko musi przewidzieć. Uprzedzałem was. Trzeba było gonić tego psa. Strzelać.

- Goniliśmy, ale wbiegła w zboże. Przedtem zastawiliśmy boczną drogę szlabanem, a gdy przyszło co do czego, to musieliśmy pod nim motocykl przeciągać. Tymczasem suka zniknęła w wysokim życie. Nigdy nie słyszałem o takim przypadku. Braliśmy pod uwagę różne warianty. Tego jednak nie mogliśmy przewidzieć.

- Radzę na ten temat napisać artykuł do „Biuletynu Interpolu”. Może nawet kapitan zostanie sławnym i ten wariant w kryminalistyce będzie nosił nazwę „Metody kapitana Kowalczyka”. A honorarium otrzymane w dewizach przeznaczą na spłatę wziętej z kasy do wyliczenia kwoty, którą tak zrecznie zabrał wam sprzed nosa pierwszy lepszy pies.

- To nie pies. Suka. Owczar alzacki.

- Rzeczywiście. Kolosalna różnica. Co dalej proponujecie? Jestem bardzo ciekawy.

- Obywatel pułkownik mnie wykpił - kapitan mówił to już opanowanym tonem człowieka, który postanowił bronić się najlepszą z broni słabszych - atakiem. -

Obywatel pułkownik ma rację. Obława nie udała się i przestępca uciekł z pieniędzmi. Moja wina. Nie przewidziałem wszystkiego. Jeżeli obywatel pułkownik uważa, że nie nadaje się do dalszego prowadzenia sprawy, przekażę ją komuś innemu. Ale nie uważam, że nasze położenie jest beznadziejne. Przeciwnie. Dysponujemy bardzo poważnymi atutami i ujęcie przestępcy jest tylko kwestią czasu. I to bardzo krótkiego.

- Ty mi się tutaj nie wykręcaj, że możesz sprawę oddać komuś innemu. Razem ze swoim kwitem do kasy. Znajdź mi takiego durnia, który by to chciał po tobie wziąć! No, mów dalej.

- Przede wszystkim wiemy, że przestępca rekrutuje się spośród dwunastu osób obecnych w niedzielę w domu ogrodnika. Każdą z tych osób poddamy ścisłej inwigilacji. Sprawdzimy, co kto robił we wtorek między dziesiątą a dwunastą, to znaczy wtedy, gdy suka zjawiała się po pieniądze. Sprawdzimy też, kto z tych osób miał sukę wilczycę. Przecież tego nie da się ukryć. Nie da się też zataić, że suka zginęła. W takich rzeczach sąsiedzi orientują się doskonale, zwłaszcza dzieci. Przeprowadzimy dokładny wywiad. A poza tym mamy sukę. Nie wiem, czy obywatel pułkownik o tym wie.

- Złapaliście tę sukę? - po raz pierwszy w głosie pułkownika kapitan nie wyczuł rozdrażnienia, a tylko zwykłe zaciekawienie.

- Nie złapaliśmy, bo, jak już wyjaśniałem, wilczyca pochwyciła paczkę z pieniędzmi i uciekła w zboże. Ale znaleźliśmy ją ciężko raną pod żywoplotem przy drodze do Ła-szczek. Przestępca bojąc się, że suka może utrudnić mu ucieczkę lub stanowić zbyt wpadający w oczy ślad, usiłował ją zastrzelić zaraz po odebraniu pieniędzy.

- Łajdak - zawyrokował krótko pułkownik.

- Oczywiście, że łajdak - kapitan zgodził się z szefem. -Ale to mu się nie udało. Postrzelił sukę w prawą pierś. Natychmiast zawiozłem ją do Kliniki Weterynaryjnej na Grochowie, gdzie lekarzom udało się szczęśliwie przeprowadzić operację. Zapewnili mnie, że suka nie tylko będzie żyła, ale najdalej za dwa tygodnie będzie już zupełnie zdrowa. Na razie jest pod opieką lekarską w klinice.

- Co z nią zrobicie?

- Gdy wyzdrowieje, zetknę ją z każdym podejrzanym z mojej listy. Przecież suka pozna swojego pana. Będzie go witała radośnie i łaściła się do niego. Świadkowie również poznają, czy jest to pies, który zginął ich sąsiadowi.

- To może dać rezultaty - przyznał łaskawie pułkownik.

- Na pewno przyniesie rezultaty. Zwierzęta nie kłamią i nie umieją składać fałszywych zeznań. To nie ludzie.

- Tak, pewne atuty macie w ręku - ponownie przytaknął pułkownik - ale pański przeciwnik ma w swoich rękach nieco więcej, bo 300 000 złotych.

70

71

- Właśnie liczę na te pieniądze. To mój największy atut.

- Tego nie rozumiem.

- Po śladach tych pieniędzy najprędzej dojdziemy do przestępcy. Niech tylko spróbuje puścić je w obieg.

- Bardzo wątpię w skuteczność tej drogi. Macie wynotowane numery banknotów i zrobimy odpowiednie zastrzeżenia. Ale co z tego? Ten, kto zdobył się na tak sprytny pomysł z suką, będzie o wiele mądrzejszy niż włamywacze z Narodowego Banku Polskiego w Wołowie. Z ich wpadki wyciągnie odpowiednią naukę. Przecież bandzie Florianowicza udało się jednak różnymi sposobami wymienić paręset tysięcy złotych, zanim nastąpiła wpadka w Kluczborku, gdy Florianowiczowa zapragnęła kupić kapę. W naszym wypadku suma jest o wiele mniejsza. Jeżeli szantażysta potrafi powściągnąć swoje apetyty i przez pewien czas posiedzi spokojnie, to czy za rok lub półtora ktoś będzie pamiętał, że pewne numery pewnych serii są zastrzeżone? Nawet banki nie będą już zwracały uwagi.

- Obywatel pułkownik się myli. Te banknoty zawsze zwrócą uwagę.

- Dlaczego?

- Bo to nie są zwyczajne pięćsetki. To jest, źle się wyraziłem: pięćsetki są zwyczajne i jak najprawdziwsze. Tylko że Narodowy Bank Polski poszedł nam na rękę i wypłacił mi czek serią, jakiej nie ma w obiegu. Z tej serii wydano z kasy NBP tylko te 600 pięćsetek. Każdy kasjer każdej większej instytucji bez trudu zauważy, że to banknoty o niespotykanej dotąd serii. A my wydamy komunikat, że gdzieś w Polsce, na przykład w Rzeszowskiem, dokonano kradzieży pieniędzy i między innymi podamy tę serię jako tam skradzioną. Przy pierwszej próbie przestępcy puszczenia w ruch pięćsetki z tej serii od razu będziemy mieli ślad.

- Po co ta maskarada?

- Niech obywatel pułkownik nie zapomina, że na liście podejrzanych mam zarówno funkcjonariusza milicji jak urzędnika bankowego. Oni z urzędu będą znali treść komunikatu. Nie wolno nam dopuścić do tego, żeby zorientowali się, że chodzi o te banknoty.

- A jak w końcu wygląda ta wasza lista podejrzanych? Kapitan sięgnął do kieszeni po arkusz papieru.

- Jest ich dwunastu. Jak dwunastu apostołów - dodał podając listę szefowi.

- A który jest Judaszem?

- Tego jeszcze nie wiem, ale będę wiedział.

- Kapitanie, jesteście zbyt pewny siebie i to was gubi. To samo mówiliście wczoraj. Na tę uwagę podwładny nie zareagował, a tymczasem pułkownik zaczął głośno odczytywać nazwiska podejrzanych:

1. Jan Kamiński
2. Krystyna Nowakowska
3. Jadwiga Wiśniewska
4. Danuta Lasocka
5. Jerzy Marcinkowski
6. Edward Borowski
7. Jan Matejak
8. Krzysztof Nowicki
9. Leszek Wróblewski
10. Bogdan Wielgos
11. Andrzej Nowaczyk
12. Zbigniew Sowa.

- Poza Kamińskim nic mi te nazwiska nie mówią -stwierdził pułkownik.
- To jest lista gości, którzy w niedzielę byli w domu Sa-lamuchy. Jedna z tych osób podrzuciła wówczas list na biurko w pokoju ogrodnika. Nikt inny nie miał technicznych możliwości tego dokonać. Jestem absolutnie pewny, że jedna osoba z tej listy jest przestępcą albo też działa w porozumieniu z szantażystą. Taką współpracowniczką może być jedna z trzech dziewcząt.

- A kim są ci ludzie?

- Krystyna Nowakowska jest sympatią syna Salamu-chy. Bardzo zabiega o zyczliwość jego rodziców i chętnie wydałaby się za przyszłego, dobrze sytuowanego inżyniera. Może zresztą naprawdę zakochała się w tym chłopcu. Pracuje w cedecie w stoisku z papeterią. Dwie pozostałe

72

73

dziewczyny są przyjaciółkami Elżbiety Salamuchy, przybranej córki ogrodnika. Jerzy Marcinkowski i Edward Borowski to ich sympatie. Pierwszy jest technikiem budowlanym, drugi studentem chemii na uniwersytecie. O tej czwórce wiem stosunkowo niewiele, ale pomocą będzie mi Elżbieta Salamucha. Ofiarowała się współpracować z nami w tej sprawie i już oddała pewne cenne usługi. Zgromadzenie całej jedenastki w domu badylarza w niedzielę było właśnie jej dziełem. Pozwoliło mi to osobiście poznać ludzi, którzy najczęściej bywają w tym domu i dobrze orientują się zarówno w zwyczajach Salamuchów, jak i w ich sytuacji majątkowej.

- A reszta?

- Jan Matejak, syn sąsiada. Wyraźnie stara się o względy Elżbiety. Jego matka jest temu bardzo przychylna. Nowicki i Wróblewski są kolegami panny z uczelni. Młodzi, weseli ludzie. Zawsze skorzy do figli i robienia kawałów.

- Łącznie z figlem za 300 000 złotych?

- Być może. Andrzej Nowaczyk jest kolegą i serdecznym przyjacielem Zygmunta Salamuchy. Był studentem architektury. Później pracował w biurze projektowym. Podobno obecnie korzysta z dłuższego urlopu. Muszę to dokładnie sprawdzić. Nowaczyk bardzo często bywa w domu ogrodników. Na poddaszu ma tam nawet swój pokój. Wszyscy traktują go jak członka rodziny. Ostatnio prawie stale mieszka u przyjaciela i pomaga w pracy w ogrodzie. Co zaś do ostatniego na liście, Zbigniewa Sowy, to on również często odwiedza Nadarzyn. Studiuje razem z Zygmuntem na politechnice. Ich przyjaźń polega przede wszystkim na wspólnej nauce. Sowie bardzo podobała się Elżbieta, ale, jak zauważyłem, stara się z tym nie zdradzić, chociaż dla domowników i rodziców nie jest to żadną tajemnicą. Wydaje mi się, że w tej chwili ani on, ani Matejak nie mają większych szans u panny.

- Kapitan opuścił jedno nazwisko: Bogdan Wielgos.

- Urzędnik Narodowego Banku Polskiego w Pruszkowie, tam gdzie Piotr Salamucha ma rachunek czekowy. Stąd znajomość z ogrodnikiem. W niedzielę zjawił się w jego domu po raz pierwszy i był prócz chorążego Kamińskiego jedynym nie zaproszonym na ten dzień gościem.

- To ciekawe.

- Tak. Na Wielgosa muszę zwrócić szczególną uwagę. Po chorążym jest on w tej chwili najbardziej podejrzanym. Ze względu na charakter swojej pracy doskonale

wiedział, ile pieniędzy ogrodnik ma na koncie, i niewątpliwie znalazł fakt, że Salamucha w sobotę podniósł, zgodnie zresztą z moim poleceniem, ze swojego konta 300 000 złotych. Mógł podrzucić list, aby ostatecznie zdopingować badylarza do położenia tej sumy pod drzewem w Jankach Małych.

- Dwunastu podejrzanych jest jakimś punktem zaczepienia. Wolałbym jednak, aby ta lista była znacznie krótsza.

- Przypuszczam, że wstępny wywiad poważnie ją zredukuje.

- Pierwsze nazwiska będzie stosunkowo łatwo skreślić. Ale im mniej ich zostanie na liście, tym trudniej będzie z niej wyłowić tego jednego, o którego nam chodzi. Chyba że suka wyzdrowieje i nieomylnie wskaże nam swojego pana. W przeciwieństwie do pewnych moich oficerów, nie jestem optymistą, nie ustalam z góry godziny ujęcia przestępcy. Dlatego przewiduję, że w tej sprawie spotkamy niejedne jeszcze przeszkody.

- Ale mimo to w końcu zwyciężymy.

- Oczywiście, że zwyciężymy. Przestępstwa doskonale nie istnieją. Nie mogą istnieć w czasie coraz wyższej techniki stosowanej dla ich zwalczania, Oby tylko nie wyszło tak, że ujmiemy przestępcę, ale nie znajdziemy pieniędzy. Wtedy ktoś długo by spłacał swoje zobowiązania.

- Gdy ustalimy, kto jest szantażystą, to wówczas znajdziemy pieniądze.

- Znowu ten niczym nieuzasadniony optymizm? Ale wracajmy do sprawy. Co kapitan zamierza robić dalej?

- Natychmiast przystąpić do wywiadu, kto z mojej listy ma alibi. Sprawdzić to alibi, ustalić, kto hoduje psy, bądź komu ostatnio zginęła suka. Wszystko to powinno mi zająć nie więcej niż tydzień, najwyżej dziesięć dni. Przez ten czas, mam nadzieję, wilczyca dojdzie do zdrowia. Wtedy spróbujemy jeszcze i tej drogi.

- Do pomocy przy wywiadach weźcie porucznika Lin-kowskiego. Czy wezwiecie wszystkich na przesłuchanie?

- W żadnym razie. Przeciwnie, chodzi przecież o to, aby nikogo nie płoszyć. Tylko w ostateczności będę zadawał delikwentom pewne pytania. Ale nie zrobię tego osobiście, bo mnie znają, lecz za pośrednictwem porucznika. Porozumiem się również z Komendą Miejską MO i dzielnicami. Dzielnicowi mogą nam udzielić wielu cennych informacji. Zwłaszcza pomogą w ustaleniu, kto jest posiadaczem psów.

- Wydaje mi się, że za bardzo chcecie zachować tajemnicę swojego działania. A przecież przestępca orientuje się doskonale, że urządzaliśmy w Jankach zasadzkę. Wie zapewne także i o tym, że zabraliśmy sukę i że ona żyje. Może nawet spróbuje ją w jakikolwiek sposób unieszkodliwić? A na pewno domyśla się, że nie spoczywamy na wątpliwej wartości laurach, tylko dalej prowadzimy śledztwo. Tak samo doskonale musi się orientować, że skierujemy podejrzenia właśnie na dwanaście osób obecnych wówczas u ogrodnika. Dlatego też sędzę, że kapitan może działać bardziej oficjalnie. Czasem to i lepiej kogoś postraszyć. Kto się boi, traci nerwy i zaczyna robić głupstwa. Przydałoby się nam popełnienie jakiegoś błędu przez przestępcę.

- Pan pułkownik ma rację. Szczególnie w tym, że szantażysta może próbować pozbycia się psa. Zaraz tam pošlę jednego z moich ludzi. Będzie pilnował klatki z

suką, tak aby poza weterynarzami nikt do niej nie podchodził. Jednakże uważam, że nie powinniśmy wzywać tutaj tych ludzi. Przy oficjalnym przesłuchaniu nawet niewinny kłamie lub zataja prawdę w obawie przed wplątaniem go w nieprzyjemną sytuację.

- Róbcie, jak uważacie. Pamiętajcie jednak, kapitanie, że za dzisiejszy dzień macie u mnie dobrą krechę.

Kapitan opuścił gabinet szefa, a panna Janeczka zawołała na widok wychodzącego:

- Już widzę, że wczora była porządna. Kapitan ma uszy czerwone, jakby mu je ktoś śniegiem wyszorował. Pułkownik bardzo krzyczał?

- Dostało mi się nieźle. Zwłaszcza na początku, ale mogło być gorzej. Czy Linkowski już wyszedł?

- Ale skądże! Czeka na was. Prosił, żebyście zadzwonili albo wstąpili do niego.

- Janeczko, proszę zadzwonić, że czekam na niego u siebie.

Zanim kapitan opowiedział porucznikowi przebieg rozmowy z komendantem, to jednemu z milicjantów wydał dyspozycję natychmiastowego udania się do Kliniki Weterynaryjnej i objęcia warty przy klatce chorej suki. Instrukcja kapitana przewidywała, że do psa może zbliżyć się jedynie personel kliniki. Pod żadnym natomiast pozorem nie wolno wilczycy dawać pożywienia przysłanego z miasta. Nawet gdyby rzekomym nadawcą miał być on sam - kapitan Kowalczyk.

- A więc tak te sprawy się przedstawiają - porucznik Linkowski chwilę się zastanawiał, a potem rzekł: - To ja zajmę się jutro tymi trzema babkami, chociaż mam wrażenie, że one są najmniej podejrzane. To wygląda na robotę sprytnego mężczyzny, a nie dziewczyny. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby jakaś babka potrafiła wytresować psa.

- Ożeń się, to zobaczysz, że tresują nie tylko psy. Aleja również nie przypuszczam, aby którakolwiek z nich brała udział w tej aferze. Niemniej trzeba sprawdzić.

- A ty co robisz?

- Pójdę do Pałacu Mostowskich. KMMO może nam pomóc. Dzielnicowy ustali znacznie prędzej i lepiej, kto z naszych „podopiecznych” ma psa lub miał sukę, która zginęła w ostatnich dniach. A przy tym odwiedziny dzielnicowego nie budzą niepokoju. Zawsze może on wejść do domu, porozmawiać z dozorcą czy z sąsiadem naszego podejrzanego.

- Co racja, to racja. Ale dzielnicowy nie ustali alibi podejrzanych.

- Kiedy będę miał wyniki ich obserwacji, to na mojej liście pozostanie najwyżej połowa nazwisk. Wtedy łatwiej ustalimy, kto spośród nich jest najbardziej podejrzany.

76

77

W tym momencie zadzwonił stojący na biurku telefon. Kapitan podniósł słuchawkę. Meldował się jeden z milicjantów, oddelegowanych do posterunku w Nadarzynie:

- Kapitanie, chorążemu Kamińskiemu zginął pies. Suka. Wilczyca.

Rozdział VII

PORUCZNIK LINKOWSKI PROWADZI DOCHODZENIE

Nazajutrz rano kapitan Stefan Kowalczyk nie zastał porucznika Linkowskiego w gmachu komendy. Z notatki zostawionej przez przyjaciela dowiedział się jedynie, że

skoro świt przystąpił do zbierania informacji o dwunastce podejrzanych, a na pierwszy ogień bierze „babki”.

Wobec tego kapitan przejrzał korespondencję i opuścił gmach ze szczerym zamiarem pojechania do Pałacu Mostowskich, do Komendy Miejskiej MO, aby zapewnić sobie współpracę dzielnicowych przy wywiadzie. Skoro jednak znalazł się na ulicy, przyszło mu na myśl, że dobrze byłoby odwiedzić „chorą” w Klinice Weterynaryjnej. Wstąpił więc po drodze do „Delikatesów” koło kina „Praha”, aby kupić wątroby, którą lekarz szczególnie polecał jako pożywienie dla rannej suki. Ponieważ wątroby nie było, Stefan musiał się zadowolić serdelkami.

W Klinice dyżurny lekarz poinformował oficera, że milicja czuwa „u łoża chorej” i zaprowadził kapitana do klatki, w której umieszczono sukę. Przed klatką, korzystając z wyjątkowo pogodnego dnia, siedział milicjant. Zdobył skądś leżak i rozpiąwszy mundur usiłował się opalać. Gdy ujrzał kapitana, zerwał się i zaraportował:

- Wszystko w porządku, obywatelu kapitanie. Do suki nikt nie usiłował się zbliżyć. Wilczyca leżała na słomie z na pół przymkniętymi oczyma. Tylko sterzące uszy stale zmieniające położenie jak radar na lotnisku świadczyły, że zwierzę nie śpi, lecz czuwa w nerwowym napięciu. Kiedy w towarzystwie lekarza kapitan zbliżył się do klatki, suka lekko uniosła łeb i nie-

78

79

znacznie poruszyła parę razy końcem ogona. Po czym znowu wróciła do poprzedniej pozycji.

- W nocy - wyjaśniał lekarz - suka odzyskała przytomność. Miała gorączkę. Chciała zerwać opatrunek. Nawet musieliśmy ją związać. Później stan jej bardzo się pogorszył, tak że nad ranem zrobiliśmy następną transfuzję krwi. Teraz mija już szok operacyjny, ale zwierzę jest wyczerpane. Dlatego tak słabo reaguje na otoczenie.

- Czy można jej dać serdelki?

- Oczywiście. Ale na razie nie będzie jadła. Zwierzęta są doskonałymi lekarzami dla samych siebie. Najlepiej wiedzą, jak się leczyć. Gdy nasza medycyna od niedawna wprowadza leczenie snem, wszystkie czworonogi od dziesiątków tysięcy lat stosują sen i dietę, instynktownie czując, że są to sprzymierzeńcy w walce z chorobą. Suka będzie spała więc przez parę dni, prawie wcale nie przyjmując pokarmu. Później zaś nastąpi faza wzmożonego odżywiania się. Ale to dopiero za trzy, cztery dni.

Kapitan przecisnął przez siatkę przyniesione serdelki. Upadły one o parę centymetrów od nieruchomego pyska suki. Ta pociągnęła nosem, ale nie sięgnęła po poczęstunek.

- Czy ta warta jest potrzebna? - zapytał lekarz. - Nigdy jeszcze nie mieliśmy takiej sytuacji w Klinice, żeby przy jakiejś klatce ustawiono posterunek.

- Niestety, doktorze - kapitan rozłożył ręce. - Nie można inaczej. Jak długo pies będzie tutaj przebywał, tak długo musi być pod naszą czujną opieką. Ta suka, mam nadzieję, przyczyni się do ujęcia niebezpiecznego przestępcy. On wie o tym i dlatego może ponowić próby jej zgłodzenia. Sam pan przyzna, że praktycznie biorąc, każdy może podejść do tych klatek i bez najmniejszych trudności rzucić suce, na przykład, kawałek kiełbasy z arsze-nikiem albo z trutką na szczury. Taki dodatek do jadła można kupić w każdej aptece. Dlatego proszę również, aby posiłki dla suki były

przygotowywane osobno. Chodzi o zapobiegnięcie możliwościom podrzucenia trucizny. To nie nasz kaprys, lecz podstawowy obowiązek zabezpieczenia ważnego dowodu śledztwa.

80

- Niewątpliwie ma pan rację, chociaż, jak powiadam, nigdy jeszcze nie zetknęliśmy się z podobnym wydarzeniem. Zaraz to załatwię, mimo że nie przewiduję, aby suka przyjęła jakikolwiek pokarm wcześniej niż jutro.

Kapitan pożegnał lekarza i dyżurującego milicjanta i pojechał do KMMO.

W tym samym czasie porucznik Linkowski wszedł na pierwsze piętro cedetu i odszukał stoisko z papeterią. Sprzedawczynią była tu przystojna dziewczyna z czarnymi, wysoko upiętymi włosami. Zapytał o pelur, papier do maszyny, wiedząc doskonale, że tego artykułu na pewno nie dostanie w cedecie. Pelur bardzo rzadko bowiem zjawia się w naszych sklepach i natychmiast jest rozchwytywany. Nie omylił się. Ekspedientka pokręciła przecząco głową - już od paru miesięcy nie miała peluru w sprzedaży.

- A nie wie pani, panno Krysiu, gdzie mógłbym go kupić? Koniecznie muszę zdobyć przynajmniej jedną paczkę.

- Nie wiem. Może w sklepie na Gałczyńskiego. Ale skąd zna pan moje imię?

- Nieraz panią obserwowałem. Słyszałem, jak koleżanki panią nazywają. Jest pani taka ładna, że każdy musi zwrócić uwagę.

Zadowolenie z komplementu wyraźnie odzwierciedliło się na twarzy dziewczyny, lecz dalsze próby porucznika nawiązania rozmowy pozostały bez rezultatu. Również propozycja spotkania się na kawie po pracy została bezapelacyjnie odrzucona. Wobec takiego niepowodzenia porucznikowi nie pozostało nic innego, jak podziękować za informacje. Nie zrezygnował jednak z wywiadu o pannie Krysi i udał się do biur dykcji cedetu, mieszczących się w sąsiednim budynku nad „Delikatesami”.

Wylegitymował się kierownikowi działu personalnego, a potem powiedział:

- Mam głupią sprawę. Wczoraj około godziny jedenastej na Dworcu Głównym w Warszawie okradziono pewną kobietę. Przyjezdna z prowincji. Ta kobieta była później w cedecie i w jednej z waszych sprzedawczyń rozpoznała jakoby sprawcę kradzieży. Przypuszczam, że babka po

81

prostu omyliła się, ale mimo wszystko musimy sprawdzić. Złodziejka była na Dworcu z dużym psem. Owczarkiem alzackim - suką. Pracuje w dziale papeterii. Dość wysoka, czarna, z szerokimi ustami.

- Już wiem - odpowiedział personalny. - To Krystyna Nowakowska. Pracuje u nas przeszło dwa lata. A może nawet trzy? Musiałbym zajrzeć do jej teczki. Jest dość dobrą pracownicą- Nigdy nie miała żadnego manka. Ale w jaki sposób mogła kraść na stacji, jeżeli w tym czasie pracowała przy swoim stoisku? Gdyby wczoraj była nieobecna, miałbym jej nazwisko w wykazie.

- Mogła wyjść z pracy na parę godzin.

- Sprawdzimy. Zaraz poproszę kierownika działu.

W parę minut potem do gabinetu wszedł wezwany telefonicznie kierownik działu.

- Czy panna Nowakowska była wczoraj w pracy?

- Była jak zwykle. Ona na ogół nie opuszcza zajęcia. Ostatnio na wiosnę, jak grypa

panowała w Warszawie, miała jedynie trzy dni nieobecności. Świadczenie lekarskie złożyła.

- A między dziesiątą a dwunastą nie wychodziła?

- Nie, cały czas stała przy ladzie.

- Na pewno?

- Z całą pewnością! Mógłbym przysiąc. Doskonale pamiętam, bo właśnie przywieźli towar i sam jej pomagałem układać na półkach. A o co chodzi?

Porucznik powtórzył bajeczkę o kradzieży na dworcu.

- Ta głupia baba chyba oczu nie miała. Niech na drugi raz lepiej pilnuje swoich gratów, a nie rzuca posądzeń na niewinnych ludzi - oburzał się sprzedawca.

- Zastrzegalem się na początku rozmowy - powiedział porucznik - że to prawdopodobnie jakieś nieporozumienie, ale moim obowiązkiem było sprawdzić. Dlatego też chyba lepiej będzie, jeżeli tę naszą rozmowę zatrzymamy dla siebie. Po co dziewczynę niepotrzebnie denerwować, prawda?

- Oczywiście - przytaknęli obydwaj panowie z cedu.

- Dla porządku jeszcze tylko jedno pytanie. Czy panna Nowakowska ma psa? Dużą czarną sukę, wilczycę?

82

- Byłem na imieninach panny Krystyny - powiedział kierownik działu. -

Rzeczywiście ma psa, ale innej rasy - pekińczyka. Bardzo zresztą złośliwe bydlę. Szczeka i rzuca się na gości. Panna Nowakowska często zresztą mówi o swoim ulubieńcu.

Tak więc pierwszy wywiad dał od razu negatywny rezultat. Z kolei porucznik pojechał na Mokotów i na ulicy Dworkowej zadzwonił do pewnego mieszkania. Otworzył mu chłopiec w wieku około 12 lat.

- Przepraszam, czy zastałem pannę Jadwigę?

- Nie. Siostry nie ma w Warszawie. Jest na praktyce. W Skierniewicach. W zakładzie ogrodniczym SGGW.

- Dawno?

- Już prawie miesiąc. Jadźka czasem przyjeżdża do Warszawy, ale ostatnio nie było jej chyba z dziesięć dni. Pisała, że w niedzielę nie przyjedzie bo wybiera się do swojej przyjaciółki gdzieś pod Warszawę. A o co chodzi?

- Ja w sprawie psa - porucznik zorientował się, że poza chłopcem nie ma nikogo w domu i postanowił dowiedzieć się przy okazji o sukę.

- Jakiego psa? U nas nie ma żadnego psa. Chciałem mieć brązowego wyżła, ale mamusia się nie zgodziła. Mówiła, że mamy za małe mieszkanie i że pies strasznie brudzi, i że nikt nie będzie miał ochoty wyprowadzać go na spacer.

- A w sąsiedztwie nikt nie ma suki? Wilczycy? Dużej, czarnej?

- Na Dworkowej jest kilka psów. Różnych ras. Pan Malinowski ma takiego, jak pan mówi, owczarka alzackiego. Ale to pies, a nie suka. Bardzo ładny. Na ostatniej wystawie dostał nagrodę. Chce pan, to panu pokażę, gdzie pan Malinowski mieszka. To niedaleko. Trzy domy.

Porucznik nie skorzystał jednak z tej propozycji i pojechał na Żoliborz, aby na ulicy Filaretów, w mieszkaniu Danuty Lasockiej, dowiedzieć się, że i ta studentka SGGW praktykuje w Skierniewicach. W niedzielę w domu nie była. Gdy rozmawiał z matką

Danuty, do przedpokoju wszedł czarny pudelek. Nie było więc potrzeby pytać o sukę - owczarka alzackiego.

83

Skoro porucznik Linkowski był już na Żoliborzu, postanowił podjechać jeszcze na Bielany, gdzie w jednym z domów, przy ulicy Karskiej mieszkał Andrzej Nowaczyk. Porucznik odnalazł niedużą willę. Prawdopodobnie miała ona na parterze jedno mieszkanie. Natomiast na poddaszu albo strych, albo najwyżej dwa niewielkie pokoiki. Oficer milicji obejrzał dokładnie całą willę, a potem nacisnął znajdujący się przy furtce guzik. Na odgłos dzwonka na taras wybiegł duży, czarny pies i zaczął ujadać. Nikt jednak nie zjawił się na ten alarm. Porucznik zadzwonił po raz drugi. Jakaś kobieta pracująca w sąsiednim ogródku na dźwięk dzwonka i szczekanie psa przerwała robotę i podeszła do siatki.

- Pan do kogo?

- Do pana Andrzeja Nowaczyka. Czy dobrze trafiłem?

- Tak. Pan Andrzej tu mieszka. Ma pokój na poddaszu. Ale teraz nikogo tam poza Norą nie ma. Państwo Kle-szczewscy oboje pracują. Dzieci wyjechały na wakacje. Pan Andrzej całymi dniami w domu nie bywa. Jest gdzieś pod Warszawą u swojego przyjaciela, uczą się razem, a może pomaga mu w gospodarce?

- A czyj to pies?

- To pana Nowaczyka. Suka. Nazywa się Nora. Ale prawdę mówiąc więcej się nią opiekuje pani Kleszczewska niż jej pan. Jego całymi dniami nie ma. Dobry pies. Zły. Nikomu nie da wejść do ogrodu.

- Stary?

- Pan Andrzej ma go chyba ze dwa lata. Powiem nawet, że dawniej ta suka nie szczekała tak dużo jak ostatnio. Teraz nawet na mnie ujada, gdy podejść do siatki. Pana Nowaczyka trudno zastać. Najlepiej wieczorem. A czego pan chce od niego? Może ja powtórzę?

- O, głupstwo. Pracowaliśmy razem rok temu - gładko skłamał porucznik. - Byłem w pobliżu, więc pomyślałem, że wstąpię i pogadam ze znajomym. Skoro go nie ma w domu, to trudno. Do widzenia pani.

- Do widzenia.

84

Zrobiło się już dość późno. Dochodziła druga i porucznik uznał, że na dzisiaj koniec z wywiadami. Postanowił wrócić na Sierakowskiego, do Komendy, aby podzielić się uzyskanymi informacjami z kapitanem Kowalczykiem. Zastał go w pokoju.

- Cały dzień straciłem - rzekł porucznik na zakończenie swojego sprawozdania. - Nabiegałem się z Mokotowa na Bielany. I nic. Kompletne fiasko. Z naszej listy można skreślić wszystkie babki i Nowaczyka.

- To także sukces. Im mniej osób zostanie na liście, tym bliżej będziemy celu. Wydaje mi się jednak, że skreślenie tej czwórki jest na razie przedwczesne. Wiemy tylko, że żadne z nich nie miało psa. A raczej, że wszystkie dziewczyny nie miały psów. Nowaczyk miał go i ma dalej. To bardzo ważna dla niego okoliczność. Stawia go prawie poza kręgiem podejrzeń. Wiemy także, co wczoraj robiła Nowakowska. W tym czasie, gdy tak niefortunnie polowaliśmy na szantażystę. A reszta? Wykluczyłem bezpośredni udział w akcji jakiejś kobiety. Przypuszczałem, że sukę prowadził

mężczyzna. To się już potwierdziło. Zrobiliśmy wywiad w Jankach Małych i na autostradzie do Krakowa. Ustalono, że pojawiał się tam często jakiś mężczyzna z psem-owczarkiem i tresował go. To na pewno była nasza suka ze swoim właścicielem.

- Czy macie rysopis tego człowieka?

- Niestety nie. Starsi byli zajęci własnymi sprawami. Nie mieli czasu ani chęci dokładnie przyglądać się nieznajomemu z psem. Najwięcej informacji uzyskaliśmy od dzieci. One interesowały się przede wszystkim suką. Zeznały, że pies biegł na rozkaz w żyto i przynosił schowane tam paczki.

- Prosta historia. Najpierw nauczył sukę odnajdywać i przynosić paczkę. Zawsze jedną i tę samą. Owiniętą w lnianą szmatę. Później chował ją zawsze w to samo miejsce. Pod drzewem za przystankiem PKS, a za to wydłużał drogę, jaką pies miał przebyć biegnąc po paczkę. W ten sposób wyrobił w suce odruch warunkowy, że aport znajduje się w Jankach Małych. Gdy więc wczoraj dotarł

85

do autostrady krakowskiej i wydał rozkaz suce, ta od razu, bez wahania pobiegła pod znane sobie drzewo i przyniosła to, co pod nim leżało.

- Widzę, że świetnie orientujesz się w zagadnieniach tresury.

- Nic dziwnego. Kończyłem szkołę oficerską MO w 1949 roku. Mieściła się wtedy jeszcze w Słupsku, gdzie była również szkoła podoficerska i szkoła psów milicyjnych. Napatrzyłem się tam na znacznie trudniejsze sztuki, jakich można wyuczyć inteligentnego owczarka. Ta z aportem jest jedną z podstawowych. Po dwóch tygodniach nauki każdy pies wykona ją bezbłędnie. Chyba... Chyba że na swojej drodze spotka kota. Wtedy instynkt okaże się silniejszy niż nauka.

- Tak. Słyszałem, że w czasie okupacji hitlerowcy pilnujący granicy Reichu i Generalnej Guberni sprowadzili specjalnie tresowane psy dla łapania przemytników. Tropiły one ludzi na linii granicznej. Rzucały się na nich, obalały i szczekaniem przywoływały hitlerowskich strażników. Początkowo cały ruch graniczny ustał, ale wkrótce przemytnicy wybierali się na wyprawy z kotem za pazuchą. Gdy pies wyszedł człowieka przekraczającego granicę, ten wyjmował kota i puszczał go na ziemię. Kot uciekał do najbliższego drzewa, psy za nim i rozpoczynało się oblężenie. A ludzie oddalali się spokojnie. Hitlerowcy zwabieni ujadaniem zjawiali się i zastawali swoją sfore, siedzącą wokół sosny z łbami zadartymi ku górze i kota na gałęzi. A przemytników ani śladu. Wtedy bardzo poszły w cenie warszawskie i łódzkie koty.

- My również zrobiliśmy raz figiel komendantowi tej psiej akademii. Codziennie rano odbywał się w szkole przegląd zwierząt i przodowników. Przodownicy wraz ze swoimi psami ustawiali się w dwuszeregu. Psy siedziały koło ich lewych nóg. Na komendę przodownicy przechodzili na drugą stronę placu, zostawiając psy na poprzednim miejscu. W środku tworzyła się wolna przestrzeń: po jednej stronie dwuszereg ludzi, po drugiej taki sam -

86

psów. Wtedy dopiero wychodził z budynku komendant szkoły i odbierał raport. Wszystko to działo się tuż przy ulicy za niewielkim płotem. Kiedyś złapaliśmy dużego szarego kocura i zaczęliśmy się za parkanem. Gdy już wszystko było gotowe

i komendant odbierał raport, rzuciliśmy kota w sam środek psów. Co tam się działo! Najpierw psy skoczyły na kocura, później zaczęły gryźć się między sobą. Chyba z godzinę nie mogli ich rozdzielić. Leli wodę sikawkami. Harmider było słycać w całym Słupsku. Pułkownik, dowódca całej jednostki szkoleniowej, zapowiedział, że jak znajdzie sprawców, to ich wyleje nie tylko ze szkoły, ale w ogóle z milicji.

- Szkoda, że nie znalazł - mruknął kapitan.

- Nie miałyby kto dzisiaj za ciebie robić - odparował ze śmiechem porucznik.

- Ale wracając do naszej sprawy... Każda z tych dziewcząt mogła być pomocnikiem szantażysty. Komenda Miejska MO obiecała przeprowadzić dyskretny wywiad, aby ustalić powiązania naszych „babeł” z osobami trzecimi. Oni to zrobią znacznie lepiej i szybciej od nas. Mają cały aparat wyspecjalizowanych ludzi i są na znanym sobie terenie. Natomiast ty wybierzesz się jutro do Skierniewic i sprawdzisz alibi tych dwóch, jak im tam na imię?

- Danuty Wysockiej i Jadwigi Wiśniewskiej.

- Ja spróbuję to samo zrobić w odniesieniu do Nowaczyka. Zajmę się też Sową, Wielgosem i Matejakiem.

- Z tego wynika, że będę musiał zainteresować się jeszcze pozostałą czwórką: Borowskim, Nowickim, Wróblewskim i Marcinkowskim.

- Sam powiedziałeś. Postaram się dostarczyć ci ich zdjęcia.

- Byłoby dobrze, ale chłopcami zajmę się pojutrze. Skoro jutro mam jechać do Skierniewic, to nic więcej nie zdążę załatwić.

- W porządku. Zdjęcia będę miał dopiero jutro. Odbitki i powiększenia przygotowują mi najwcześniej na piątek rano.

87

Następnego dnia kapitan Stefan Kowalczyk wszedł do budynku, w którym mieści się Narodowy Bank Polski w Pruszkowie, i zapytał woźnego o Bogdana Wielgosa.

- On pracuje w czekowym- usłyszał w odpowiedzi.

-Trzecie okienko.

Przyjmuje czeki.

Ale zdajesię, że go niema.

Chyba na urlopie, bo od soboty go nie widziałem.

Oficer wszedł na salę operacyjną banku.

Okienko nr 3 było zamknięte.

Naklejony na szybie napis wyjaśniał, że czeki należy przedkładać w sąsiednim.

Ponieważ przedokienkiem nr 2 nie było interesantów, kapitan ponowił pytanie o Wielgosa.

- Wróci dopiero po dwudziestym lipca - odpowiedział urzędniczka.

- Ma dwa tygodnie urlopu.

- Jeszcze jedno pytanie.

Czy pani nie wie, czy pan Bogdan wyjechał, czy też jest w Pruszkowie?

Chciałbym się nim zobaczyć.

- Wiem, że projektował wyjazd na wczasy nad morze, ale w ostatniej chwili rozmyślił się.

Nic dziwnego.

Codziennie leje.

W taką pogodę lepiej siedzieć w domu.

Niech pan sprawdzi.

Mieszka niedaleko, na Kościuszki - miła urzędniczka podała adres.

Istotnie, dom znajdował się zaledwie o paręset metrów od banku.

Na drzwiach mieszkania pierwszym piętrzewisała metalowa tabliczka "Zygmunt Ciesielski".

Gdy kapitan zadzwonił, drzwi otworzyła mu jakaś starsza kobieta.

- Przepraszam, czy tu mieszka pan Bogdan Wielgos?

- Tak.

To nasz sublokator.

Ale niema go w domu.

Wyszedł przed kwadrans.

- Jaka szkoda!

Widocznie się z nim rozminąłem.

- Pan Bogdan mówił, że najpierw musi gdzieś wstąpić, a potem jedzie do Warszawy.

Możesz spotkać go pan na dworcu.

- Dziękuję pani.

Spróbuję.

Ale kiedy tutaj szedłem, uprzedzono mnie, że w domu jest zły pies.

Na szczęście ani go nie widzę, ani nie słyszę.

Kiedyś ugryzł mnie wilki od tej poronnie lubiętej rasy.

Wolę małe łagodne pieski.

- Pies?

To dawna, stara historia.

Chyba rok temu pan Bogdan przyprowadził dużego wilka.

Mówił, że przyplątał

88

się do niego na ulicy.

Dawał nawet ogłoszenie w gazecie, ale nikt się po psa nie zgłosił.

Ten pies, a właściwie sukabyła u nas prawie trzy miesiące.

Rzeczywiście była postrachem dzieci w całej okolicy.

Potrafiła też rzucić się na człowieka idącego spokojnie ulicą.

Ale z takim psem strasznie dużo kramu.

Gotujmy jeść, sprzątaj po nim mieszkanie, bo na łapach wnosi błoto.

Trzeba wyprowadzać go na spacer.

A pan Bogdan - kawaler.

Lubił pogłaskać psa, pobawić się z nim.

Czasem wyszedł na spacer i tyle.

Ja wszystko musiałam robić.

To za męczące dla starej kobiety.

- Pani nie jest wcale taka stara - zaprotestował kapitan, aby przedłużyć rozmowę.

-To się panu tylko tak wydaje.

Nawiosnę skończyłamsiedemdziesiąttrzy lata.

A i reumatyzm mi dokucza.

Niemam siły, abyjeszcze zajmować się cudzym psem.

- A co się z nim stało?

-Pan Bogdan podarował komuś tę sukę.

Jakiemuśswójemu znajomemu.

Milicjantowi, ale nie w Pruszkowie.

W okolicy, w małymmiasteczku, ale gdzie, niepamiętam.

-Może w Nadarzynie?

- O, właśnie.

W Nadarzynie.

Kiedy pan wymienił nazwę, to sobie przypomniałam.

Pan Bogdan często odwiedza tego milicjanta, bo to jego znajomy czy też krewniak.

Mówi, że suka zawsze go poznaje.

I jaka mądra!

Po każdejwizycie w Nadarzynie odprowadza goparę kilometrówi potem samawraca do domu.

Podobno tresowana.

Można dać jej koszyk w zęby, napisać kartkę, a pójdzie dosklepu iwszystko przyniesie.

Po drodzewstąpi do kiosku gazety weźmie.

Ten milicjant tak ją wyuczył.

Starsza pani rozgadała się na dobre i od historii psaprzeszła nainne tematy niewiele już obchodzące kapitana.

Pod pozorem, że musi śpieszyć się nastację, aby tamzłapać pana Wielgosa, oficer milicji pozegnał swoją rozmowną informatorkę i poszedł na dworzec kolejowy.

Miałszczęście.

Pociąg do Warszawy właśnie nadjeżdżał, a naperonie stał urzędnik banku.

Kapitan przywitał się z nimi razem wsiedli do jednego zprzedziałów pustego o tej porze pociągu.

89.

W przedziale Wielgos poczęstował swojego towarzysza papierosem. Obydwaj mężczyźni przez chwilę palili w milczeniu, w końcu kapitan je przerwał:

- Pan często bywa u państwa Salamuchów?

- Szczerze mówiąc w niedzielę byłem tam pierwszy raz. Pana Salamuchę znam dobrze, bo to nasz stały klient bankowy. Często przychodzi również do banku starszy syn, Zygmunt. Czasami panna Ela- Ale na tym właściwie kończyła się nasza znajomość. Byłem nawet zdziwiony, gdy w imieniu panny Eli zaprosił mnie pan Nowaczyk na niedzielny podwieczorek.

- To pan zna Andrzeja?

- Przez Zygmunta Salamuchę- Zgadało się kiedyś w banku, że mieszkam w sublokatorskim pokoiku. Płacę dość dużo, a mimo to człowiek nie jest u siebie.

Zresztą moi obecni gospodarze również woleliby mieć ten pokój do swojego użytku. Wtedy Zygmunt Salamucha powiedział, że ma przyjaciela, który „własnym przemysłem” przebudował strych na bardzo przyjemne mieszkanie. Ma teraz pokój, kuchenkę i łazienkę. Właśnie coś takiego bardzo by mi odpowiadało. Poznał mnie z tym przyjacielem, Andrzejem Nowaczykiem. Nic jednak z tego nie wyszło. Na kawalerkę potrzeba dzisiaj sto tysięcy złotych, a pożyczek na to nie dają. Nie miałem tyle pieniędzy-

- Ale Nowaczyk zrobił sobie podobne mieszkanie.

- U niego inna sprawa. Na Bielanach wielu ludzi odbudowywało sobie mieszkania wtedy, gdy pan Nowaczyk pracował w biurze projektowym. Robił projekty tych mieszkań, potem nadzorował budowę, a nawet sam pracował przy wykańczaniu swojego mieszkania. Dobrze znał przedsiębiorców wykonujących te roboty, to i taniej mu zrobili. Strych dostał za darmo, w rozliczeniu za pracę. Inne były wówczas ceny. Teraz za sam strych, bez żadnej nawet ścianki, właściciel zażądał ode mnie pięćdziesięciu tysięcy. Andrzeja kosztowało grosze, a ja musiałbym płacić tysiące. Podobno na przyszły rok nasz bank ma budować duży blok w Pruszkowie. Może tam uda mi się coś dostać? A jeżeli nie, to spróbuję zapisać się do spółdzielni,

90

choć otrzymanie przez nią mieszkania trwa o wiele dłużej, trzy, cztery lata.

- Słyszałem, że pan zna chorążego Jana Kamińskiego, komendanta posterunku w Nadarzynie.

- Tak. To nawet mój krewny. Przez żonę. Irena jest moją stryjeczną siostrą. To bardzo porządny człowiek. Tylko za ucziwy na dzisiejsze czasy.

- Dlaczego?

- On jest komendantem milicji w Nadarzynie. Naokoło bogaci badylarze. Niejeden prawdziwy milioner. Dużo zamożnych chłopów. Spółdzielnie pracy. Na targ w Nadarzynie przyjeżdżają przekupki z Warszawy. Wystarczy powiesić płaszcz na wieszaku i odwrócić się tyłem, a sami będą pieniądze wkładać do kieszeni.

Tymczasem on prawie nędzarz, nawet owoce w sklepie kupuje. Irena pożycza ode mnie często po cichu po sto, dwieście złotych, bo im nie starcza do pierwszego. Teraz dziecko jeszcze im zachorowało. Zupełnie nie wiem, jak w tej sytuacji dadzą sobie radę. Na takim stanowisku! Złote jabłko. Inny by dawno własnym wartburgiem jeździł. O, przepraszam - Bogdan Wielgos urwał zmieszany. - Zapomniałem, że rozmawiam z kapitanem milicji.

- Nie szkodzi - roześmiał się oficer. - Przecież tak sobie tylko gwarzymy, żeby czas szybciej przeleciał. Słyszałem, że chorąży ma ładnego psa. Doskonale wytresowanego.

- Dostał go ode mnie. To suka. Nazywa się Aza. W ubiegłym roku, było to jesienią, powracałem do domu i nagle widzę, że idzie za mną duża wilczyca. Macha ogonem i łasi się. Poglaskałem raz, drugi i idę dalej. A ona za mną. Ja do domu, ona też. Ja na schody, ona przy mnie. Próbowałem ją odpędzić, nic nie pomaga. Otworzyłem drzwi i wszedłem do mieszkania. Za chwilę drapanie łapą. Przeszło godzinę siedziała pod drzwiami i od czasu do czasu drapała pazurami, aby wpuścić ją do środka. Wreszcie otworzyłem, suka wchodzi do mieszkania i dalej machać ogonem, cieszyć się, że ją wpuścili. A jaka była zabiedzona! Boki zapadłe, sierść brudna. Widocznie długo

włóczyła się po ulicach. Czy ją ktoś wyrzucił z domu,

91

czy zgubiła się swojemu panu? Nie wiadomo. Dałem jej jeść, przenocowała w moim pokoju, a gdy nazajutrz wychodziłem do banku, wypuściłem ją na ulicę. Wracam po pracy, a suka czeka przed domem. Ile było radości, gdy mnie zobaczyła! Co miałem robić? Wziąłem ją do siebie. Dawałem ogłoszenie w gazetach, że przybłąkał się pies. Rozkleiłem parę kartek w Pruszkowie i w Tworkach. Nikt się nie zgłosił. Trzymałem Azę parę tygodni u siebie, ale nie mam warunków na wychowanie psa. Gospodarze krzywili się, że brudno, że szczeka. W końcu oddałem ją Kamińskiemu. Dzieciaki za nią przepadają. Chorąży ją wytresował. Umie różne sztuki. Dobrze jej u nich. Sami nie zjedzą, a pies zawsze ma okrasę i mięso. To duża suka. Wita mnie z taką radością, że nieraz z tej radości po twarzy przeciągnie mi jęzorem.

- Ale podobno zginęła?

- Zginęła? Nic o tym nie wiem! U Ireny byłem w niedzielę. Wstąpiłem tam, zanim pojechałem do państwa Sala-muchów. Pożyczyłem rower od kolegi. W niedzielę Aza była jeszcze w domu i odprowadziła mnie ze dwa kilometry za Nadarzyn. Biegła koło roweru prawie do samego domu pana Piotra.

- Ona tak luzem biegła?

- Nadarzyn małe miasteczko. Wszyscy wiedzieli, że to pies komendanta milicji. Tam nikt swoich psów nie zamyka. Co jej się mogło stać? Sama na pewno nie uciekła. Może ktoś ją ukradł?

- To owczarek alzacki? Czarny?

- Nie. Zwykły owczar niemiecki. Grzbiet miała czarny, a resztę sierści jak każdy normalny wilk.

- Szara?

- Nie. Na grzbiecie czarna pręga, pod spodem nieco jaśniejsza, podpalana.

- No to właśnie owczarek alzacki.

- Chyba miała więcej jasnego. Owczarki alzackie są całe czarne, tylko brzuch mają jaśniejszy. Ona miała i łeb brązowy, i całą szyję i pierś jaśniejszą. Na grzbiecie, jak u srebrnego lisa, dużo włosów o białych końcach.

To przypomniało kapitanowi, że gdy poprzedniego dnia odwiedził w Klinice Weterynaryjnej ranną sukę, właśnie zwrócił uwagę, że jej grzbiet wygląda jak u srebrnego lisa.

- Pan kapitan w Pruszkowie służbowo? Pan zdaje się prowadzi dochodzenie w sprawie wyłudzenia pieniędzy od pana Salamuchy?

- Tak. Właśnie w tej sprawie byłem w Pruszkowie.

- Zapewne w naszym banku? Chciał pan się dowiedzieć o numery banknotów podjętych przez pana Piotra? Niestety, nie notujemy ani numerów, ani serii wypłacanych pieniędzy. Za dużo byłoby roboty. Paru ludzi musiałoby się tylko tym zajmować. A klienci czekali po kilka godzin na forszę. Taka strata. Tyle pieniędzy przepadło. Dobrze się ktoś obłowił.

- Skąd pan wie, że przepadło?

- No przecież mówił mi jeden ze znajomych panny Eli. Takie krótkie nazwisko. Od jakiegoś ptaka. Zdzich...

- Zbigniew Sowa?

- Tak, tak. Czy są jacyś podejrzani?

- Jest ich dość sporo. Właściwie wszyscy znajomi państwa Salamuchów są podejrzanyymi w tej sprawie. Między innymi również pan.

- Ja? - Wielgos roześmiał się, ale ten śmiech zabrzmiał nieszczerze. - Dlaczego ja?

- Pracuje pan w banku. Zna pan Salamuchę. Wie, że to człowiek zamożny. Orientuje się pan w jego stosunkach domowych. Muszę nawet zadać panu pytanie. To samo, które zadaję wszystkim podejrzanyim. Co pan robił we wtorek między godziną dziesiątą a dwunastą?

- Byłem bardzo daleko od tamtego miejsca. Pociągiem

o godz. 9.32 pojechałem do Warszawy i poszedłem do ce-detu. Chciałem kupić jakąś wiatrówkę. Mam teraz urlop

i ciągle waham się, czyby gdzie nie wyjechać. Oglądałem ubrania, ale żadne nie przypadło mi do gustu. Wobec tego wybrałem się na bazar, na Pańską. Ale tam również nie znalazłem nic ciekawego. Chciałem jechać na ciuchy, na Skaryszewską, lecz dochodziła już prawie dwunasta. O pierwszej umówiłem się w „Świteziance” z pewną panią.

93

Wstąpiłem jeszcze do sklepu na MDM-ie. Tego w podcieniach i poszedłem do kwiaciarni. Ta pani zawsze może zaświadczyć, że kiedy przyszła o pierwszej, ja już siedziałem przy stoliku.

- No tak - stwierdził kapitan. - To znaczy, że od pierwszej ma pan murowane alibi, ale co pan robił do czasu spotkania? Muszę wierzyć jedynie pańskiemu oświadczeniu.

- Przecież mówię, że byłem w cedecie, na Pańskiej i na MDM.

- Co z tego, że pan mówi. Czy ktokolwiek może potwierdzić te słowa? Spotkał pan tam znajomych?

- Nie.

- Widzi pan. Tak to bywa z alibi. Mniejsza zresztą o to... Kiedy Sowa rozmawiał z panem o przebiegu całego zajścia?

- To było tak. Ponieważ nie kupiłem tego dnia wiatrówki, więc nazajutrz, czyli w środę, wczoraj, wybrałem się na ciuchy na Skaryszewską. Chodzę, rozglądam się i spotykam pana Zbigniewa. Przywitaliśmy się, a on mówi do mnie, że pana Piotra Salamuchę ograbili na trzysta tysięcy. Opowiedział mi, że milicja czekała zaczajona na przestępcę, a przyszedł tylko pies, porwał pieniądze i uciekł.

- Co pan Sowa robił na bazarze?

- Kupował sobie garnitur. Prosił mnie nawet o pomoc przy wyborze. Chodziliśmy od straganu do straganu i szukaliśmy czegoś odpowiedniego.

- Ze skutkiem?

- Tylko częściowym. Ja dla siebie nie znalazłem, ale on kupił ładny, jasny garnitur. W popielatą pepitkę. Trochę za duży, ale to nic, krawiec dopasuje.

- Dużo zapłacił?

- Dokładnie nie wiem. Baba zacenila 1700 złotych. Targowali się. Ja wtedy byłem przy innym stoisku. Wróciłem akurat na moment, gdy pan Sowa płacił. Ale chyba dużo stargował, bo z trzech pięćsetek sprzedawczyni, wydała mu jeszcze resztę. Tanio zapłacił, bo to ładny garnitur i dobra wełna. Angielska.

Tymczasem pociąg stanął na Dworcu Zachodnim i za minutę ruszył do Śródmieścia. Tutaj obydwaj mężczyźni

wysiedli. Kapitan skierował się w stronę wyjścia przy Pałacu Kultury, Wielgos w przeciwną, od ulicy Chałubińskiego. Gdy się zegnali, urzędnik spytał oficera:

- Naprawdę jestem podejrzany?

- Ale skądże? Oczywiście żartowałem. Trzeba było jakoś spędzić czas podróży. Do widzenia panu.

- Do widzenia.

Po tej rozmowie kapitan zanotował dwie uwagi: „Wielgos nie ma alibi. Miał sukę, która zginęła potem chorążemu Kamińskiemu. Sowa dziwnie dużo wie o sprawie.” Oficer zamykał już notes, gdy jeszcze jedna myśl przyszła mu do głowy. Dopisał kilka słów: „Dlaczego Nowaczyk zaprosił Wielgosa na niedzielę do domu Salamuchów?”

94

95

Rozdział VIII:

SPOTKANIE W „GONGU”

Kapitan Stefan Kowalczyk wszedł do popularnej herbaciarni w Alejach Jerozolimskich i rozejrzał się ciekawie. Niewielka salka w kształcie dużej litery L zastawiona była dość gęsto stolikami. Wszystkie były zajęte. Pod ścianą znajdowała się długa, wysoka lada. Jak w każdym barze. Naokoło niej okrągłe stołki. Również i te miejsca były zajęte. Na szczęście na chodniku odgradzono mały ogródek.

Amatorów siedzenia na świeżym powietrzu było znacznie mniej, bo choć połowa lipca, wiał chłodny wiatr.

Przyglądając się publiczności w herbaciarni oficer milicji zrobił ciekawe odkrycie. Przeważali młodzi. Ale nie ci najmłodszy „...nastolatki”, lecz mężczyźni i kobiety w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Wśród tej publiczności dużo było młodzieży akademickiej. Poznawało się to po książkach, które mieli ze sobą i nierzadko czytali. Drugą warstwę publiczności stanowili ludzie starsi, już po pięćdziesiątce. Prawie zupełnie nie widziało się codziennych gości warszawskich kawiarni, w wieku od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu lat.

- Interesujące - myślał kapitan: - Najmłodszy bywalcy lokali i „młodzież w średnim wieku” widocznie nie ma kultu picia dobrej herbaty. Najmłodszy nie nauczyli się jeszcze i chodzenie do kawiarni bardziej im imponuje, niż odwiedzanie lokalu o znacznie skromniejszej nazwie „herbaciarnia”.

Do umówionego terminu spotkania z Elżbietą brakowało jeszcze paru minut.

Tymczasem zwolnił się jeden stolik na sali, więc oficer postanowił zmienić miejsce. Szybko, aby go ktoś inny nie ubiegł, opuścił taras i zajął opróżnione miejsce na sali. Podeszła kelnerka.

- Co by tu wybrać?

- Najlepsza jest - radziło dziewczę - herbata angielska. Ze śmietanką. Bardzo mocna. Ale droga. Mamy także rosyjską i po wiedeńsku. Poza tym napoje chłodzące.

- A te gliniane garnuszki, które stoją na stolikach?

- To herbata po wiedeńsku. Ciesz się największym powodzeniem. Podać?

- Niech będzie. I jakieś ciastko.

- Mamy dobrą szarlotkę i sernik.

- Szarlotkę.

Nadeszła panna Ela i usadowiła się naprzeciwko kapitana.

Gdy kelnerka przyniosła na tacy maszynkę z herbatą, dziewczyna poprosiła:

- Dla mnie też wiedeńska.

- I szarlotkę?

- Nie. Nic z owocami. Nie mogę już na nie patrzeć. W nocy mi się śnią. Niech będzie sernik.

Kelnerka odeszła, a dziewczyna zwróciła się do kapitana:

- Słucham, wodzu! Melduję się na rozkaz.

- Przede wszystkim przepraszam panią, że ją ściągnąłem do Warszawy, ale chcę porozmawiać o wielu rzeczach. W domu pani rodziców nie miałibyśmy okazji do swobodnej wymiany słów bez wzbudzania niepotrzebnych domysłów i komentarzy.

- Pan jest ciągle wierny teorii, że przestępca rekrutuje się spośród koła naszych bliskich znajomych?

- To już nie teoria. To pewnik! Mogę pani powiedzieć, bo o tym pani nie wie, że w ubiegłą niedzielę, w czasie zabawy podrzucono na biurko w gabinecie pana Piotra nowy list od szantażysty. Tego nie mógł dokonać obcy.

- Ale ojciec w końcu zgodził się przecież dać pieniądze. Nawet dziwiłam się, że papa tak lekko o tym mówi. Wcale nie przejął się stratą tak poważnej sumy. Przeciwnie, powiedział: „straciłem wprawdzie trochę pieniędzy, ale mam

97

spokój i nie muszę lękać się ani o siebie, ani o kogokolwiek z was".

Kapitan zauważył w duchu, że tym razem ogrodnik stanął na wysokości zadania i nie wygadał się przed rodziną. Głośno zaś zapytał:

- A co pani wie o wydarzeniach ubiegłego wtorku? Dziewczyna ze wszystkimi szczegółami zrelacjonowała

przebieg wypadków w Jankach Małych. Nie знаła jedynie dalszych losów postrzelonej suki.

- Pani zna te szczegóły? - zdziwił się kapitan.

- Tego samego dnia, we wtorek, przyjechał do nas po południu Zbyszek Sowa i wszystko nam opowiedział.

- Ciekawe - mruknął kapitan - skąd on to wie.

- I ja go o to pytałam, ale zrobił tajemniczą minę i odpowiedział, że ma własny wywiad.

- Czy pani orientuje się, co pan Sowa robił tego dnia rano?

- Pan i jego podejrzewa? To taka ciapa!

- Już raz mówiłem, że podejrzewam bez wyjątku wszystkich pani niedzielnych gości. Razem dwanaście osób.

- Nie dwanaście, tylko jedenaście - poprawiła Ela. - Sam pan powiedział, że jestem spostrzegawcza i umiem wysnuwać wnioski.

- Rzeczywiście, jedenaście - zgodził się kapitan. Nie uważał za potrzebne wtajemniczać swojej „współpracownicy”, kim jest dwunasty podejrzany.

- To na pewno nie Zbyszek. Również Janka Matejaka można wyłączyć z tej kategorii.

- Czy dlatego, że obaj podkochują się w pani?

- Kapitan używa niedozwolonych chwytów. Andrzej Nowaczyk także nie mógł mieć z tym nic wspólnego.

- Tak pani sądzi?

- Nie sądzę, ale wiem. Przecież w niedzielę Andrzej został u nas na noc i przez cały poniedziałek pracował w ogrodzie. Dopiero pod wieczór pojechał do Warszawy, aby zobaczyć, co u niego w domu, i kupić jedzenie dla swojej suki. On ma bardzo ładnego psa, którego strasznie lubi. Sam mówił, że jak nikogo na świecie. A we wtorek

Andrzej zjawił się u nas z samego rana i cały dzień pracował w ogrodzie. W dalszym ciągu opryskiwał morele i brzoskwinie trucizną przeciw pasożytom. Przyszedł dopiero na obiad, a po południu dokończyli robotę razem z Zygmuntem. Ojciec niezmiernie cieszył się z tej pomocy, bo sami nie dalibyśmy rady, a Andrzej doskonale zna się na mechanicznym opryskiwaczu. Tak więc, kapitanie, on ma wspaniałe alibi. Mogłabym zeznać w sądzie pod przysięgą, że pracował w ogrodzie i około pół do dziesiątej przyszedł do mnie z prośbą o pomoc przy nalewaniu benzyny do kanistra, bo rozpylacz ma mały motorek benzynowy. Wziął też świeży zapas trucizny. Poza tym jego suka żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Andrzej śmiał się nawet, że milicja będzie teraz kolejno odwiedzała naszych znajomych i sprawdzała, czy komu nie zginął pies. Żartował, że dzięki Norze będzie wolny od podejrzeń.

- To prawda. Sprawdziliśmy, że suka pana Nowaczyka jest pełna temperamentu. Szczeka dużo i chętnie.

- Widzę, że milicja nie traciła czasu. Czego się jeszcze dowiedzieliście?

- Między innymi i tego - zabluffował kapitan - że państwo Matejakowie także mieli sukę. Czy się odnalazła?

- Nawet o tym pan wie! Nie. Bestii ciągle nie ma. Janek bardzo się tym martwi. Jaka tam ona „Bestia”. Łagodna jak baranek, łąsiła się do każdego, kto u nich się zjawił. Uwiązywanie na łańcuchu niewiele pomogło, aby pies zdziczał. Janek przypuszcza, że wyszła na szosę i przejechał ją samochód. Albo po prostu widząc ładną sukę kierowca zatrzymał wóz, zwabił kawałkiem kiełbasy i zabrał ze sobą.

- A czy nie przypuszcza pani, że to właśnie ja ją zabrałem?

- Pan? Dlaczego? Kiedy?

- We wtorek. Milicyjną warszawą, jak to szczegółowo relacjonował wszechwiedzący Zbigniew Sowa. Czy to nie Bestia przyniosła przestępcy w zębach piękną sumkę 300 000 złotych?

- Co za nonsens? - oburzyła się dziewczyna. - Przecież suka zginęła już w niedzielę. Gdy Janek do nas przyszedł,

98

99

to przede wszystkim pytał o swoją Bestię, czy nie ma jej przypadkiem w naszym domu. Czasami przychodziła w odwiedziny do naszego Azora. Mamy takiego pół-kun-dła, pół-wyżła.

- I to milicja już ustaliła - roześmiał się oficer. - Chciałem panią zapytać jeszcze o Matejaka. Czy jego rodzice są równie zamożni jak państwo Salamuchowie?

- Nie. Jego ojciec to trochę konserwatysta. Z wielkim trudem daje się namówić na nowoczesne metody ogrodnictwa. Gdy ojciec kupił ziemię pod Nadarzynem, Mate-

jak w ogóle nie zajmował się ani badylarstwem, ani sadownictwem. Po prostu obsiewał swoje morgi żytem i kartoflami i klepał biedę. Na tej ziemi nic lepszego nawet by nie wyrosło. Dopiero wyniki pracy ojca i innych ogrodników zaczęły przekonywać starego Matejaka. Założył sad, zastosował nawozy sztuczne. Ale nie ma ani szklarni, ani oranżerii.

- To nie jedno i to samo?

- Skądże. Zupełnie różne rzeczy - śmiała się dziewczyna. - Oranżeria jest ogrzewana, ocieplona i służy cały rok. Szklarnie są tylko czasami podgrzewane. Niskie. Uprawia się w nich głównie wczesne pomidory, wysadzone w marcu. Tu też przygotowuje się rozsady.

- Byłem przekonany, że w inspektach.

- W inspektach również. Mówiąc popularnie, szklarnie są ulepszonymi inspektami. Wracając do Matejaków, do dziś dnia stary gospodarz sieje jeszcze żyto na swoich gruntach i kartofle, żeby, jak powiada, „mieć własny chleb”. U nas dawno już się tego nie robi. Szkoda ziemi pod Warszawą na niskoprodukcyjne uprawy. Poza tym on ma trzy konie i ani jednego traktora. Nam wystarcza jeden koń. Za to ojciec kupił dwa traktory i ciężarówkę. Cały inny sprzęt ogrodniczy mamy także zmotoryzowany. Inne maszyny na prąd. Dlatego dochody ojca są najmniej trzykrotnie wyższe. Dopiero teraz, gdy Janek skończył szkołę ogrodniczą i ma coraz więcej głosu w gospodarce, widać u Matejaków poprawę uprawy roli. Ojciec kupił Zygmuntowi samochód. Nawiasem mówiąc osobowe auto było po-

100

trzebne w takim gospodarstwie jak nasze. Bez niego po byle głupstwo trzeba było posyłać do Warszawy ciężarówkę lub tłuc się półtorej godziny autobusem. Janka nie stać nawet na kupno motocykla. Ubiegły rok mieli wprawdzie pomyślny, ale splócili długi i resztę zainwestowali w ziemię. To się zwróci z nawiązką, lecz nie w tym sezonie. Nieurodzaj bardziej dotyka ziemi o mniejszej kulturze.

- Czuję, że po tym wykładzie będę świetnym ogrodnikiem.

- Pan sobie żartuje, a ja mówię poważnie.

- Ja też mówię poważnie. I dlatego młody Matejak nadal jest dla mnie jednym z podejrzanych. O tym, że suka zginęła w niedzielę, pani wie jedynie od niego. A jak było naprawdę? Mógł wyprowadzić psa z domu w niedzielę i gdzieś schować na półtora dnia. Na przykład w budzie, jakie najczęściej ogrodnicy budują w sadach, żeby pilnować owoców przed złodziejami. Czy pani wie, co Janek robił we wtorek? Czy ma alibi?

- Podobno rano pojechał razem z ojcem na Zieleniak z owocami. Po sprzedaniu towaru ojciec wrócił, a on został w Warszawie. Przyjechał do domu dopiero po trzeciej.

- Czyli, że nie ma alibi. To, co opowiada sam podejrzany, nie jest dowodem w sprawie. Takie zeznania muszą być potwierdzone przez świadków, którzy go widzieli we wtorek między dziesiątą a dwunastą w Warszawie.

- Skąd mógł wiedzieć, że tacy świadkowie będą mu potrzebni?

- Ja przecież nie twierdzę, że jest winny, ale muszę nadal uważać go za jednego z podejrzanych. Prowadzone przez nas śledztwo idzie właśnie w kierunku, aby możliwie ograniczyć liczbę tych podejrzanych, a w końcu bezbłędnie wybrać z nich

przestępcę.

- Jestem całkowicie pewna, że ostateczne rozwiązanie będzie zupełnie inne, niż się pan spodziewa. Przestępcą okaże się osoba dotychczas wcale nam nieznaną i nie-podejrzewaną. Nikt z naszych przyjaciół i znajomych.

- Niestety, to są tylko pani pobożne życzenia. Kryminalistyka jest bardzo podobna do matematyki. Do roz-

101

wiązywania równań z jedną lub więcej niewiadomymi. Są pewne ustalone założenia i rozwiązanie wynika z tych założeń. Naszymi danymi, które mają rozszyfrować to równanie, są znane pani fakty. Po pierwsze, przestępca doskonale orientuje się w stosunkach materialnych pani ojca. Po drugie, dobrze wie, co pan Piotr robił, i w ogóle

o wszystkim, co się dzieje w waszym domu. Po trzecie, przyniósł i położył na biurku w gabinecie list w niedzielę między siódmą a ósmą wieczorem. W ten sposób powstało równanie z jedną niewiadomą. Obecnie musimy zebrać jeszcze trochę danych, żeby rozwiązać, kto kryje się pod pozycją x. Cudów nie ma. Krasnoludki dawno już nie roznoszą listów i nie zostawiają ich na biurkach w cudzych mieszkaniach.

- Nadal jednak nie mogę uwierzyć, że jeden z tych miłych chłopców potrafił strzelać do nas zza okna. To niemożliwe.

- Ale tak było.

- Przyniosłam fotografie, o które pan prosił.

Ela sięgnęła po leżącą na krzeselku torbę i wyjęła z niej dużą, szarą kopertę.

Wysypała na stół kilkadziesiąt fotek.

- To są zdjęcia amatorskie robione przeze mnie lub przez Zygmunta. Pochodzą z ostatnich dwóch lat. Robione przy różnych okazjach. Prace w ogrodzie, wycieczki, nawet na nartach w Zakopanem. Są tu wszyscy pańscy „podejrzani” prócz Wielgosa. Nigdy przedtem u nas nie bywał, więc też nie brał udziału we wspólnych fotografiach. Nie mam również zdjęcia Krysi, ale ukradłam Zygmuntowi fotkę z czułą dedykacją od panny. Fotografię postawił za szkłem w swoim pokoju. Będzie wielka awantura, gdy spostrzeże brak swojej najdroższej.

- Wobec tego nie będę pani narażał. Obejdziemy się bez tego zdjęcia. Panna Krysia właściwie stoi poza kręgiem podejrzeń. Ustaliliśmy już jej alibi. Wiemy także, że nie ma

i nie miała nigdy suki - owczarka alzackiego.

- Och, to mnie niezmiernie cieszy! Sam pan przyzna, że sytuacja byłaby wręcz okropna. Narzeczona syna szantażuje swojego przyszłego teścia.

102

- Jeszcze nie wiadomo, czy teścia.

- Chyba tak. Zygmunt to straszny dziwak, mruk i zamknięty w sobie. Jeżeli mimo to Krysia potrafiła doprowadzić do tego, że postawił jej fotografię na biurku, że wszędzie z nią chodzi, a nawet przedstawił w domu, to na pewno nie wypuści go ze swoich rąk.

- A co na to rodzice?

- Ojciec ciągle podśmiewa się wspominając, jak go całowała umalowanymi wargami. Mamusia jest prawie szczęśliwa, że jej ukochany Zygmunt - trzeba panu wiedzieć, że dla mamy Zygmunt był zawsze najdroższym i najlepszym dzieckiem - nareszcie trochę się rozruszał, i chyba pogodziła się z myślą o takiej, a nie innej synowej. Chociaż debiut Krysi w naszym domu był raczej niefortunny.

Kapitan przejrzał wszystkie zdjęcia i odłożył z nich kilkanaście.

- Resztę zwracam, a za parę dni te także będą do zwrotu.

- Poza tym przywiozłam rolki z filmami. Może potrzebne?

- Miałem nosa prosząc panią o współpracę. Filmy ułatwią robotę naszemu fotografowi i dzięki temu otrzymamy lepsze fotki, gdyż nie będzie potrzeby robić zdjęć z odbitek. Bardzo pani dziękuję.

Dziewczyna odszukała w pudełku z rolkami taśmy i wręczyła kapitanowi.

- Czy dostanę jakieś specjalne polecenia?

- Na razie nie. Proszę nadal bacznie obserwować i jeśli pani zauważy coś ciekawego, zadzwonić do mnie. Na przykład gdyby znalazła się suka Matejaków. Niech pani spróbuje też sprawdzić, ale bardzo zręcznie, co robił Zbyszek Sowa w ten nieszczęsny wtorek. A gdyby Janek Ma-tejak przypomniał sobie choć jedną osobę, która mogłaby potwierdzić jego alibi, byłoby dla niego bardzo szczęśliwie.

- O Zbyszku mogę panu dzisiaj udzielić informacji. Przyjechał do nas we wtorek po południu i kłócił się z Andrzejem. Zbyszek umówił się z nim rano na pływalni „Legii”. Zbyszek poszedł, lecz bezskutecznie czekał na przyjaciela, bo ten tymczasem przyjechał do Nadarzyna. Andrzej twierdził, że umawiali się warunkowo.

103

Ponieważ od rana dzień był chmurny, a około siódmej nawet trochę padało, był zwolniony z umowy i powiedział, że „trzeba być ostatnim cepem, aby w taką pogodę lecieć na pływalnię”. Zbyszek złościł się, że całe przedpołudnie zmarnował. Siedział przeszło trzy godziny na pływalni. Woda była zimna, w basenie nikogo ze znajomych.

- Stop. Dalej może pani nie mówić. I w tym wypadku trzeba wyprowadzić jedyny wniosek. Zbyszek Sowa również nie ma alibi. Sprawdzimy to zresztą. Okażemy bileterom i kasjerom „Legii” jego zdjęcie. Może któraś z tych osób przypomni sobie jego twarz i pozna amatora kąpieli pochmurnego wtorku 10 lipca. W przeciwnym razie zarówno Zbyszek Sowa, jak i Jan Matejak muszą pozostać na mojej liście podejrzanych.

- Nie wierzę, żeby któryś z nich miał z tym coś wspólnego.

- Tym lepiej, że pani nie wierzy. Nie zmieni się pani stosunek do tych chłopców. A to ważne przy dalszym ich obserwowaniu. Jak dawno zna pani Bogdana Wielgosa?

- Trzy lata. Poznałam go jeszcze, gdy chodziłam do liceum w Pruszkowie.

Korzystając z tego, że codziennie jeżdżę do miasteczka, ojciec dawał mi różne polecenia do Narodowego Banku Polskiego. Wielgos pracuje tam w wydziale czekowym. Przeważnie jemu oddawałam pisma i czeki przelewowe. Czasami podnosiłam gotówkę. Również później, gdy już studiowałam na SGGW w Warszawie, odwiedzałam bank. Zygmunt poznał go w ten sam sposób. To bardzo luźna znajomość.

- Jakim sposobem Wielgos znalazł się u państwa na zabawie w niedzielę?
- Byłam bardzo zdziwiona, kiedy Andrzej powiedział, że spotkał Bogdana i ten tak się przymawiał z odwiedzinami, że Andrzej musiał go zaprosić na podwieczorek. Tego zupełnie nie rozumiem. Wielgos nigdy u nas nie bywał ani ojciec go nie zapraszał. On sam nigdy nie objawiał zresztą chęci nawiązania z nami bliższych stosunków towarzyskich. I nagle zjawia się w niedzielę.

104

- A może pani źle zrozumiała Andrzeja. Może to właśnie pan Nowaczyk z własnej inicjatywy zaprosił do was Wielgosa? Wiem, że robili jakieś interesy mieszkaniowe.
- To dawne dzieje, chyba sprzed roku. I nic z tego nie wyszło. Andrzej powtarzał mi cały przebieg spotkania z Bogdanem. Wielgos wypytywał się, co u nas słychać, i mówił, że od dawna wybiera się z wizytą do Nadarzyna. Pytał, czy w niedzielę będziemy w domu. W tej sytuacji Andrzejowi nie pozostało nic innego, jak tylko powiedzieć o przygotowywanym podwieczorku. Wówczas Wielgos zapytał, czy on także może przyjść około szóstej po południu. Na to Nowaczyk mógł odpowiedzieć tylko zaproszeniem. Muszę zresztą przyznać, że Bogdan okazał się miły przy bliższym poznaniu i nie mam mu za złe, że przyszedł. On jeden bardzo emablował Krysie. Inni chłopcy dziwnie się na nią boczyli. A nie chciałam, żeby dziewczyna była przekonana, że ją umyślnie źle potraktowano. W towarzystwie Bogdana trochę się rozruszała, stała się bardziej naturalna, dzięki czemu zyskała, zwłaszcza w oczach matki. Ostatecznie źle nie życzę Zygmuntowi i lepiej będzie, jeżeli jego wybranek wszyscy polubią. Wielgosa pan też podejrzewa?

- Podobnie jak wszystkich niedzielnych gości, którzy nie mają murowanego alibi. A poza tym któż lepiej się orientował w stosunkach majątkowych pani ojca, jak nie urzędnik Narodowego Banku Polskiego? Przez jego ręce przechodziła każda złotówka, jaką zarabiał lub wydawał.

- To prawda! Ojciec nie prowadzi sprzedaży na Ziele-niaku. Wszystko dostarcza albo na eksport Hortexowi, albo dużym hurtowniom. Nasze rozliczenia idą wyłącznie przez bank.

- Czy pani ojciec ma broń?

- Nie. Dawniej gdy stan bezpieczeństwa w miejscowościach podwarszawskich pozostawiał wiele do życzenia, ojciec otrzymał pozwolenie na rewolwer. To był stary rosyjski nagan. Nigdy jednak nie potrzebował go użyć. Później, gdy milicja oczyściła już osiedla podwarszawskie z szajek bandyckich i miejscowej chuliganerii, ojciec oddał

105

pozwolenie i nagan milicji w Nadarzynie. Ojciec bardziej bał się tego, że broń może mu zginać, niż ewentualnego napadu. Teraz u nas bezpiecznie. Można samemu w nocy chodzić nie tylko autostradą, ale i bocznymi drogami. Nawet drobne kradzieże prawie zupełnie ustały.

- Póki broń była w domu, to chłopcy z niej strzelali?

- Stasiak, nasz najmłodszy, miał wtedy dwanaście lat, wykradł ojcu raz rewolwer z szuflady i strzelił w ogrodzie. Dostał za to pierwsze i chyba ostatnie lanie w swoim życiu. Właśnie to zadecydowało o zdaniu broni przez ojca. Poza tym rewolwer zawsze leżał w szufladzie w biurku. Ojciec nie pozwalał go nawet dotykać. A co się

stało z suką?

- Jak pani wie, sukę postrzelono. Udało się jednak ją odratować. Za dwa tygodnie powinna być zupełnie zdrowa.

- Suka najlepiej pozna przestępcę. Zaprowadzi do swojego pana.

- Pani stanowczo powinna pracować w milicji. Wiedziałem, co robię, prosząc o współpracę.

- A pan drwi ze mnie nieustannie. To brzydko!

- Wcale nie drwię. Jeszcze raz powtarzam, że już oddała nam pani cenną przysługę. Pani informacje oszczędzają milicji długiej, żmudnej roboty. Zasluguje pani na pochwałę. A co do suki, to słusznie pani wnioskuje. Dlatego tak ratowaliśmy jej życie. Teraz jadę ją odwiedzić.

- Jestem ciekawa, jak wygląda. Gdybym miała więcej czasu, wybrałabym się z panem. Niestety, muszę wracać do domu. W razie czego zatelefonuję do pana. Do widzenia.

Pożegnawszy się z dziewczyną, kapitan Stefan Kowalczyk przeszedł Alejami do Kruczej, kupił w „Samie” mrożoną wątrobę i wszedł do tramwaju 23, aby dojechać nim do Kliniki Weterynaryjnej.

Tym razem nie szukał już lekarza, tylko udał się wprost do klatki. Milicjant był na swoim posterunku.

- Panie kapitanie - zameldował - suka już wstaje. Rano zjadła wszystkie serdelki

Suka nadal obandażowana przez pół ciała na widok kapitana pomachała ogonem, podniosła się z wyraźnym wysiłkiem i kulejąc, na trzech łapach, podeszła do siatki.

106

Oficer próbował ją pogłaskać, ale przez małe oczka między drutami zdołał przełożyć tylko dwa palce. Owczar przeciągnął wielkim, czerwonym jęzorem po palcach i będąc widocznie jeszcze osłabiony, położył się nie spuszczając z kapitana dużych, brunatnozielonych ślepi.

- Poznała pana kapitana! Wie, kto uratował jej życie. Żeby nie pan kapitan, to by tam zdechła w krzakach w ciągu pół godziny.

Stefan sięgnął do teczki i wydobył z niej pakiet owinięty w gazetę. Na szelest papieru suka postawiła uszy. Kapitan odwinął celofan. Wątroba była zmarznięta na bryłę lodu.

Suka widząc i czując mięso łakomie się weń wpatrywała.

- Nie wiem, czy można jej to dać?

- Zawołam lekarza - zaoferował się milicjant. - Jest obok, na sali.

Wrócił w towarzystwie lekarza, młodego sympatycznego człowieka.

- Wasza chora ma się dużo lepiej, już wstaje - powiedział witając się z oficerem milicji. - Za parę dni będzie zupełnie zdrowa.

- Ale bardzo kuleje. Nie może chodzić.

- Nic dziwnego. Ma kulę pod lewą łopatką i to ją uwiera. Rana też ją solidnie boli.

Jak się przyzwyczai do ucisku kuli, to przestanie utykać na prawą nogę. Z czasem pocisk otorbi się, nie będzie jej dokuczał i przeszkadzał w bieganiu. Dzisiaj zmienialiśmy opatrunek i robiliśmy zastrzyk z antybiotyku. Rana goi się bez żadnych komplikacji.

- Czy można dać jej wątrobę?
- Nawet bardzo pożądane. U nas przecież dostaje mięso z kaszą.
- To nic, że wątroba zimna i zmarznięta?
- Kapitan zaczyna tak dbać o tę sukę, jak o rodzone dziecko - roześmiał się lekarz. - Może pan być spokojny. Zje zimne. Jeszcze się obliże. Ale niech pan nie daje wszystkiego. Wystarczy połowa. Resztę schowamy do naszej lodówki na jutro. Zaraz podam miskę.

Weterynarz sięgnął do kieszeni, wyjął kluczyk i otworzył kłódkę, na którą zamknięta była klatka. Potem uchy-

107

lił drzwiczek i wyjął miskę. Tymczasem kapitan przy pomocy małego kieszonkowego nożyka znęcał się nad zmarzniętą wątroba. W końcu udało mu się pokrajać ją w paski. Lekarz wsunął miskę do klatki. Suka wstała ze swojego legowiska, podeszła do miski i zaczęła łakomie jeść.

- Apetyt małej suczce służy - żartował lekarz zamykając klatkę na kłódkę. - Inne klatki są otwarte - zauważył. - Tę jednak zamykamy wobec specjalnych zaleceń milicji. Tak nas nastraszyliście, że wolimy nie ryzykować.

Za chwilę miska była pusta. Suka popatrzyła na swojego żywiciela i widząc, że więcej nie dostanie, machnęła z rezygnacją ogonem, ponownie oblizwała miskę, przejechała ozorem po pysku i poczłapała na swoje posłanie.

Gdy kapitan Kowalczyk wrócił na parę minut przed trzecią do swojego pokoju w Komendzie Wojewódzkiej MO przy ulicy Sierakowskiego, znalazł na biurku telefono-gram. Komenda Miejska zawiadamiała, że w dniu dzisiejszym o godzinie 11.15 w sklepie z konfekcją męską na MDM zatrzymano Janinę Mechową, lat 53, gdy usiłowała zapłacić za kupowany towar pięćsetzłotówką z serii wymienionej w komunikacie MO. Zatrzymana została osadzona w tymczasowym areszcie w Pałacu Mostowskich do dyspozycji KWMO, która zrobiła zastrzeżenie tej serii i numeracji, jaką miał zakwestionowany banknot.

108

Rozdział IX

TRZY BANKNOTY PO 500 ZŁOTYCH

Na drugi dzień kapitan Stefan Kowalczyk udał się do Pałacu Mostowskich, aby zasięgnąć informacji o Janinie Mechowej, zatrzymanej pod zarzutem puszczenia w obieg jednego z banknotów pięćsetzłotowych, pochodzących z paczki złożonej pod drzewem w Jankach Małych.

- Sprawa wyglądała tak - mówił porucznik Downarowicz, jeden z oficerów śledczych KMMO. - Gallux otrzymał wczoraj transport koszul non iron krajowej produkcji. Takie koszule sprzedawane są w detalu po około czterysta złotych. Znanymi sobie drogami handlarki warszawskie dowiedziały się o tej okazji i sklep na MDM już od dziewiątej rano obleżony był przez tłum bab. O jedenastej, gdy otworzono drzwi, wszystko to runęło do wewnątrz. Przy ladzie z koszulami zaczęły się jak zwykle kłótnie i awantury. Ostatecznie kierownik sklepu postanowił sprzedawać tylko po trzy koszule każdemu nabywcy.

- Skąd taki ruch na te koszule?

- Proste! Odpruwa się metki „Wólczanki”. Przyszywa podrobione znaki zagraniczne i

koszula zjawia się na bazarze Różyckiego lub na Skaryszewskiej jako ekstra okazja za 750 złotych. Z „paczki z zagranicy”. Decyzja kierownika wywołała oczywiście nową awanturę. Najbardziej pyskowała gruba handlarz z „ciuchów” na Skaryszewskiej. Odgrażała się, że pójdzie do dyrekcji ze skargą itd. Tę „klientkę” znają na MDM-ie aż za dobrze. Gdy więc Janina Mechowa, bo tak się nazywa, wreszcie dostała swoje trzy koszule, kasjerka zwróciła uwagę, że kobieta płaci dwiema pięćsetkami. Jedna była zużyta, druga zupełnie

109

nowa. A że przed paroma dniami wszystkie sklepy otrzymały ostrzeżenie o skradzionych pieniądzech, zwrócono uwagę na ten nowy banknot. Przypuszczam, że kogoś innego puszczono by wolno, żądając jedynie innego banknotu. Bo zatrzymanie posiadacza podejrzanego banknotu stwarza wiele kłopotów personelowi sklepu: przesłuchania, protokoły... Ale na tę babę mieli oko. Zbyt im załała sadła za skórę. Awantura przy koszulach nie była pierwsza, a nawet nie dwudziesta. Jedna ze sklepowych pobiegła natychmiast do budki milicyjnej stojącej w sąsiedztwie. Przyjechało pogotowie MO i zabrało Mechową do nas, do Komendy Miejskiej. Przy rewizji znaleźliśmy jeszcze 8743 złote. W tym dwa takie same banknoty po 500 złotych. Wobec tego babinkę zaprosiliśmy na dół i daliśmy znać do KWMO. Wyście robili zastrzeżenie, martwcie się tym dalej.

- Czy przesłuchiwalicie ją?

- Nie. Nie chcieliśmy tego robić bez waszej zgody. Możemy ją odstąpić na Sierakowskiego. Tylko pamiętajcie, że jutro upływa 48 godzin od jej zatrzymania. Żeby nie było grandy, że przetrzymujemy bez sankcji prokuratora.

- Nie widzę potrzeby zabierania jej do nas. Jeżeli pozwolicie, przesłuchamy ją tutaj razem i później zdecydujemy, co dalej robić z tym fantem.

- Jak chcecie - zgodził się porucznik Downarowicz i kazał doprowadzić z aresztu Janinę Mechową. Ze stalowej szafy stojącej w rogu pokoju wyjął siatkę i torebkę, osobiste rzeczy zatrzymanej, a odebrane jej w czasie rewizji. Położył to wszystko na stole, umieszczając osobno plik banknotów, osobno zaś trzy nowe pięćsetki. Gdy dyżurny milicjant wprowadził średniego wzrostu, za to niezłej tuszy kobietę, ta od razu zwróciła się do kapitana:

- Komisarzu złociutki, to już w Polsce Ludowej nic nie wolno kupować? Za swoje własne pieniądze? Jak jakiego zbrodniarza zabiera mnie milicja spod kasy w Galluxie. Taki wstyd! Wobec koleżanek i całego sklepu! Jak ja się później na bazarze pokażę?

- Nie opowiadajcie głupstw, Mechowa. Znamy się nie od dzisiaj. Niejeden raz byliście już i tu, i w Dzielnicy. I jakoś nadal handlujecie. Jak sobie przypominam, a pamięć mam niezłą, to nieraz i kradzionym towarem.

- Co też pan porucznik mówi! Skąd ja mogłam wiedzieć, że futro było kradzione? Kupiłam i sprzedawałam.

- Kupiłam! Nowe piżmowce za sześć tysięcy złotych.

- Ja tam się nie znam na cenach futer.

- Na nylonie też się pani nie zna. A u kogo znaleziono materiał spadochronowy, który był skradziony z „Odzieżówki”?

Kobieta milczała, wreszcie rzekła:

- Przecież odsiedziałam. Osiem miesięcy. Grzywnę zapłaciłam. Czego się mnie czepiacie?

- Pani Mechowa - zabrał głos kapitan - płaciła pani za koszule tym banknotem pięćsetzłotowym. Skąd go pani ma?

- A bo ja wiem? Sprzedaję, biorę pieniądze. Potem kupuję nowy towar. Płacę. Znowu sprzedaję. Pieniądz się kręci. Musiałabym mieć głowę jak koń, żeby zapamiętać, kto jakimi papierkami mi płaci.

- Szkoda, że nie pamiętacie.

- Jak Boga kocham, panie komisarzu złociutki, nic nie pamiętam. Taką już mam głowę,

- To niedobrze. Będzie to was kosztowało sporą sumę. Bo prócz tego banknotu, którym płaciliście w Galluxie, znaleziono u was jeszcze dwa takie same. Tak samo nowe i z tą samą numeracją. Nie wiecie, kto wam nimi płacił?

- Nic nie wiem.

- Trudno. Będziemy musieli zrobić protokół i skonfiskować te pieniądze. Banknoty pochodzą z kradzieży.

- Jak to, panie komisarzu? Zabieracie mi 1500 złotych? Za nic? To już zaliczcie mi na tę grzywnę, którą mam zapłacić, co mi referat w magistracie niedawno nałożył.

- Tego nie możemy zrobić. Pieniądze zostały skradzione. Zrobi się protokół.

- O mój Boże kochany! Taka strata! 1500 złotych i te koszule!

110

111

- Gdybyście przynajmniej pamiętali, kto płacił tymi pieniędzmi, to może udałoby się odszukać faceta. No, ale skoro nie pamiętacie, nie ma rady, musicie stracić.

- Chwileczkę, panie komisarzu. Moja głowa! To było chyba w czwartek. Nie, w środę. Przyszło do mnie takich dwóch. Targowali ubranie męskie. Jasne w pepitkę. Zapłacili 1270 złotych. Jak Boga kocham, prawie bez zarobku sprzedałam. Jeden dał mi te pieniądze i ja nieszczęśliwa jeszcze mu reszty wydałam. A żeby go pokreśliło! Za moją krzywdę. Za mój wstyd!

- Jak wyglądali?

- Młodzi byli. Jeden trochę starszy. Ale on nie kupował. Tylko pomagał wybierać. Drugi wyższy. Ciemny blondyn. Z gołą głową. Pieniądze wyjął z książeczki PKO.

- Poznałaby go pani?

- Oczywiście łajdakowi wydrapała. Tak skrzywdzić uczciwą kobietę.

- Pokażemy pani zdjęcia - powiedział kapitan. - Niech je pani uważnie ogląda. Żeby nie rzucić podejrzenia na niewinnego.

Oficer milicji wydobył z teczki kopertę. Rozłożył na biurku około dwadzieścia rozmaitych zdjęć. Mężczyzn i kobiet. Starych i młodych. Janina Mechowa oglądała je uważnie. Niektóre z nich brała do ręki.

- To ten - zawołała pokazując na jedno ze zdjęć.

- Na pewno?

- Na pewno. W piekle bym go poznała.

- Niech się pani zastanowi. Proszę obejrzeć resztę zdjęć. To bardzo ważna sprawa.

- Ja mam takie oczy, że jak kogo zobaczę, dziesięć lat będę pamiętała. A jeszcze kupił garnitur, którego dwa lata nie mogłam się pozbyć. Co się namartwiłam przez ten

ciuch!

- Podpisze pani protokół, że ten człowiek dał pani trzy banknoty po pięćset złotych, które potem milicja zakwestionowała. Te, które leżą tu na stole.

- Podpiszę! W sądzie zeznam! I w kościele przysięgnę, jakby co do czego. Za moją krzywdę. Niech łobuz posiedzi trochę w tej piwnicy, gdzie mnie trzymaliście. Panie komisarzu złociutki, to już będę wolna?

Kapitan spojrzał pytająco na porucznika Downarowicza. Mechowa została zatrzymana przez milicję miejską i on tu decydował.

- Sporządzimy protokół, zaniosę do majora, on zadecyduje.

- Złociutki! Wszystko podpiszę. Tylko wypuśćcie mnie przed nocą. Ile ja straciłam! Dwa dni handlu! 1500 złotych i taki wstyd. Ludziom na oczy nie będę mogła się pokazać!

- Nie bujajcie, Mechowa. Nie bujajcie. Znamy was dobrze.

Porucznik napisał protokół. Odczytał go Janinie Mechowej, a ta jeszcze raz oświadczyła, że kategorycznie poznaje w okazanym jej zdjęciu osobnika, który płacił tymi pieniędzmi. Po podpisaniu protokołu wartownik wyprowadził kobietę z pokoju.

- Można ją zwolnić - zawyrokował kapitan. - Chyba że wy jeszcze coś do niej macie.

- Niestety, za to wykupywanie towarów w Galluxie nic jej nie możemy zrobić. Niech idzie. Zadowoleni jesteście z przesłuchania? Da wam to jakiś ślad?

- Byłoby źle, gdyby nie było żadnych śladów. Ale teraz mamy ich coraz więcej. Tak dużo, że nie wiadomo, który z nich wybrać. Każdy dobry.

- A ten rozpoznany przez Mechową? Któż to taki?

- Student politechniki, Zbigniew Sowa.

- Zatrzymacie go? Może chcecie, żeby wam pomóc? Możemy go aresztować i przeprowadzić w domu rewizję.

- Jeżeli on jest przestępcą, to w domu nic nie znajdziecie. Za mądry, aby trzymać w domu resztę pieniędzy. Z posiadania trzech banknotów jakoś się wytłumaczy, a jednocześnie będzie już ostrzeżony.

- To też racja. Może więc lepiej roztoczyć nad chłopakiem delikatną opiekę. Jeżeli go nakryjemy drugi raz, to leży. Może nawet uda się złapać faceta na gorącym uczynku. Dajcie jego adres i personalia, a my zajmiemy się nim

112

113

jak najtroskliwsza niania. Nie domyśli się nawet, że znamy każdy jego krok.

- Tego by jeszcze brakowało, żeby spostrzegł. Chyba skorzystam z waszej propozycji. Sam nie chcę decydować o ewentualnym aresztowaniu. Naradzę się ze swoim współpracownikiem, z którym wspólnie prowadzimy tę sprawę i uzgodnię ze „starym”, co dalej robić. Zadzwoń do was. A tu macie dane - to mówiąc kapitan położył na biurku notatkę. Zostawił też jedno ze zdjęć Zbigniewa Sowy.

Po powrocie na ulicę Sierakowskiego kapitan odbył z porucznikiem długą naradę.

- Sprawdziłem w Skierniewicach - mówił porucznik. - Nadeszły również pierwsze meldunki od dzielnicowych. Wszystkie „babki” mają murowane alibi. Nie ustalono

żadnych podejrzanych kontaktów. To samo można powiedzieć o ich chłopcach i tych dwóch fatygantach czy kolegach młodej Salamuchówny. Straciliśmy tylko kupę czasu i wielu ludzi napracowało się niepotrzebnie. Sam przejrzyj wyniki dochodzeń przesłane przez komendy dzielnicowe MO.

Kapitan pobieżnie przerzucił raporty i rzekł:

- Wcale nie uważam, że traciliśmy niepotrzebnie czas. Ustaliliśmy bardzo ważną rzecz. Że mamy nie dwunastu podejrzanych, ale tylko pięciu. To bardzo duży postęp - Kowalczyk wyjął z biurka swoją słynną „listę podejrzanych” i skreślił na niej siedem nazwisk.

- Rozpatrzmy więc kolejno, kto pozostał i jakimi dowodami przeciwko nim dysponujemy.

- A więc numer jeden: Jan Kamiński. Mieszka w pobliżu. Jako komendant posterunku MO w Nadarzynie doskonale orientuje się w możliwościach finansowych Salamuchy. Bywa często u niego w domu. Pies go zna i nie szczeka. Kamiński bardzo potrzebuje pieniędzy. Ma długi, ostatnio zachorowało mu dziecko. Istnieje więc motyw popełnienia przestępstwa. Obciążają go następujące poszlaki: przede wszystkim stara historia odebranego mu rzekomo pistoletu. Następnie chorąży był w pobliżu domu badylarza, gdy padły tam strzały. Wydobył ze ściany sześć pocisków - jedyne ślady strzelaniny - i nie oddał ich do

114

ekspertyzy do Zakładu Kryminalistyki. w niedzielę 8 lipca młody Salamucha widział w bezpośredniej bliskości okna gabinetu ojca. Mógł bez trudu, wyciągając jedynie rękę, położyć na biurku list z żądaniem okupu. Nikt nie wie, co robił we wtorek. Tego dnia opuścił rano posterunek mówiąc, że udaje się w obchód- Wsiadł na rower i wrócił dopiero po pierwszej. Ponadto rzekomo zginęła mu suka. Pies był tresowany. Między innymi umiał, jak twierdzi Bogdan Wielgos, aportować, a nawet sam biegał do sklepu po sprawunki. Na rozkaz przynosił gazety z kiosku. Tak wytresowaną sukę nietrudno nauczyć przynoszenia aportu spod drzewa w Jankach Małych. To było już dziecinne zadanie.

- To są poważne poszlaki, wystarczające do aresztowania chorążego - przyznał porucznik. - A co przemawia w obronie Kamińskiego?

- Cała jego nienaganna przeszłość. Poczynając od udziału w konspiracji i w powstaniu warszawskim, poprzez długą, nienaganną służbę w milicji- Poza tą historią w Wołominie, przez wszystkie lata Kamiński nie miał ani jednej dyscyplinarki, nie otrzymał żadnej nagany. Ma znakomite opinie ze wszystkich jednostek, w których pracował. Prócz tego jeszcze jedno poważnie świadczy na jego korzyść. Nasz wywiad ustalił, że suka była tresowana na autostradzie krakowskiej. Widzieli to i potwierdzili nam zarówno dorośli, jak i dzieci. Nikt z tych świadków nie umiał jednak podać rysopisu właściciela psa. Gdyby był nim znany powszechnie komendant posterunku w Nadarzynie, fakt ten nie uszedłby uwagi.

- Ale nie zapominaj, że chorąży stale chodzi w mundurze. Zmiana ubioru bardzo odmienia wygląd człowieka. Mogli go nie poznać. Zresztą w tej chwili nie ma żadnego dowodu, że człowiek, który chodził z psem po autostradzie, jest poszukiwanym przez nas przestępcą. To mógł być tylko zbieg okoliczności. Nie wiemy nawet, czy ci świadkowie rozpoznają sukę, której przyglądali się raczej dłużej

i uważniej niż człowiekowi. Ja bym jednak aresztował Kamińskiego.

115

- To wszystko prawda. Gdybyśmy nie mieli innych podejrzanych, sytuacja chorążego wyglądałaby niewesoło. Te dowody i poszlaki wystarczyłyby prokuratorowi do sporządzenia aktu oskarżenia.

- Nie wiem, czy prokurator zdecydowałby się na „po-szlakówkę”. W takich sprawach jak ta sąd wymaga namacalnych dowodów winy. Ale sądzę, że po zatrzymaniu chorążego łatwo znajdziemy takie dowody.

- Biorę drugiego w porządku alfabetycznym z mojej listy. Jan Matejak. Młody człowiek zakochany czy też udający zakochanego w Elżbiecie Salamusze. Panna posażna. Nie wątpię, że stary badylarz da córce ciepłą rączką parę-set tysięcy. Chociaż to tylko przybrana córka, sierota po bracie. Chłopak w swoich konkurach nie osiągnął żadnego sukcesu. Dziewczyna podśmiewa się z tych zalotów. Zna doskonale wszystkie zwyczaje rodziny. Mieszka koło Salamuchów. Ścieżką przez żywopłot ma od swojego domu do willi sąsiada niecałe 5 minut drogi. Matejakowie mają w tym roku kłopoty pieniężne. Nieurodzaj bardzo ich dotknął. Fakt, że syn ogrodnika spod Warszawy nie może sobie kupić motocykla, mówi sam za siebie. Więc i tu istnieje motyw pieniężny, a być może i uczuciowy - zemsta za obojętność panny.

Matejakowie mieli sukę. Owczarka. Nazywała się Bestia. Dziwnym trafem i ten zginął w tajemniczy sposób. Jan Matejak nie ma alibi. Mówi wprawdzie, że w tym czasie, gdy rozgrywały się wypadki w Jankach Małych, był w Warszawie, ale nie potrafi wskazać ani jednej osoby, która by to potwierdziła.

- Czy suka była tresowana?

- Jak twierdzi Ela Salamucha, suka była bardzo mądra. Ojej tresurze dziewczyna nic nie wie. Znaną jest jednak rzeczą, że owczarki mają pewne czynności już we krwi. Niejako dziedziczą je po swoich tresowanych przodkach. Aportu nie trzeba ich uczyć. Rzucony kamień lub piłkę przynoszą bez rozkazu i bardzo lubią taką zabawę. Wyuczenie więc „mądrej suki” sztuczki z przynoszeniem paczki położonej pod drzewem to kwestia paru dni.

- A co możesz powiedzieć w jego obronie?

- Trudności finansowe Matejaków mają charakter przejściowy. Z chwilą podniesienia kultury rolnej, przerwania się wyłącznie na sadownictwo i badylarstwo, ta gospodarka może dawać dochód nie mniejszy niż sąsiadów. Ryzyko Matejaka jest niewątpliwie znacznie większe niż kogoś innego. W razie wpadki nie tylko traci zdobyte pieniądze i idzie do więzienia, ale również nie ma już żadnych szans u panny. Jeśli więc naprawdę ją kocha, nie ośmielił się na taki skok.

- Niestety, nie mamy termometrów do mierzenia ludzkich uczuć. Równie dobrze Matejakowi mogło chodzić tylko o forszę. Z panną się nie udało, więc spróbował innej metody. A co do przyszłych, pięknych perspektyw? Młodzi nie lubią i nie umieją czekać. Tym bardziej jeżeli chcą sobie kupić auto lub motocykl. Kto następny?

- Andrzej Nowaczyk. Były student architektury. Po Kamińskim najstarszy w tym towarzystwie. Serdeczny przyjaciel Zygmunta Salamuchy, syna ogrodnika. Ma duży wpływ na swojego młodszego o parę lat przyjaciela. W domu Salamuchów lubiany jak własny syn. Ma tam nawet pokoik na górze, gdyż często nocuje w Nadarzynie.

Rodzina ogrodnika nie ma przed nim żadnych sekretów. Pracował w biurze projektowym. Pokłócił się ze swoim bezpośrednim zwierzchnikiem i rzucił pracę. Od półtora miesiąca bezrobotny i nawet nie stara się o inne zajęcie. Lubi się bawić, lubi bywać w lokalach. Nie stroni od kobiet. To wszystko kosztuje. W tej chwili Nowaczyk jest praktycznie biorąc na utrzymaniu Zygmunta. Pieniądze, zwłaszcza grube pieniądze, bardzo by mu się przydały.

- A tobie nie? - roześmiał się Linkowski. - Motyw finansowy znajdziesz u każdego człowieka. 300 000 złotych! Mniej więcej nasze dziesięcioletnie pobory.

- Wiem o tym, bo pułkownik już mi wyliczył, jak długo będę sponował tę sumę pobraną z kasy KWMO. Podobno musiałbym żyć sto piętnaście lat i cały czas pracować w milicji.

- Co jeszcze obciąża Nowaczyka?

- Jego alibi może być również zakwestionowane. We wtorek pracował u Salamuchów. Opryskiwał sad brzo-

116

117

skwiniowy znajdujący się na południowym stoku górkę, na samym końcu ogrodu. Z domu ogrodnika nie widać ani sadu, ani pracujących tam ludzi. O godzinie dziewiątej z minutami Nowaczyk zjawił się w obejściu, wziął potrzebną mu benzynę i truciznę. Wrócił z pracy dopiero około drugiej. Z powodzeniem mógł zostawić robotę i ze schowanym w pobliżu psem, nie zauważony przez nikogo, pójść okólną drogą do autostrady krakowskiej, a w odpowiednim momencie wydać wilczurowi rozkaz. Moim zdaniem obciąża go sprawa zaproszenia Bogdana Wielgosa na niedzielę do Salamuchów. Nowaczyk przedstawia to tak: spotkany przez niego Wielgos sam się napraszał z wizytą. Andrzejowi nie pozostało nic innego, jak tylko zgodzić się na odwiedzinę urzędnika w domu badylarza i uprzedzić o tym pannę Elę, która organizowała podwieczorek taneczny przy magnetofonie. Bogdan Wielgos opowiada o tym zupełnie inaczej. Twierdzi, że do Salamuchów w ogóle się nie wybierał i nie zamierzał utrzymywać z nimi stosunków towarzyskich. To właśnie Nowaczyk zaprosił go w imieniu panny Eli i nastawał, żeby bankowiec koniecznie przyszedł do willi ogrodnika.

- Obaj więc twierdzą coś wręcz przeciwnego. Gdzie jest prawda?

- Raczej wierzę Wielgosowi. Pamiętam, że gdy przyszedł, to witając się z panną Elą dziękował jej za zaproszenie. Wspomniał też, że Nowaczyk specjalnie się fatygował do Pruszkowa, aby zawiadomić go o tym zaproszeniu. Gdyby było inaczej, tak jak to przedstawia Nowaczyk, urzędnik bankowy przemilczałby powód przyjścia.

- Co za interes miał Nowaczyk w ściągnięciu urzędnika bankowego do Nadarzyn?

- Jeśli jest przestępcą, to usiłuje wprowadzić w błąd prowadzących śledztwo. Im więcej podejrzanych, tym bezpieczniejszy jest ten jeden, który wziął pieniądze.

- Równie dobrze mógł to być zwykły figiel. Chłopak zobaczył Wielgosa i postanowił zrobić małą intrygę. Wmówił mu, jakoby Ela specjalnie się nim interesowała, a pannie odwrotnie, że Wielgos naprasza się z wizytą, bo Ela wpa-

118

dła mu w oko. I jednej, i drugiej stronie zrobiło się bardzo przyjemnie. Łechtało to ich ambicje; a Nowaczyk bawił się swoją intrygą.

- Przeciwno niemu mam jeszcze jeden zarzut. Umówił się we wtorek rano ze Zbyszkim Sową na pływalni „Legii”, a sam nie przyszedł. W ten sposób i Sowa nie ma alibi na ten dzień.
- Umawianie się na pływalni w taką pogodę jest czystym szaleństwem.
- Podobno Zbyszek Sowa był zły na przyjaciela. Zarzucał mu, że przez niego zmarnował przedpołudnie i że umawiano się bez względu na pogodę. Nowaczyk temu zaprzecza. Według niego umowa była ważna pod warunkiem, że we wtorek będzie ciepło i słonecznie.
- Nie zapominaj, że Nowaczyk ma sukę. Nawet podobna do tej, która obecnie przebywa w Klinice na Grochowskiej. Sukę widziałem. Jest zdrowa i szczeka z wielkim animuszem. A robiła to właśnie wtedy, gdy zwierzę, które przyniosło w pysku paczkę z pieniędzmi, nie mogło ruszać nawet końcem ogona. A poza tym czy najbliższy przyjaciel mający do tego jeszcze pewne długi wdzięczności okradałby rodziców swojego druha?
- Te argumenty przemawiają za Nowaczykiem. Niemniej nie mogę go wykreślić z listy podejrzanych, tak jak to zrobiłem z innymi nazwiskami.
- Jedź dalej.
- Zbigniew Sowa. Nie ma alibi. Jak już mówiłem, podobno przebywał na pływalni „Legii”. Bardzo ciekawe, ale ani bileter, ani portier, ani szatniarz nie przypominają sobie jego osoby. Chociaż zgodnie twierdzą, że we wtorek frekwencja na basenie była minimalna. Zaledwie dwadzieścia parę biletów sprzedanych i trochę członków sekcji pływackiej „Legii” i „Warszawianki”. W tym dniu mieli trening i weszli bez biletów, za okazaniem legitymacji klubowej. Pokazywaliśmy fotografię Sowy. Nikt go nie zna i nie pamięta. Czy był tam naprawdę?
- Motyw finansowy jak u pozostałych?
- Syn niezamożnych rodziców. Ojciec pielęgniarz, matka salowa. Pracują w jednym ze szpitali warszawskich.

119

Troję młodszego rodzeństwa.

W domu ciężko.

Ajednocześnie młody człowiek widzi, jak jego kolega otrzymuje prezencie od ojca samochód.

Zazdrość, chęć dorównania przyjacielowi.

To nie samotności bez znaczenia.

- To wszystko?

-Nie.

To dopiero początek.

Zbyszek Sowa zjawił się Salamuchów we wtorek po południu i zewszystkimi szczegółami opowiedział cały przebieg akcji w Jankach Małych.

Wiedział nawet, że hasłem rozpoznawczym radiostacji była "Wega".

Opowiadał, jak przeciągałem motocykl pod barierą.

Mówił o ucieczce psa i pościgu na motorze między zagonamiżyta.

Wiedział o grupach pracujących naszoscie, a naweto dwóch autach "cywilnych", stojących w rezerwie.

Zapewniam cię, że opowiadanie młodego człowieka było bardziej szczegółowe niż

raport pisemny złożony pułkownikowi.

- O banknotach też wiesz?

- Nie.

O tym nie.

Idłatego na drugi dzień zjawił się na "ciuchach" na Skaryszewskiej.

Kupił tam nowy garnitur.

Jasnyw pepitkę.

Zapłacił za niego 1270 złotych.

Dał handlarce trzy pięćsetki.

Właśnie banknoty z paczki pod drzewem.

Porucznik Linkowski, który nic nie wiedział o telefonogramie z KMMO ani o przesłuchaniu Janiny Mechowej, aż się poderwał.

- Dopiero teraz o tym mówisz?

Kazałeś go zamknąć?

- Nie.

Namyślałem się, czy to zrobić.

Ostatecznie są to jedynie poszlaki.

- Jak to poszlaki?

Przecież miał pieniądze z naszą serią!

Najlepszy dowód, że jest przestępcą.

- Niekoniecznie.

Mógł te pieniądze dostać od przestępcy.

Oczywiście najprościej byłoby aresztować.

Ale aresztowanie niewinnego ostrzeże prawdziwego przestępcę.

Pozatym, jeżeli nie znajdziemy dalszych banknotów, to również byłaby "poszlakówka".

I to bardzo wątpliwa.

Nie przypuszczam, aby na tej podstawie sąd wydał wyrok skazujący.

Sowamoże powiedzieć, że banknoty znalazł na drodze.

- Nie tak łatwo znajduje się

pieniądze.

I to z zastrzeżonymi numerami.

120

- A jednak nie dowiesz mu winy.

Zgodnie z przepisami, że wszystkie okoliczności sprawy należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego, sąd go uniewinni.

- Za ostrożny jesteś!

Gdyby Sowę aresztować, wziąć razidруги na przesłuchanie, napewno puściłby parę z ust.

Może rewizja wykryłaby u niego w domu broń i resztę pieniędzy.

- Teraz chcesz aresztować tego chłopa, a przed chwilą uważałeś, że trzeba było samozrobić z Kamińskim.

Zarówno tu, jak i tam poszlaki są bardzo poważne.

Nie zapominaj o Matejaku, Nowaczyku i Wielgosie.

Oni są niemiernie obciążeni.

- O Wielgosie nie było mowy.

-Bogdan Wielgos jest urzędnikiem wydziału czekowego Narodowego Banku Polskiego w Pruszkowie.

Ma bezpośrednią kontrolę nad rachunkiem bieżącym Salamuchy.

Zalóżmy, że Wielgos nie usiłował podjąć pieniędzy z pierwszym razem -wtedy, kiedy "powiatówka" z Pruszkowa i milicja z Nadarzyna robiły zasadzkę i kiedy w paczecznej dowoły się tylko pocięte gazety.

Bo Wielgos wiedział, że w wyznaczonym dniu nie może być pieniędzy, ponieważ grodnik nie podniósł ich z konta.

Zato gdy badylarz złożył w sobotę czek na 300 000 złotych i poprosił o przygotowanie pieniędzy na poniedziałek, przestępca-Wielgos znał za celowe ostatecznie zdopingować badylarza, aby ten wreszcie zdecydował się położyć banknoty pod drzewem.

W tym celu napisał list i korzystając ze spotkania Nowaczyka, uzyskał od niego zaproszenie na potańcówkę.

Nie znając rozkładu domu, bobył tam po raz pierwszy, i nie wiedząc, jak wyjść z pokoju, w którym tańczono, poprosił gospodarza o pozwolenie za telefonowania rzekomow jakiejś pilnej sprawie.

W ten sposób znalazł się w gabinecie i bez przeszkód położył swoje ultimatum na biurku.

- A czy Wielgosowi zginął pies?

-Nie, ale Wielgos jest krewnym chorążego Kamińskiego i to właśnie on podarował milicjantowi sukę Ażę, tę, która zginęła.

Sam Wielgos przyznał, a potwierdził nasz wywiad, że bankowiec często bywał w domu chorążego.

121.

Suka zawsze entuzjastycznie witała swojego dawnego pana.

Przy rozstaniu Aza odprowadzała go aż za miasteczko.

Tak więc Wielgos miał okazję wyuczenia psasztuczki z aportem i pies bez wahania spełniłby jego rozkaz.

Jedyny wyjątek od reguły, bo zazwyczaj pies tresowany słucha swojego pana i domowników, nie spełnia natomiast rozkazów wydawanych przez obcych,

- A jak z motywami?

- Jak u pozostałej czwórki.

Wielgos mieszka w Pruszkowie wynajmowanym pokoju jako sublokator.

Wiemy, jak te sprawy wyglądają w praktyce.

Dlatego nasz urzędnik stara się o mieszkanie.

Ponieważ jest samotny i zarabia powyżej 1500 złotych, przeto nie przysługuje mu przydział z budownictwa miejskiego.

Zresztą w Pruszkowie jest wiele osób mieszkających w dużo gorszych warunkach, lecz nawet dla nich nie ma mieszkań.

Na mieszkanie spółdzielcze trzeba czekać parę lat.

Wielgos bardzo zapalił się do projektu kupna jakiegoś strychu i przerobienia go na kawalerkę, jak to swojego czasu zrobił Andrzej Nowaczyk.

Potrzebne było ponad 100 000 złotych, a nasz bankowiec nie rozporządzał taką sumą. Trzysta tysięcy złotych może go urządzić.

Wystarczy i na mieszkanie, i na ładne mebelki z telewizorem włącznie, i na zorganizowanie przyjemnej egzystencji.

Podobnie jak pozostała czwórka, Wielgos nie ma alibi.

Rzekomo był w Warszawie, bo chciał kupić wiatrówkę.

Odwiedził cedet, bazar na Pańskiej i sklep z odzieżą męską pod arkadami MDM.

Niespotkał jednak nikogo, kto mógłby to wszystko potwierdzić.

Dopiero o pierwszej spotkał się ze znajomą w "Świteziance", kawiarni znajdującej się na Marszałkowskiej między placem Unii Lubelskiej a placem Zbawiciela.

- Jeżeli Wielgos jest krewnym Kamińskiego, to mógłby działać w zмовie.

- Nie przypuszczam.

Wtedy każdy z nich miałby alibi.

Po prostu jeden świadczyłby, że znajdował się w towarzystwie drugiego, a drugi to potwierdził.

Jednakże rzadko się zdarza, żeby szantażowała banda lub jakaś zorganizowana grupa.

Regułą jest, że szantaż to przestępstwo jednoosobowe.

Aha, muszę dodać jeszcze jedno: Bogdan Wielgos towarzyszył Zbigniewowi Sowie przy kupnie ubrania i płaceniuzie nie pieniędzmi pochodzącymi spod drzewa.

Może miał okazję zamienić niepostrzeżenie pięćsetki Sowy na swoje, aby sprawdzić, czy można je puszczać w obieg.

- Jako urzędnik bankowy Wielgos wiedziałby, że zrobiliśmy zastrzeżenie, i nie ryzykowałby puszczenia pieniędzy natychmiast po popełnieniu przestępstwa.

- Ci z Wołowa również doskonale wiedzieli, że z dwunastu przeszło milionów złotych zrabowanych w Narodowym Banku Polskim około pięciu milionów ma

numery zastrzeżone.

I mimo to tak się śpieszyli z wydaniem własnietych "trefnych" banknotów, że aż kupowali narzuty na łożka.

Zresztą Wielgos prawdopodobnie nie wiedział o zastrzeżeniu, gdyż od poniedziałku 9 lipca jest na urlopie.

On przyjął jedynie złożony w sobotczek i idąc na urlop przedził kolegę, który miał go zastępować, że ogrodnik prosił o przygotowanie na poniedziałek pieniędzy w nowych pięćsetkach.

Tak się też stało.

Nasze banknoty również były nowe.

- A więc mamy pięciu podejrzanych.

Każdy z nich może być przestępcą.

Poszlaki są bardzo poważne.

Prawiedrużgocące.

Może aresztować wszystkich pięciu?

Zamknijmy ich, zrobimy u nich rewizję i kolejno przesłuchamy.

Zawsze coś się tego wyłowi.

- Jestem zupełnie pewny, że nawet najlepsza, najbardziej szczegółowa rewizja w domu przestępcy niczego nam nie da.

Nie znajdziemy ani broni, ani pieniędzy.

Facet jest za mądry, aby trzymać coś podejrzanego u siebie w chałupie.

Aresztować możemy.

Dlaczego nie?

Nawet całą piątkę.

Ale po upływie 48 godzin trzeba będzie wszystkich zwolnić.

Prokurator niewystawi nakazów aresztowania dłuższy termin.

A za bezpodstawne aresztowanie pięciu ludzi dostaniemy po uszach od komendanta.

Wyobrażam sobie, jaki krzyk podnieśliby sami aresztowani po przetrzymaniu ich dwa dni w piwnicy.

Że łamiemy praworządność, że niemiłe czasy.

Poza tym zrozum, czym jest aresztowanie milicjanta, komendanta posterunku.

Przecież chorąży nie

123.

mógłby już wrócić do Nadarzyna, a kto wie, czy nie mu'siałby w ogóle zrezygnować z dalszej służby w milicji.

Niemamy prawa wyrządzać całej piątce takiej krzywdy.

Tymbardziej, że to nie posunęłoby naszej sprawy ani na krok.

- Więc co nampozostaje?

-Nadalśledzić całą piątkę.

Nadal gromadzić poszlaki.

Czekać, kiedy przestępca popełni poważniejszy błąd,który ostatecznie go zdradzi.

Czekaćna wyzdrowienie suki i z jej pomocą próbować zdemaskowania przestępcy.

Szukać odpowiedzi na pytanie,jakie postawił lekarz operujący psa:"Dlaczego przestępca trafił sukę w prawą,a nie w lewą pierś".

Roboty jest aż nadto.

- Właśnie, jak tam zdrowie suki?

-Coraz lepiej.

Odwiedzam ją codziennie idożywiamwątrobą lub mrożonymi sercami wieprzowymi.

W "Samie"na Kruczej jestem stałym gościem.

Wczoraj ta gruba kasjerka pozwoliła mi nawetwejść bez koszyczka.

Suka jej śpi na przemian.

Weterynarze mówią, że w przyszłym tygodniu będzieją można zabrać.

- Co z nią wtedy zrobimy?

-Rozmawiałem z pułkownikiem.

Chce, żebymnaraziewziął sukę do domu.

W komendzie nie ma zupełnie warunków, aby ją trzymać.

- A co na tomówitwoja żona?

-Nic nie mówi, bo nicjeszczenie wie.

Postanowiłemdziałać metodą zaskoczenia.

Pewnego dnia zjawięsięw domu z suką.

Liczę na jejurodę i na to, że dzieci będąmoimi sprzymierzeńcami.

Nieraz prosiły mnieo psa.

- Czy próbowałeś wołać na sukęimionami zaginionychpsów Kamińskiego i Matejaka?

-Tak.

Wołałem Aza i Bestia.

Nie reagujenażadne z tychimion.

124

Rozdział X:

OBYCZAJE BABY-JAGI:

Upłynęłoosiem dni.

Na biurku w pokoju kapitana Stefana Kowalczyka codziennie zjawiały się rozmaite raportyi telefonogramy.

Oficer czytał je uważnie.

Nie zawierałyjednak niczego nowego.

Milicjant z Nadarzyna donosił, żechorąży Jan Kamiński normalnie wypełnia swoje

obowiązki.

Jego sukajeszczę się nie odnalazła.

Jan Matejak, jak to zauważył dyskretnie śledzący go wywiadowca, jeździ parokonnym wozem na Zieleniak.

Tam sprzedaje towary natychmiast wraca do domu.

Później aż do zmierzchu pracuje w polu.

Codziennie odwiedza najbliższych sąsiadów, Salamuchów.

Z tych raportów kapitan wiedział również, że Bogdan Wielgos ostatecznie nie znalazł w Warszawie poszukiwanej wiatrówki.

Zrezygnował też z wyjazdu na wczasy.

Swój urlop dzielił między Pruszkowem a Warszawą, gdzie dość często spotykał się z pewną panią.

Był z nią dwa razy w kinie, raz wieczorem w kawiarni na dansingu, a raz jedli wspólnie obiady.

Raporty podały dokładne informacje o towarzyszu bankowca, ale dosprawynie wniosły niczego istotnego.

Zbigniew Sowa rozpoczął praktykę w jednym z zakładów przemysłowych w Warszawie.

W związku z tym rzadziej bywał w Nadarzynie.

Natomiast odwiedził krawca przy ulicy Tarczyńskiej i oddał mu ubranie jasną peritkę do przeróbki i dopasowania.

Zamówienie zostało wykonane w ciągu czterech dni.

Wywiadowcy nie udało się ustalić, ile wziął krawiec za dokonanie przeróbki.

Andrzej Nowaczyk nadal nie pracował, chociaż odwiedził pewne biuro projektowe i rozmawiał z paru znajomymi-

125.

' mi, czy można się u nich zaczepić i jakie są możliwości zarobkowe w tej placówce. Nowaczykprawiecodziennie"przyjeżdżał do Nadarzyna i pomagał w pracyw ogrodzie.

Jak stwierdził w swoim sprawozdaniu wywiadowca milicji,"obserwacja wyżej wymienionego Nowaczyka w jego miejscu zamieszkania na Bielanych jest wysoce utrudniona,gdyż w domu, w którym wspomniany Nowaczyk mieszka,biega po ogrodzie zły pies, który szczekaniem zwraca uwagę domowników i sąsiadów na wszystkich obcych przechodzących ulicą".

W ciągu tych ośmiu dninie ponowionoprób "wprowadzenia do obiegu pieniężnego" pięćsetek z zastrzeżonymi numerami.

Stwierdził to ponad wszelką wątpliwośćkomunikat Narodowego Banku Polskiego,który jednocześnie ostrzegał, że w dalszym ciągu należy zwracać bacznąuwagę na wszystkiebanknotypięćsetzłotowe przyjmowane dokas banku.

Raniona suka przebywająca przy ulicy Grochowskiejw Klinice Wydziału Weterynaryjnego SGGW z każdymdniem czuła się lepiej.

Wbrew obawom milicji niebyłozadnychprób podstępnego zgładzenia zwierzęcia.

Kapitan niemal codziennie odwiedzał sukę, a nigdy nie zjawiał się próżnymi rękoma.

Owczarek widząc już z daleka znajomą postać stawał przy siatce, radośnie machał ogonemiczekał na ulubiony przysmak: surową,mrożonąwątrobę.

Przed dwoma dniami lekarze zdjęli suce opatrunek.

Pogrożnej dla życia ranie pozostała jedynie niewielka łysin -kaz czerwoną blizną.

- I to zarośnie za kilka tygodni - twierdziłweterynarz.

-Nie będzie nawet najmniejszego znaku, że była tu kiedyśrana.

Lekki niedowład prawej łapy i kulenieustąpiązchwilą, gdy pies będzie miałwięcej ruchu.

Pewnego dnia, gdy kapitan odwiedził swoją pupilkę,doktor Wacław Zarasiewicz jeszcze raz dokładniezbadąłsukę i oświadczył:

- Zupełnie zdrowa.

Może ją pan zabierać.

- Alejak?

Może jutro?

Trzeba kupić kaganiec, obrozę,smycz.

126

- Niechją kapitan zabiera dzisiaj.

Szczerze mówiąc, taklatkajest potrzebna dla innego pacjenta.

A obrozęi smyczznajdziemy w naszych remanentach.

Często przywożą nam psy ranne w wypadkach ulicznych i już nie douratowania.

Zazwyczaj smyczi obrożazostają u nas.

Poproszę jednegoz pracowników,aby wyszukał coś odpowiedniej wielkości.

Za chwilęprzyniesiono lekarzowi skórzaną linkę zakończoną metalowym, niklowanym łańcuszkiem.

- To nasz prezent dlaładnej i dzielnej pacjentki -śmiał się lekarz -z życzeniami, aby się dobrze sprawowaław nowej roli psa milicyjnego.

O, przeto kółkoprzewleka się łańcuszek, tak żepowstaje pętla.

Wsuwasie ją psu na szyję.

Dla dużych psów to lepsze niż obroza, bo nie mogą ciągnąć, ponieważ pętla zaciska im się na szyi.

Lepsze też niż "kolczatka", bo zwierzakowi nie sprawia bólu.

Zdjęto kłódkę i otworzono drzwiczki klatki.

Niepewniastając suka wyszła z niej i stanęła na ziemi, rozglądając się wokół.

Niewątpliwie mądre zwierzę, zrozumiało, że teraz decydują się jej przyszłe losy.

Oficer milicji podszedł bliżej i założył jej łańcuszek na szyję.

- Noga!

- zakomenderował.

Suka posłusznie pokuśtykała i zaszedłszy z tyłu stanęła, a później usiadła przy lewej nodze kapitana.

- Tresowana - rzekł lekarz z uznaniem.

- Aż za dobrze!

Jej tresura kosztowała nas 300 000 złotych!

Stefan pożegnał lekarza, jeszcze raz dziękując za troskliwą opiekę nad rannym zwierzęciem.

Odesłał milicjanta, który tego dnia pełnił wartę przed klatką, do

KWMO na Sierakowskiego, aby poinformował oficera dyżurnego, że kapitan zabrał psa z Kliniki i dalsze utrzymywanie go w posterunku jest więc tutaj zbędne.

- Niech pan z nią chodzi na spacer - poradził kapitanowi przy pożegnaniu doktor Zarasiewicz.

- Na razie sukanie powinna biegać, ale sporo maszerować.

Jej prawoprednia łaapa potrzebuje takiej gimnastyki.

127.

Wobec takiej życzliwej uwagi kapitan postanowił przejśćpieszo do przystanku autobusowego na rogu Waszyngtonai Grenadierów.

Szli wolno.

Sukawlokła się z tyłu, a nawetkilkakrotnie siadała na chodniku, aby odpocząć.

Ze zmęczenia wysunęła długi, czerwony jęzor.

Dzień był wyjątkowo ciepły ikapitan postanowił ochłodzić się lodami.

Zatrzymali się przyjednym z ulicznych kiosków.

Gdy kapitanodbierał wafelz lodami suka oblizała się wymownie.

Niebyło rady.

Porcja lodów powędrowała na ziemię i bardzoczybko zniknęła w psim pysku.

Przy następnej budce suka wyrażniedała do zrozumienia, że przydałaby się repeta.

Kapitan zawahałsię, czy tokupno wyjdziena zdrowie zarówno psu, jak kieszeni oficera milicji -i pociągnął mocniej linkę.

Zrezygnowana suka pokuśtykała dalej.

Ponieważ państwo Kowalczykowiemieszkali przy ulicyRaszyńskiej,kapitan wsiadł z sukądo autobusu pośpiesznego "C".

W rzędzie pojedynczych miejsc było akuratjedno wolne.

Oficer zajął je, suka trzymana krótko nasmyczyła obok.

- Siad!

- zakomenderowała kapitan, gdy autobus ruszył.

Suką posłusznie usiadła na podłodze autobusu, ale niebyło jej tam wygodnie.

Nieodczuwalne dla ludzi drganiapodłogi były przykre dla zwierzęcia, bo zaraz wstała i niewiele się namyślając wpakowała się oficerowi na kolana.

Był to bardzo komiczny widok: oficer milicjiw mundurzei siedzący mu na kolanach wielkiowczar.

- Małasuczka - zaśmiała się pani siedząca naprzeciwko iwyciągnęła rękę, aby pogłaskać sukę po łbie.

Owczarzareagował błyskawicznie.

Obnażył swoje wielkie białe kłyi kłapnąłnimi w powietrzu tuż przed dłonią zbliżającąsiędojego łba.

- A fe!

Brzydkajesteś!

Chcesz mnie ugryźć - pani bynajmniej nie była speszona agresywnym zachowaniem sięowczara.

- Maszrację, że nie pozwalasz dotykać się obcejosobie.

Jak się wabi?

Kocham wszystkie psy.

Nawet takie złe.

Kapitan znalazł się w głupiej sytuacji.

Trudnobyło nieodpowiedzieć na uprzejme pytanie miłośniczki zwierząt.

Jeszcze trudniej wytłumaczyć nieznanomej, że suka

128

w ogóle nie ma nazwy albo że człowiek, który trzymają nakolanach, nie zna jej imienia.

-Aza - skłamał rozpaczliwie.

- Aza!

Śliczna Aza.

Nie gniewaj się na mnie - pani usiłowała wkupić się łaski suki, ale tanie reagowała na tokilkakrotnie powtórzone zawołanie.

Takdojechali doroguAleiJerozolimskich i Grójeckiej.

Tutaj kapitan pozbył sięsuki z kolan i oboje wysiedli.

Otwierając drzwi swojego mieszkania kapitan czuł sięrównie niepewnie jak wówczas, gdy miał stawić się u pułkownika po nieudanej akcji wJankach Małych.

Tutaj czekała na niego inna władza- domowa.

Niemniej sroga inicniewiedząca o niespodziance przygotowanej przez męża.

Weszli domalegoprzedpokoju.

Suka była lekko prze, ; straszona nowym otoczeniem.

Uszypołożyła posobie,szła[na ugiętych nogach.

Kapitan zdjął jej z szyi łańcuszek i powiesił na wieszaku.

Wszedł do pokoju,a suka zatrzymała się w progu, wsuwając jedynie łeb.

- Dzieńdobry - pozdrowiłżonę niepewnym głosem.

-Dzień dobry- Anna Kowalczykowa podniosła głowę
znad maszyny do szycia.

- Głodny jesteś?

; ; - No,tak sobie.

Prędko będzie obiad?

W tej chwili pani Anna dostrzegła wychylającą się zza
męża wielką brązowo-czarnąmorde.

Ogromne zdumienie

odbiło się na jej twarzy.

- Co to zapies?

Skąd go wzięłeś?

- To jest suka.

No,ta suka, o której ci opowiadałem.

Była ranna.

Jużwyzdrowiała.

Widzisz, Aniu, są z niąkłopoty, więc pomyślałem,że przez kilka dni mogłaby побыćw naszymdomu.

Na Sierakowskiegow komendzie nie mająj gdzie trzymać.

- Takie duże psiskow domu?

- paniAnna wyraźniebyła niezadowolona.

-Kto będzie po niej sprzątał?

Na pewno nie ty.

- Bardzo grzeczna i dobrze wychowana suka.

Czysta.

Nie będzie z nią żadnego kramu.

- Akto będzie dla niej gotował?

Wyprowadzał na spacer?

Mało mam roboty w domu?

- Zawsze z nią wyjdę.

Mogę nawet brać ją do biura.

Jedzenie to głupstwo.

Co drugidzień kasza jęczmienna, a co,, drugi rozgotowany w wodzie chleb.

Dotego trochę smalcu.

Chlebai tak się u nas dużo marnuje.

Wątrobęalboinnepodroby zawsze dla niejkupię po drodze w mrożonkach.

A ugotować można z dnia na dzień,wieczorem.

Dzieci ucieszą się.

A gdzie one są?

- Poszłydo ogródka na Wawelską.

Już powinny wrócić.

Sukajak gdyby rozumiejąc, że rozmowa dotyczy jejprzyszłych losów, po cichutku wsunęła się do pokoju i włązła pod stojący na środku kwadratowy stół.

Tu położyła sięmożliwie jaknajbardziej płasko.

Tylko jej oczy zwracałysięraz w stronękapitana, raz w kierunku jegożony.

- Nawet nie uważałeś za stosownepowiedzieć mi choćślowo, że masz zamiar zabrać psa dodomu.

-Widzisz, tak się złożyło, że trzeba było dzisiaj zabraćsukę z Kliniki.

Co miałem z nią zrobić?

W ostatnim momencie zdecydowałem przyjechać z nią do nas.

Więc jakmogłem ci otym mówić?

- Nieopowiadaj.

Wszystko to już przedtem obmyśliłeś.

Znam cię przecież.

Wiedziałeś, że nie wyrzucę zwierzakana ulicę.

- Aniu, nie gniewajsię.

Nie będziez nią takiego kłopotu, jak się obawiasz- kapitan podszedł do żony ipocałował ją wrękę.

- Coja z tobą mam.

Stary, a gorszy od dziecka.

- To możeja pójdę po dzieci - zaofiarowałsię Stefanwidząc, że pierwszą batalię wygrał wstępny bojem.

-Niechodź.

Same wrócą.

Siadaj, zaraz dam obiad.

Dzieci już jadły.

Pani Anna zaczęła krzątać siękoło gospodarskich zajęć.

Stół przykryła plastikowym obrusem i nakryła nadwie osoby.

Z kuchni przyniosła zupę.

Usiedli i zaczęlijeść.

Suka cichutko, zupełnie bez ruchu leżała podstołem.

Na drugie danie było mięso z jarzynami.

Widoczniemięso przyjemnie zapachniało, gdyż nagle, nie czyniączadnegoszmeru,

wielka, brązowa mordą z dużymi sterczącymi uszami zjawiła się nastole, między talerzami.

130

Efekt był tak zabawny, że pani Anna roześmiała się, odkroiła kawałek mięsa i podała go psu.

Sukadelikatnie wzięła ofiarowany jej kęs i z powrotem, bezszelestnie zniknęła pod stołem.

- Psa nie należy karmić przy stole w czasie posiłków.

- Nie dość, że bez pytania sprowadzasz mi takie wielkie bydło, jeszcze na mnie krzyczysz!

Pierwsze lody zostały przełamane.

Suka zyskała prawa obywatelskie w domu kapitanostwa Kowalczyków.

Pod koniec obiadu, gdy na stole zjawiła się herbata i kruche ciasteczka, suka uznała, że może już opuścić bezpieczne schronienie.

Wyszła spod stołu, kilkakrotnie pociągnęła nosem, rozejrzała się po pokoju, podeszła do pani Anny i usiadła przed nią.

Za chwilę podała jej łapę.

Kapitanowa ze śmiechem ucisnęła łapę, a wtedy suka podała jej drugą.

Siedziała teraz na tylnych kończynach, przednie położyła na kolanach pani domu i wpatrywała się w nią zebrzącym spojrzeniem.

Za chwilę ciastko zniknęło pomiędzy zębami suki, która ze zdobyczą wpyskurozglądała się, gdzie by tu można było spokojnie zjeść swój "oberchapek".

W końcu uznała, że najlepiej w przedpokoju, pokuśtykała więc na leżący tam chodnik.

W minutę później wróciła i znowu zafundowała pani Annie obie łapy.

Powtórzyła się scena z herbatnikiem.

- Ładna jest - przyznała pani kapitanowa.

- I bardzo przymilna.

Ale musimy szybko kończyć herbatę, bo inaczej zje nam wszystkie ciastka.

Suka widząc, że nic się już nie uda wyzbebrać od państwa, rozpoczęła zwiedzanie pokoju.

Obeszła go naokoło, uważnie obwąchując meble.

Szczególnie zainteresowanie wzbudziła w niej stojąca pod ścianą półeczka, której górne regiony zajmowały książki, a dolne były zajęte przez dziecięce zabawki.

Ostrożnie obwąchała różne cacka, śmiesznie marszcząc i pociągając nosem.

Gdy kapitan wyszedł do drugiego pokoju, suka natychmiast za nim wybiegła.

- Gdzie i naszym będzie spała?

- zatroszczyła się pani Anna.

131.

- Dzisiaj prześni się na starym kocu.
Położę go w kuchni.
Pies musi mieć w mieszkaniu swój własny, stały ką.
A jutro z paru desek zrobię ramę.
Na niej umocuję pasy na tym wszystkim przybiję się grube płótno.
Takie, jakiego używają do leżaków.
Suka będzie miała własny tapczani szybko się doniego przyzwyczai.
Naglerozległ się dzwonek udrzwi.
Suka postawiła uszy i zaczęła szczekać.
Na rozkaz kapitan zamilkła i usiadła, wpatrując się w drzwi wejściowe.
Pani Anna wyszła do przedpokoju i otworzyła drzwi z zatrząskiem.
Dzieci wróciły z ogródka.
Dziewięcioletnia Wandeczka młodszy od niej o cztery lata Maciuś.
Od razu zobaczyły sukę siedzącą na środku pokoju.
Tanajężyła się i z cicha warczała.
Dla pewności kapitan podszedł do niej i wziął ją za kark.
- Jaki pies!
- dziwiła się Wandeczka.
- Tatusiu, tonasz?
Tatus kupił?
- Tatus dostał - odpowiedziała pani Anna - i przyprowadził mamie w prezencie.
Mama bardzo się ucieszyła, że nareszcie będzie miała trochę roboty w domu.
To nie pies, a suka.
Musi się z wami zapoznać.
Ostrożnie, nie zbliżajcie się do niej.
Ale mały Maciuś podbiegł już do suki.
Chciał ją objąć i pogłaskać.
Ta zjężyła się jeszcze bardziej.
Z jej gardła wydobyło się groźne warknięcie.
Błysnęły obnażone, wielkie białe kły.
Przestraszone dziecko zatrzymało się o pół metra przed suką.
Kapitan zacisnął uchwyt na karku zwierzęcia i odciągnął je nieco do tyłu.
- Brzydka jesteś.
Nie lubię ciebie.
Wstrętna Baba-Jaga!
- zawołał chłopiec cofając się pod opiekę czarownicy.
- Baba-Jaga!
- powtórzył raz jeszcze, bo właśnie wczoraj pani Anna czytała mu bajkę o złej czarownicy.
- Baba-Jaga - powtórzyła Wandeczka, która przezornie trzymała się z daleka.
- Świetna nazwa - ucieszył się ojciec.
- A ciągle się martwiłem, jak na nią wołać.
Nikt nie wie, jak się przedtem nazywała.
Baba-Jaga!

To do niej pasuje.

- Takie brzydkie imię dla takiego ładnego psa?

132

- Tak mamusiu!

Baba-Jaga!

Baba-Jaga!

- dzieci poparły ojca.

Suka przyglądała się całej czwórce.

Tymczasem kapitan ją puścił.

Wstała i ostrożnie zbliżyła się do stojącej bez ruchu dziewczynki.

- Baba-Jaga, nie rusz!

Nie wolno!

- krzyknął kapitan.

Tym razem jednak suka nie miała agresywnych zamiarów.

Obwąchała dziewczynkę i podeszła do Maciusia.

Dziecko było niewiele wyższe od dużego psa.

Maciuśbał się bardzo, ale stał spokojnie, tylko lekko zbladł.

Sukai jego obwąchała, zaczynając od stóp obutych w letnieszandalki.

Gdy podnosząc łeb dojechała do głowy dziecka, wyciągnęła swój wielki czerwony język i z rozmachem przeciągnęła nim dzieciakowi po buzi.

Nieruchomy dotąd spuszczone do dołu ogon teraz zaczął się poruszać wahadłowym ruchem.

Przyjaźń została zawarta.

- Co ja dam jej jeść?

- martwiła się pani kapitanowa.

- Ona jest wyraźnie głodna.

Chyba tę zupę, która została najutro, i w drobiu trochę bułki.

Za to wy nie będziecie mieli zupy na obiad.

I dla nas, i dla psa nie starczy.

- Jak to dobrze - ucieszyły się dzieci.

- Od zupy tyje się niepotrzebnie - kapitan równie chętnie zrezygnował z tego dania.

Pani Anna poszła do kuchni przyrzadzić psu jedzenie.

Wszyscy za nią.

Najpierw dzieci, potem kapitan, a na końcu Baba-Jaga.

- Przecież ja mam dla niej wątrobę w teczce.

Kupiłem rano w mrożonkach - przypomniał sobie oficer i wyjął małą, w celofan owiniętą paczuszkę.

Suka widząc swój ulubiony przysmak wymownie się oblizwała.

Gdy suka została nakarmiona, Stefan przyniósł do kuchni stary koc.

Złożył go w czworo i położył w kącie.

- Tu będzie jej posłanie.

- Niedość, że kuchenka mała i jeszcze to olbrzymie psisko.

- Baba-Jaga, na miejsce - rozkazał kapitan, a suka posłusznie pomaszerowała na koc i położyła się.

Kiedy jednak oficer wyszedł z kuchni, Baba-Jaga natychmiast po133.

dniosła się z legowiska i poczłapała za nim.

Wyciągnęła się na posadzce i drzemała, tak jednak, aby zawsze widzieć, co się dzieje w pokoju i co porabia jej nowy właściciel.

Na dzieci niezwracała większej uwagi.

One równieżnie ośmielały się jeszcze do niej podchodzić.

- Musisz chyba z nią wyjść - zauważyła w pewnym momencie pani Anna.

Na słowo "wyjść" pieszastrzygł uszami i pytał spojrzał na oboje małżonków.

- Pójdziemy na spacer?

- zapytał kapitan.

Suka zerwała się i podbiegła do niego.

Całaję postawa wyrażała radość i oczekiwanie na przyjemność.

Lekko chwytając rękę kapitana i ciągnęła w stronę przedpokoju.

Gdy nałożyła jej na szyję łańcuszeki otworzyła drzwi, zaczęła się niecierpliwie.

Próbowała też ciągnąć oficera za sobą, dopiero na szarpnięcie smyczą i komendę "noga" uspokoiła się zajęła pozycję z lewej strony swojego pana.

Na ulicy Koszykowej, gdzie wzdłuż czerwonego muru zabudowań szpitalnych chodnik oddzielał od jezdni szeroki zielony trawnik, kapitan zdecydował się zdjąć sukcesmycz.

Zadowolona z uwolnienia jej od krępującego wolność łańcucha, Baba-Jaga pobiegła naprzód.

Uważnie obwąchiwała rosnące tutaj lipy i starała się jak najlepiej poznać nowe dla siebie otoczenie.

Nie odbiegała zbyt daleko od kapitana.

Coraz to odwracała głowę patrząc, czy jest w pobliżu.

- Baba-Jaga - zawołał oficer.

Suka spojrzała na niego, nie reagując na wołanie.

- Baba-Jaga, noga!

- dopiero teraz pies zrozumiał podszedł do kapitana.

Później już przybiegała na wołanie Baba-Jaga.

Pojęła, że odtąd tak się nazywa.

W czasie pierwszej nocy kapitan nie zamknął drzwi do kuchni.

Wieczorem pies był wyraźnie niespokojny i zdenerwowany.

Początkowo w ogóle nie chciał położyć się na swoim posłaniu.

Dopiero po parokrotnym powtórzeniu rozkazu "na miejsce", Baba-Jaga wyciągnęła się na kocu.

Nie trwało to długo.

Około północy kapitana obudził zimny dotyk psiego nosa.

Otworzył oczy na tle jasnej plamy

134

okna zobaczył psi pysk sterzący uszami.

Oficer musiał wstać i zaprowadzić sukę z powrotem na jej posłanie w kuchni.

Na niewiele się to zdało.

Jeszcze Stefan nie zdążył ponownie usnąć, kiedy usłyszał człapanie.

Pazury ślizgały się po wyfroterowanej posadzce, a wielka mordaznowa znalazła się

przy twarzy kapitana.

- Zamknij ją w kuchni -pani Anna była wyraźnie zła, że niepozwala jej spać.

Zamknięto drzwi, zaraz jednak sukka zaczęła drapać w nie pazurami, prosząc o wpuszczenie jej do pokoju.

- Na miejsce!

- tym razem już i kapitan był zły.

Pieszczegnowany wrócił na posłanie i reszta nocy minęła bez żadnych przygód.

Nazajutrz Baba-Jaga od samego rana zaczęła się przymilać do pani Anny przygotowującej śniadanie dla rodziny.

Podawała jej kolejno raz jedną, to znówu obydwie łapy i siadała przed butelkami z mlekiem.

Kapitanowa wzięła wreszcie miskę i naląła do niej porcję mleka z butelki.

Wtedy sukka z radości zaskomlała.

Rzuciła się łapczywie na mleko, chłepcąc jegłóśno i rozlewając wokoło na kamienne płytki podłogi kuchennej.

Wszystko wypięła, pięknie wylizała miskę do czysta, a następnie zlizła rozlaną kałużę mleczną.

- Taka duża psica i wcale nie umie jeść.

Będzie stale brudzić w kuchni - pani Anna ciągle nie mogła się całkowicie pozbyć krytycznego stosunku do nowego domownika.

- Widocznie mamusia jej nie nauczyła.

Mogą teraz konkurować z Maciusiem.

- Nieprawda - w kapitanowej odezwała się matka.

- Jak na swój wiek Maciuś je bardzo ładnie i prawidłowo trzyma łyżkę, jak widelec.

Po porannym spacerze kapitan zostawił sukę w domu i pojechał do biura.

Baba-Jaga była niespokojna.

Popiskiwała, strzygła uszami, nadśluchiwała.

Szczekała, gdy ktokolwiek szedł klatką schodową.

Nie ruszyła przygotowanego dla niej jedzenia.

Warknęła nawet raz czy dwadzieścia, za co oberwała po łbie ścierką od pani domu.

Okolo czwartej po południu rzuciła się ze skamlaniem do

". drzwi wejściowych.

Jakim cudem posłyszała czy wyczuła kapitana, który w tym momencie musiał być jeszcze z pięćdziesiąt metrów od domu, pozostanie jej tajemnicą.

Na powitanie urządziła prawdziwy koncert popiskiwań, skamlań i szczekania.

Potem natychmiast pobiegła do kuchni, do gara zjedzeniem stojącym pod zlewem opróżniła go w mgnieniu oka.

Z brudnym, umazanym kaszą pyskiem przybiegła znowu do oficera, łasząc się i ciesząc.

- Baba-Jaga, marsz do kuchni.

Wytrę ci mordę - rozkazała pani Anna, a pies posłusznie poczłapał za nią cierpliwie nadstawiając pysk poddał się operacji poobiedniej toalety.

Gdy tylko kapitan skończył obiad, Baba-Jaga pobiegła do przedpokoju i przyniosła smycz.

Uważała, że po spożyciu posiłku najwyższy czas wybrać się na przechadzkę.

Chociaż Stefan lubił poczytać gazety po obiedzie, a właściwie trochę podrzemać, rad nierad musiał przerwać sjęstę wyprowadzić psa.

- Sam tego chciałeś!

- roześmiała się pani Anna, widząc minę męża wychodzącego z Babą-Jagą.

Podwóch dniach suka już na dobre zadomowiła się na Raszyńskiej.

Czuła respekt i starała się zaskarbić łaski pani domu.

Dzieci traktowała po koleżeńsku, bez przesadnej radości, ale i bez warczenia.

Pozwalała im na różne figle.

Maciuś próbował nawet wdrapać się na nią i jeździć jak na koniu.

Suka znosiła to cierpliwie, ale jej mina świadczyła, że nie aprobuje tych doświadczeń.

Na każdy dzwonek do drzwi nadal odpowiadała gwałtownym ujadaniem, nawet jeżeli dzwoniła sąsiadka, która Babę-Jagę zdążyła już poznać i podrzucała jej codziennie smaczne resztki jedzenia.

Ale największą miłością i autorytetem pozostał dla suki kapitan.

Ncierpliwie wyczekiwała godziny jego powrotu.

Po radosnym powitaniu swojego pana, Baba-Jaga rozpoczynała rewizję teczek.

Doskonale orientowała się, że to właśnie on zdobywa i przynosi dla niej mięso.

Baba-Jaga miała też ciekawy zwyczaj, niespotykany u innych psów.

Po radosnym powitaniu w drzwiach wejściowych tych, których uważała za swoich przyjaciół, biegła szybko do kuchni, gdzie na swoim posłaniu miała duży kość do zabawy.

zają kość do zabawy.

Chwytała ją w pysk i wracała do przybyłego podając mu swój przysmak.

Taki poczęstunek miał być, według psa, dowodem największej radości i zaufania.

Wytworzył się zresztą cały rytuał tego powitania.

Trzeba było wyjąć kość z pyska Baby-Jagi, pogłaskać ją i oddać nat z powrotem.

Suka zadowolona odnosiła go na legowisko i wracała do przybysza.

Miała też fantastyczne wyczucie czasu.

Tak się złożyło, że kapitan przed wyjściem do biura wyprowadzał ją na spacer kwadrans po siódmej.

Po powrocie do domu oficer zajmował się swoją ulubienicą po obiedzie, co

zazwyczaj wypadało na godzinę czwartą z minutami.

Wieczorowy spacer rozpoczynał się o dziewiątej.

Nie trzeba było spoglądać na zegarek.

Z dokładnością do pięciu minut Baba-Jaga przynosiła swojemu panu kaganiec, który dostała w prezencie nad drugi dzień po zamieszkaniu w nowym domu.

Trzeba przyznać, że tym darem Baba-Jaga nie była bynajmniej zachwycona.

Za każdym razem ryla pyskiem o trawę, usiłując zrzucić krępujący swobodę ruchów "kapelusik".

Po kilku dniach rekonwalescencji Baba-Jaga wyraźnie się poprawiła.

Zapadłe boki wyrównały się, sierść odzyskała piękną, błyszczącą czerń.

Również i stan chorej nogi znacznie się polepszył.

Widocznie kula otorbiła się gdzieś w mięśniu i przestała dokuczać.

Suka prawie nie kulą, zaczynała biegać, a pewnego razu ujrawszy na ulicy

Nowogrodzkiej dużego, burego kota popędziła za nim, goniona zajadle aż do bram drukarni "Expressu", gdzie kocisko znalazło schronienie, a pies bał się zapuścić na obcy teren.

Tymczasem w sprawie, którą kapitan prowadził razem z porucznikiem

Linkowskim, nie działo się nic nowego.

Stała obserwacja podejrzanej piątki nie przyniosła ani nowych dowodów przeciwko nim, ani też nie pozwalała nikogo skreślić z feralnej listy.

Gdy więc stan zdrowia suki poprawił się, obaj oficerowie uznali, że nadszedł czas decydującej próby.

Baba-Jaga miała jechać do Nadarżyna i wskazać przestępcę.

Rozdział XI:

BABA-JAGA SZUKA PRZESTĘPCY

Czarny mercedes zatrzymał się rankiem przed domem przy ulicy Raszyńskiej. Próżkierowcy był w nim jeszcze również ubrany po cywilnym porucznik Linkowski oraz jeden z wywiadowców, doświadczony długoletni przodownik psów milicyjnych. Kierowca dał krótki sygnał.

Nie czekali długo.

Z bramy wyszedł kapitan Stefan Kowalczyk z Babą-Jagą.

Kapitan nie miał munduru, lecz jasne ubranie i płaszcz przeciwdeszczowy.

Ponieważ obaj mężczyźni siedzieli z tyłu wozu, kapitan otworzył przednie drzwi i ułokował się koło szofera.

Baba-Jaga bez chwili namysłu wpakowała się na kolana swojego pana.

- Dlaczego nie wzięliśmy Warszawy z radiostacją?

- zapytał wywiadowca.

- Aby nikt się nie domyślał, że jesteśmy z milicji.

Moment zaskoczenia może być ważny.

Przestępca prawdopodobnie ma przy sobie broń - wyjaśnił kapitan.

- Dlatego jedziemy w cywilu.

Popół godzinie mercedes dojechał do celu.

Kapitan polecił zatrzymać się tuż po wjechaniu do Nadarżyna.

Kierowca został w samochodzie, a trzej mężczyźni wysiedli.

Babę-Jagę puszczone luzem, bez smyczy i kagańca.

Po wyjściu z auta suka zrobiła parę skoków.

Widocznie "rozprostowywała kości" po niewygodnej jeździe.

Potem zajęła się obwąchiwaniem słupa telegraficznego, najbliższego drzewa i furtki prowadzącej do stojącego opodal niewielkiego domu.

Wcale nie zdradzała chęci oddalenia się od swojego nowego właściciela.

138

- Nie wygląda na to, żeby orientowała się w terenie - zauważył porucznik

Linkowski.

- Może podprowadzić ją bliżej - zaproponował wywiadowca.

- Chodźmy - powiedział kapitan.

- Chorąży mieszkają przy ulicy Żółwińskiej.

To musi być niedaleko.

- Aza, Aza!

- zawołał jakiś chłopak, idący po przeciwnej stronie ulicy.

- Znasz tego psa?

- kapitan zbliżył się do chłopca.

- Tak.

To jest Aza.

Suka pana komendanta.

Ona zginęła przed dwoma tygodniami.

A to Jędreksię ucieszy!

- Jaki Jędreksię?

-Mój kolega szkolny.
Synkomendanta.
Chodzimy dojednej klasy.
- Na pewno Aza?
Poznajeszją?
- No jakżeby?
Mało to razy chodziłem z Jędrkiem i z niądo lasu albo kąpać się?
Jeszczebym miał nie poznać!
Jaka ona mądra.
Wszystkorozumie.
Jak jej kazać coś przynieść, to zarazwykona.
Jędrzek chowałnierz przed niąksiążki albo jakąś inną rzecz i mówił: "Aza, szukaj, Aza,przynieś".
A ona przynosiła.
- Zawołaj ją jeszczeraz.
-Aza!
Aza!
Chodź tu!
Noga!
Ale suka niezwracała najmniejszej uwagi nato wołanie.
Copravda widząc, żekapitan przeszedł na drugąstronę ulicy,również poszła za nim, ale zajęła się obwąchiwaniem różnych interesujących ją obiektów, a szczególnie starego, chylącego się ku upadkowi parkanu.
- Aza!
Aza, chodź tu!
Pies nadal nie reagował.
Chłopiec podbiegł do sukiiichciał ją chwycić za kark.
Nieco flegmatyczna ipowolnaz naturyBaba-Jaga tym razem odwróciła się błyskawicznie.
Z głuchym warknięciem skoczyła na wyrostka.
Tenzdziwiony i przerażony zachowaniem tak dobrzeznegosobie zwierzęcia cofnął się gwałtownie, potknął o jakąśnierówność chodnika i upadł jak długi.
Suka nadal goatakowała.
Chłopak bronił się machając nogami.
Nie wiadomo, jakbysię to skończyło, gdybykapitan nie podbiegł

i nie chwycił suki za ogon.

Odciągnął ją od chłopaka, poczym Babę-Jagę ujął za kark.

- Trzeba jej chyba założyć kaganiec - zauważył porucznik.

- Jeszcze tutejsza milicja zrobi namprotokół!

- Ale się zła zrobiła - chłopak wstał, otrzepał ubranie z kurzu i przezornie trzymał się z daleka od suki, która ciągle jeszcze cicho warczała.

Sierść na całym grzbiecie zaczęła jej się jak szczotka.

- A może się omyliłeś?

Może tonie jest Aza?

- Chyba Aza.

Taka sama.

Chociaż.

Czyja wiem?

Może Aza była trochę mniejsza i jaśniejsza?

Ta ma czarne boki, a Aza jakby bardziej siwe.

Sam nie wiem.

- I wierz tu naocznym świadkom - roześmiał się kapitan zakładając suce kaganiec.

Ruszyli w stronę rynku.

Po drodze parokrotnie słyszeli uwagi wypowiediane przez mijających ich przechodniów:

- Popatrz, Aza się znalazła.

- Aza!

Aza!

- zawołała jakaś dziewczynka.

Ale suka nie zwracała uwagi na te wszystkie wołania.

Skreśli w ulicę Żółwińską.

W niedużym, dwurodzinnym domu mieszkał tutaj chorąży Jan Kamiński.

Jedną połowę domu zajmował chorąży, drugą właściciel domu.

Niewielki ogródek również był podzielony na dwie części.

Dom stał parę metrów za linią ulicy, odgradzony od niej drucianą siatką.

Furtka była uchylona.

Kapitan szedł pierwszy, porucznik i wywiadowca za nim.

Baba-Jaga raz wybiegała parę metrów do przodu, to znowu zajęta obwąchiwaniem zostawała w tyle.

Dochodząc do domu chorąży i kapitan umyślnie zwolnił kroku.

Nie zatrzymał się jednak przed furtką, lecz poszedł dalej.

Baba-Jaga zorientowała się, że zbyt odstała od swojego pana, puściła się za nim truchtem.

Minęła furtkę, nie zwracając uwagi ani na wejście do domu, ani na pracującą w ogródku kobietę.

Trzej mężczyźni zatrzymali się i zaczęli zapalać papierosy.

Suka stanęła również.

Domem nie interesowała się zupełnie.

- Kotek!

- na te słowa kapitana Baba-Jaga reagowała zawsze rozglądaniem się szukaniem odwiecznego nieprzyjaciela psiego rodu.

Teraz więc uszy suki zaczęły się

140

nerwowo poruszać.

Podbiegła do stojącego w pobliżu drzewa.

Wspięła się na przednie łapy i usiłowała wypatrzeć kota wśród gałęzi.

Z doświadczenia wiedziała, że znieawidzone przez nią kotki mają zwyczaj uciekać przed psimizębami na rosnące w bezpiecznej wysokości konary.

- Kotek!

Szukaj kotka!

- szczuł oficer.

Baba-Jaga opuściła swój posterunek pod drzewem, przebiegła na skos dwukrotnie jezdnię wąskiej uliczki, zajrzała przez furtkę do ogródka i nie widząc nigdzie kota wróciła pod drzewo.

- Hau!

Hau!

Hau!

- rozległ się jej basowyszczek.

Kobieta pracująca w ogródku, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się na ulicy, teraz przerwała zajęci i spojrzała na psa obskakującego pień drzewa.

- Aza!

Aza!

Suka nawet nie odwróciła łba w tamtą stronę, lecz nadal tańczyła pod drzewem, wypatrując znieawidzonego wroga.

- Skąd pani wie, że ona nazywa się Aza?

- zapytał porucznik.

- Przepraszam panów.

Usłyszałam szczekanie i sądziłam, że to nasza suka wróciła.

Mieliśmy taką samą.

Może troszeczkę jaśniejszą.

Niedawno nam zginęła.

Dzieciaki aż się rozchorowały ze zmartwienia.

Bardzo ją kochały.

Taka była ładna i mądra.

Chyba ktoś ją ukradł albo samochód przejechał, bo biegała po całym miasteczku.

Tu wszyscy ją znali.

- Czy pani nie wie, gdzie mieszka pan Jabłoński?

Stanisław Jabłoński.

Szukamy go, a nie mamy dokładnego adresu.

Gdzieś na prawo od Rynku - kapitan usiłował przedłużyć rozmowę, licząc na to, że suka zainteresuje się nareszcie jego rozmówczynią.

Ale Baba-Jaga podeszła do siatki, stanęła koło oficera i obojętnie spoglądała na ogródki znajdującą się w nim kobietę.

- Stanisław Jabłoński?

Nie, nie znam takiego.

Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

Tu na Żółwińskiej pewnie mieszka.

A gdzie indziej?

Mieszkamy w Nadarzynie dopiero trzy lata, więc nie wszystkich się zna.

Chociaż to taka mała miejscina.

Ale o sąsiadach tej samej ulicy wiecie

141.

wszystko.

Najlepiej niech pan spyta na posterunku milicji.

To niedaleko, koło Rynku.

Tam mają książki meldunkowe i dadzą panom adres.

- Bardzo dziękuję - kapitan grzecznie się uklonił i zawrócił.

Obajmężczyźni za nim.

Baba-Jaga pobiegła przodem.

- Niemożliwe, aby nie poznała domu, w którym mieszkała, ani swojej pani.

Sądząc z rozmowy, tożona chorążego- stwierdził Linkowski.

- Znowu zły ślad.

- Szczerze mówiąc, to nawet się cieszę, że ten ślad okazał się zły -
odpowiedział kapitan.

- Wejdziemy jednak na posterunek milicji.

Może pozna Kamińskiego.

- Ale czy onnas nie pozna?

Nie jestem tego wcale takipewien.

Razczy dwarazy widziałem go na jakiejś odprawie na Sierakowskiego.

- Ja też.

I rozmawiałem z nim w Pruszkowie.

Wubiegłym roku, gdy robiliśmy dochodzenie w sprawie tego pożaru w magazynie -
powiedział wywiadowca.

- Spotkałem się z nim w "powiatówce".

- Ale mnie chyba nigdy nie widział.

Wy zaczekajcie albo idźcie w stronę auta, a ja z psem wejdem na posterunek

- oświadczył kapitan.

- Aza, Aza - zawołała młoda dziewczyna wymijając trzech wolno idących
mężczyzn.

- Cosię z tobą działo?

Gdzie tybyłaś?

Suka odwróciła się i podeszła do nieznajomej.

Ta zaczęła ją głaszać.

Pies przyjmował karesy machając ogonem.

- Podaj łapę na przywitanie - poprosiła dziewczyna.

Suka usiadła i poważnie wyciągnęła swoją kosmatą
prawicę.

Dziewczyna uścisnęła psią łapę, poklepała sukę
parę razy po pysku i powiedziała:

- Wracaj do domu.

Tam bardzo martwili się twoim zniknięciem.

Jeszcze jedno pogłaskanie psa po karku i nieznajoma poszła swoją drogą.

Suka przez chwilę biegła za nią, potem stanęła, kilkakrotnie pomachała ogonem i
wróciła do kapitana.

- A jednak sobie przypomniła - porucznik był podniecony rozegraną scenką.

- Przecież nie łąsiłaby się tak doobecnej kobiety.

Chłopcu nie dała się dotknąć.

142

- To niczego nie dowodzi - wywiadowca nie był takim optymistą, jak Linkowski.

- Przecież chłopca także musiała znać, nie mówiąc już o żonie Kamińskiego.

- Nic nie rozumiem - kapitan nie ukrywał, że zachowanie sukki jest dla niego zagadką.

- Nie zauważyliście, skąd tąd dziewczyna wyszła?

- Z domu, który stoi tuż za domkiem chorążego.

Tak rozmawiając doszli do budynku mieszczącego posterunek MO w Nadarzynie.

Kapitan wszedł do środka.

Baba-Jaga pobiegła za nim.

- Poczekamy w pobliżu - zaproponował porucznik.

Tymczasem kapitan otworzył drzwi, puścił sukę przed sobą i wszedł do sporego pokoju przedzielonego barierką na dwie części.

Z jednej strony, tej od drzwi wejściowych, stała ławka, z drugiej dwa stoły przysunięte do samej barierki.

Jeden był pusty.

Na drugim stał telefon.

Przy stole siedział młody milicjant z dystynkcjami kaprała.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, obywatelu - milicjant przerwał pisanie.

- W jakiej sprawie?

Coto?

Znaleźliście sukę komendanta?

Aza! Aza!

Suka stała bez ruchu.

- To mój pies - zauważył kapitan.

- Z psaminie wolno wchodzić do urzędu.

- Przepraszam, ale nie miałem go gdzie zostawić.

A słyszałem, że tu kradną psy, nawet należące do milicji.

Chciałem zobaczyć się z panem komendantem.

- Wejdźcie do drugiego pokoju - informował kapral.

- To jednak chyba Aza.

Kapitan otworzył drzwi do następnego pomieszczenia.

Celowo puścił psa przodem.

W drugim pokoju za biurkiem siedział mężczyzna w okularach.

Sądząc po zmarszczkach na czole i pod oczyma oraz po siwiźnie na skroniach, musiał mieć około czterdziestki.

Czytała książkę, którą teraz zamknął i szybko schował do szuflady.

Nie dość jednak szybko, aby kapitan nie zdążył odczytać: "Trygonometria dla.

" Chorążego, a że był to on, najlepiej świadczył mundur z jedną gwiazdką, spojrzał uważnie wchodzących.

Na widok sukki drgnął.

143.

- Radość czy strach?

- zadał sobie pytanie oficer, starając się rozszyfrować wyraz twarzy komendanta posterunku, jednocześnie obserwując zachowanie się Baby-Jagi.

Ta, jak zwykle po wejściu do obcego dla niej pomieszczenia, pociągnęła nosem i rozejrzała się ciekawie.

Ostrożnie zrobiła kilka kroków naprzód, tak że znalazła się tuż przy biurku.

- Obywatel do mnie?

W jakiej sprawie?

-zapytał chorąży opanowanym, równym głosem.

- Chciałem się dowiedzieć, gdzie mieszka Stanisław Jabłoński.

-Jabłoński?

Stanisław?

U nas takiegonie ma.

A oddawna miał tumieszkać?

- Kilka lat.

Chyba z pięć.

- A czym się zajmuje?

-Mechanik samochodowy.

- Musieliście się chyba, obywatelu, pomylić.

W Nadarzyni takim nie meldowany.

W jednej z gromad pod miastem jest Jabłoński, ale Adam.

Ma tam swoją gospodarkę.

Zresztą czekajcie, zaraz sprawdzę.

Chorąży wstał od biurka, podszedł do szafy, otworzył ją i wyjął grubą księgę podzieloną na litery.

Znalazł odpowiednią rubrykę i zaczął sprawdzać listę mieszkańców miasteczka, których nazwiska zaczynają się od litery J.

Tymczasem Baba-Jaga, która naruch komendanta wstającego od biurka cofnęła się przezornie do swojego pana, teraz nabrała odwagi i podeszła do stojącego przy szafie chorążego.

Obwąchała uważnie jego buty nie wykazując dalszego nim zainteresowania, ciekawie wysunęła nos w stronę otwartej szafy pełnej różnych ksiąg i teczek z dokumentami.

Jedną z nich nawet polizała.

- Psa trzyma się nasmyczy, obywatelu.

Powinniścieo tym wiedzieć, a do urzędów wogóle zwierząt wprowadzać nie wolno.

- Nic o tym nie wiedziałem.

Nie ma napisu na drzwiach posterunku.

- Napisu nie ma.

Ale jaktak każdy obywatel przychodziłby tutaj ze swoim koniem, krową czy świnia, to ładnie

144

wyglądałby posterunek milicji.

A jak już powiedziałem, Jabłoński u nas nie mieszka.

Kapitan przeprosił i skierował się ku wyjściu.
Suka beznamysłu za nim.

- Jednak nie Aza?

- zdziwił się kapral siedzący w pierwszym pokoju.

-Mógłbym przysiąc, że to ona.

Przecież codziennie przybiegała.

Sama sobie drzwi nawet umiała otworzyć.

Jak to niektóre psy są do siebie podobne.

Głowę bym dał.

- No, jak tam poszło?

- porucznik Linkowski podbiegł do wychodzącego z posterunku kapitana.

- Jeden do jednego!

- odpowiedział Stefan.

-Kapral przysięga, że to Aza, a kiedy chorąży zobaczył psa, to najpierw drgnął, jak gdyby się przestraszył, ale później ani słowa na ten temat.

Jeszcze mnie objechał, że dourzędu wchodzę z psem i nie trzymam go na smyczy.

Baba-Jaga potraktowała go jak zupełnie obcego człowieka.

- Nic nie rozumiem - wywiadowca nie umiał znaleźć odpowiedzi na zachowanie się psa.

-Pojedziemy do Piotra Salamuchy.

Bestia, suka Jana Matejaka, często tam przybiegała.

Zresztą Matejaki mieszkają w najbliższym sąsiedztwie.

Niedługo potem czarny mercedes zatrzymał się przed żywopłotem oddzielającym posiadłość Piotra Salamuchy od szosy.

Wszyscy wysiedli.

Kapitan chciał pójść do domu ogrodnika, ale zastanowiło go dziwne zachowanie się suki.

Baba-Jaga po opuszczeniu wozu rozejrzała się dokoła, obwąchała słupki, na których wisiały otwarte jak zwykle wrota i nie wchodząc do środka pobiegła wzdłuż żywopłotu.

W charakterystyczny sposób machała przy tym ogonem, jak to zwykle czynią psy biegające za znanym sobietropem.

-Baba-Jaga!

Baba-Jaga!

- zawołał kapitan.

Suka niechętnie przystanęła, ale nie wróciła do swojego pana.

- Trzeba jej założyć smycz, widocznie znalazł znajomy trop - zaproponował fachowo wywiadowca.

- Pójdziemy za nią.

Kapitan założył suce smycz, a zdjął kaganiec.

Baba-Jaga, maszerująca zawsze przylewej nodze, tym razem wydała

145.

""krótkie szczeknięcie i prawie biegiem rzuciła się naprzód.

Oficer musiał silnie trzymać rzemień, aby suka mu się niewyrwała.

Chwilami pies ciągnął, ile miał sił.

Ogon ciągle wykonywał szybkie, wahadloweruchy.

W ten sposób prawiebiegnąc wszyscy przebyli odcinek szosy wzdłuż żywopłotu.

Nagranicy gruntów Salamuchysuka skrzyła z autostrady do rowu, przebyła go i zaczęła z nieustającą energią ciągnąć kapitana wzdłuż siatki biegnącej pod kątemprostym do szosy.

Po jakichś stu metrach siatka skończyła się.

Napravo ciągnął się sad owocowo-warzywny ogrodnika, na lewo grunty orne jego sąsiada.

Z brzegu rosłyto, dalej od szosy - ziemniaki.

Idąc śladami suki trzejmężczyźni przebyli ponad 800 metrów.

Dalejgrunty PiotraSalamuchy biegły pagórkowato.

Zamiast dużych drzew jabłoni rósłtu nowy sad.

Drzewkami były najwyżej pięć lat.

Rzędy moreliprzeplatały sięz brzoskwiniami.

Od szczytu pagórka, widocznie dlaochrony delikatnych południowych drzewprzedśniegiemi zawieją, ogrodnik znowu posadził żywopłot.

W czasie minionej, ostrej zimy część żywopłotu wyginęła, bo pozostały właściwie tylkociągające się na dłuższejprzeźstrzeni, oddalone od siebie o kilka metrów, małe wysepki krzewów.

Baba-Jaganieco zwolniła, jak gdyby namyślając się, jaką drogęwybrać.

Spuściła nos do ziemi, uporczywieczegoś szukała i pobięła dalej.

Wyminęłakilkanaście kępekkrzaków, podbiegła do jednej z nich, obeszląją dokołausiadła po zewnętrznej stronie granicy gruntów badylarza.

Niezmiernie z siebie zadowolona wydała krótkiszczek, pomachała ogonem i położywszy się wysunęła duży, czerwonyjęzor.

Znak, że jestzmęczona biegiem z tymdwukrotnie od siebie cięższym człowiekiem na drugimkońcu sznurka.

- Co ten pies z nami wyprawia!

- sapałporucznik Linkowski, który niski i dość tęgi pozostał mocno z tyłu.

-A teraz bydlę położyło się, ogonem machai zadowolonez siebie.

- Ona miała jakiś cel w tym, żeby nas tutajprzyprować - twierdził wywiadowca.

146

- Alejaki?

- dziwił się kapitan.

- Przeszukajmy te krzaki.

Może coś w nich znajdziemy.

Mimo bardzoshczegółowego przetrząsania kępki krzaków, a także dwóch pobliskich, milicjanci niczego nieznaleźli.

- A panowie co tutaj robią?

Kapitan przerwał poszukiwania i obejrzał się.

Przed nią stała panna Elżbieta Salamucha.

Ubrana jak zwykle w dniu roboczym w stare, popielate spodnie, mocno miejscami przybrudzone, jakąś bluzkę i chusteczkę na głowie.

- Pracujemy niedaleko, okopujemy kalafiora i nagle widzę, że biegnie pies, a za nim kto?

Sam pan kapitan Stefan Kowalczyk.

Z tyłu galopuje jeszcze dwóch panów - śmiała się dziewczyna.

- Czy milicja urządza jakieś mistrzostwa w biegach przełajowych, że panowie tak trenujecie?

- Jakiś pan podobna Baba-Jaga?

- zapytał kapitan przed przedstawieniem dziewczynie swoich kolegów.

- Ach, to ta suka z Janek Małych - domyśliła się dziewczyna.

- Bardzo podobna do Bestii, tylko większa i młodsza.

Bestia miała siwą brodę.

Tymczasem Baba-Jaga podeszła do Eli.

Pomachała ogonem i pozwoliła się pogłaskać.

Słowem, zachowywała się jak wobec znajomej.

Dopiero dzisiaj kapitan przekonał się, że suka, która zawsze wszystkich obszcze kiwała i zachowywała się wobec każdego z przychodzących na Raszyńską z dużą rezerwą, potrafi w inny sposób witać znajomych sobie ludzi.

Ale skąd Elżbieta знаła tę sukę?

Czy czasem nie skłamała mówiąc, że Baba-Jaga nie jest Bestią?

Rzekomo zaginioną suką Jana Matejaka?

Może jednak Ela darzy uczuciem chłopaka i chce go osłonić?

- Co panowie tutaj robicie?

- ponownie zapytała dziewczyna.

- Byliśmy w Nadarzynie i chcieliśmy wstąpić do państwa.

Tymczasem suka zaczęła tak się zachowywać, jak gdyby była na tropie i przyciągnęła nas w te krzaki.

- To szczęśliwie się złożyło, bo w domu nikogo nie ma.

Tylko ja zostałam na gospodarstwie.

Rodzice wraz z Zygmuntem pojechali do miasta.

Mama na zakupy, a ojciec podpisuje nowe umowy w Hortexie.

Wziął ze sobą również Janka Matejaka 147.

ka, żeby wprowadzić go do tej instytucji.

Matejakowie mogliby przecież produkować na eksport.

Ojciec bardzo ich do tego zachęca.

Bo ile czasu marnują codziennie na te jazdy na Zieleniak i wyczekiwanie z towarem na kupca!

- Akoledzy pana Zygmunta?

Pan Sowa i pan Nowaczyk

są może w pobliżu?

- Nie, Andrzej wyjechał wczoraj po południu i wraca jutro.

Zbyszek miał się na jutrzejszy dzień urwać z praktyki.

Obiecali ojcu, że naprawią mniejszy traktor.

Zepsuł się przed paru dniami i bardzo go nam brakuje przy pracach w ogrodzie.

Tymczasem Baba-Jaga parokrotnie podchodziła do kapitana iszturczała go zimnym nosem w rękę.

Po każdym takim zwróceniu uwagi swojego panasuka biegła do krzaków isiadała tam patrząc wyczekując na kapitana.

- Ona coś pokazuje - wywiadowca jako doświadczony przodownik psów milicyjnych zwrócił uwagę obydwu oficerów na dziwne zachowanie się psa.

- Spróbujmy wziąć ąznowu na linkę.

Suce założono smycz.

Baba-Jaga skierowała się w stronę oddalonych o parę set metrów zabudowań.

- Niestety, musimy się pożegnać - zauważył kapitan.

- Zaczynamy drugą część, jak pani mówi, treningu w biegach na przełaj.

Baba-Jaga jest wymagającym trenerem.

Porucznik Linkowski mógłby coś na ten temat powiedzieć.

Czyje to zabudowania?

- kapitan pokazał na gospodarstwo, przedmiot zainteresowań suki.

- To?

Matejaków!

- rzekła krótko dziewczyna.

Kapitanowi zdawało się, że mówiąc te słowa spochmurniała.

Czyżby coś ukrywała przed milicją?

Baba-Jaga ciągnęła, ile tylko sił.

Trójka mężczyzn zadyszała się porządnie.

Jednakże przed samymi zabudowaniami Matejaków pies skręcił nagle w lewo.

Ominął gospodarkę łukiem i zaciągnął swojego pana na autostradę.

Tuznowu chciał milicjantów wprowadzić w zboża rosnące podругiej stronie szosy.

- Nie ma sensu dalej wlec się za nią.

Ta suka wyraźniej robi z nas durni.

Pies wyzdrowiał i chęsobie trochę po 148

biegać, a my za nią jak zające przez bruzdy - denerwowała się porucznik.

- Wracajmy do auta.

Kapitan był tego samego zdania.

Szarpnął linkę suką, choć niezadowolona, zrezygnowała z dalszego tropienia urojonego śladu.

Posłusznie maszerowała przy nodze oficera do czekającego na nich mercedesa.

W Jankach Małych wywiadowca MO wysiadł, zaś samochód podjechał jeszcze paręset metrów, później zawrócił i ponownie zatrzymał się, lecz w pewnej odległości od drzewa, gdzie tak niedawno leżała drogocenna paczka.

Obaj oficerowie opuścili wóz.

Kapitan wziął na linkę Babę Jagę.

W tym czasie, gdy tak manewrowali samochodem na jezdni autostrady, wywiadowca umieścił pod drzewem za przystankiem PKStaką samą paczkę, jaką we wtorek 10 lipca położył tam Piotr Salamucha.

Teraz nie zawierała 300 000 złotych, ale miała identyczną wielkość i wagę, a nawet była owinięta wlnianą szmatką.

Baba-Jaga doskonale poznała miejsce.

Od razu naprzyła linkę.

Porucznik szpetnie zaklął, ale musiał nieborakrazem z kapitanem towarzyszyć psu.

Tak dobiegli do drzewa.

Suka rzuciła się do paczki.

Uważnie ją obwąchała i.

odeszła na bok.

- Weź - rozkazał kapitan.

Suka raz jeszcze przejechała nosem wzdłuż paczki i znowu jej nie ruszyła.

Patrzyła w oczy swojemu panu, machała ogonem, jak gdyby starając się coś mu wytłumaczyć, czego on nie rozumie - i odmawiała wzięcia pakietów zęby.

Kapitan podniósł paczkę i dał ją suce.

Ta bardzo niechętnie wzięła ją w pysk i podeszła do wywiadowcy.

Położyła mu pakiecik przy nogach.

- Wracajmy do Warszawy.

- rzekł zrezygnacją w głosie porucznik.

- Udała mi się ta wycieczka.

Nabiegałem się dzisiaj.

Całoroczną normę wyrobiłem.

Kochany piesek!

Jak to dba o kondycję fizyczną swojego pana.

Jeszcze kilka takich wyjazdów i Zimny będzie w niebezpieczeństwie.

Już widzę wielkie tytuły w prasie sportowej: "Nowa gwiazda lekkoatletyki - kapitan Stefan Kowalczyk bije rekord świata".

- Wydaje mi się, panie kapitanie - zauważył wywiadowca - że suka po prostu straciła pamięć.

Szok nerwowy po

strzale.

Spotyka się to często u ludzi, dlatego taki wypadek miałby się nie zdarzyć psu?
To jedyne logiczne wytłumaczenie zachowania się Baby-Jagi.

Może jej to przejdzie?

150

Rozdział XII :

BABA-JAGA LUBI PIĘĆSETKI

Powrócili do Warszawy i odstawili Babę-Jagę na Raszyńską.

Ponieważ kapitan Stefan Kowalczyk miał pilną sprawę do załatwienia u Ksawerowie, w Komendzie Głównej MO, poprosił porucznika Linkowskiego o przysługę.

Był to dzień "Matki Boskiej Pieniężnej" - 1 sierpnia.

Kapitan przypuszczał, że nie zdąży odebrać pensji i upoważnił przyjaciela do podjęcia swoich poborów.

Porucznik mieszkał w pobliżu Raszyńskiej, więc chętnie na to przystał i zapowiedział, że prosto z Sierakowskiego wstąpi do mieszkania kapitana.

Okolo godziny czwartej w mieszkaniu państwa Kowalczyków rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych.

Baba-Jaga ze straszliwym szczeniem pobiegła do przedpokoju.

Nie przeszkodziło to jej za chwilę łączyć się do porucznika.

Pani Anna poprosiła gościa do pokoju, mówiąc, że Stefan jest w łazience i przebiera się.

Czekając na kapitan porucznik wyjął pieniądze i położył je na stole.

Była tam kupka czerwonych stułotówek, kilkanaście dwudziestek i pięćdziesiątek, trochę bilonu oraz jedna pięćsetka.

Baba-Jaga, która nie spuszczała ślepi z porucznika, natychmiast podeszła do stołu i zaczęła.

obwąchiwać banknoty.

W pewnym momencie radośnie poruszyła ogonem.

Usiadła przed stołem, podniosła łapę pazurami zaczęła zagarniać pieniądze do siebie.

Gdy udało jej się wreszcie kupkę papierków dosunąć do krańca stołu, paru ruchami mordy zrzuciła wszystko na podłogę.

Zdziwiony zachowaniem się sukki porucznik Linkowski nie usiłował jej przeszkadzać w tych manipulacjach.

151.

Gdy więc kolorowe papierki wylądowały na podłodze, suka przesuwiała nad nimi swój łeb, jak gdyby oglądając poszczególne banknoty.

Zatrzymała się przy pięćsetzłotówce.

Pociągnęła nosem i pomachała ogonem.

Potem radośnie szczerknęła i pyskiem usiłowała podnieść leżący przed nią pieniądz.

Przychodziło jej to z trudem, bo banknot był zupełnie nowy i płasko przylegał do podłogi.

Wreszcie udało się.

Z pięćsetką w pysku Baba-Jaga pobiegła do drzwi łazienki.

Nadrapanie suki Stefan otworzył drzwi.

Baba-Jaga wielce ze siebie zadowolona podała zdumionemu oficerowi pięćset złotych.

Porucznik opowiedział przyjacielowi, jak niezwykle zachowywała się jego suka.

- Ciekawe - zauważył kapitan.

- Wiesz, zrobimy małe doświadczenie.

Schowamy parę banknotów i każemy sukceszukać.

Zobaczmy czy przyniesie.

Wziął z kupki pieniędzy, które tymczasem porucznik zdążył pozbierać z podłogi, dwie setki, jedną pięćdziesiątkę, jedną dwudziestkę, dołączył do tego pięćsetkę i wyszedł do drugiego pokoju, zamykając drzwi przed nosem suki.

Tam porozmieszczał pieniądze w różnych miejscach.

Jedne na krześle, kilka na podłodze, a pięćsetką na tapczanie.

- Baba-Jaga, szukaj!

- rozkazał suce po powrocie.

Suka wybiegła do drugiego pokoju.

Z nosem przyziemi odbyła całą drogę po śladach kapitana.

Chwyciła brązowy banknot w zęby i wróciła do swojego pana.

Powtórzono te doświadczenia, chowając pieniądze coraz to w innych miejscach.

Za każdym razem suka przynosiła pięćsetkę, nie reagując na inne pieniądze.

Gdy porucznik dołączył swoje dwie pięćsetki, Baba-Jaga szukała tak długo, aż odnalazła wszystkie trzy banknoty.

- Poznaje węchem.

Brązowa farba drukarska ma prawdopodobnie inny zapach niż banknoty czerwone, zielone lub niebieskie - stwierdził kapitan.

- Widocznie nasz przestępca tresował ją w odróżnieniu pięćsetek od innych pieniędzy.

152

- Teraz rozumiem, dlaczego kazał Piotrowi Salamuszeowi nanieść banknoty lnianą szmatką.

Przez papier lub przez gazetę pies nie wyczułby nikłego zapachu farby.

- Jasne jest, dlaczego dziś Baba-Jaga nie chciała wziąć do pyska paczki położonej pod drzewem.

Po prostu nie czuła tam woni pięćsetki, a nauczona jest przynosić tylko takie banknoty.

Wytresował ją dlatego, że dokońca nie był pewny, czy położymy pieniądze w paczce.

Gdyby były tam gazety, jak za pierwszym razem, suka obwąchałaby lniane zawiniątko i

pobiegła dalej.

Nawetnie zwrócilibyśmy na nią uwagi.

- Trzeba przyznać, że ten facet ma łeb nie od parady, potrafił się zaasekurować na wszystkie strony.

- A mimo to popełnił zasadniczy błąd.

Trafił sukę niew lewą, ale w prawą pierś.

Dlaczego?

Czuję, że w odpowiedzi na pytanie leży rozwiązanie zagadki.

- Wiesz, Stefan, wydajemy się, że musimy jutro pojechać do Janek Małych i powtórzyć doświadczenie z paczką.

Ale teraz włożymy tam czysty papier i z każdej strony po jednym banknot pięćsetzłotowym.

Gdy nazajutrz prowadzona na lince Baba-Jaga zbliżyła się do paczki, obwąchała ją starannie i chwyciła w zęby.

Linka naprężyła się gwałtownie.

Suka pociągnęła za sobą kapitana, przebiegła na skos szosę iskręciła w boczną drogę między zabudowaniami.

Tę samą, którą 10 lipca kapitan Kowalczyk tak przemysłniem swoje późniejsze utrapienie zastawił maszynowym szlabanem.

Tym razem oczywiście szlabanu nie było, bez żadnych więc przeszkód cała trójka: kapitan, porucznik i wywiadowca biegli za suką.

Podobnie jak wówczas Baba-Jaga szła z drogi na drogę.

Żyto było już skoszone i nic dzisiaj nie przeszkadzało w posuwaniu się za suką.

Nie mogłaim zresztą przecieć.

Do autostrady krakowskiej jest od Janek Małych w prostej linii między około półtora kilometra.

Trzej mężczyźni nie mogli narzekać: dzisiejsza porcja treningu była bodaj bardziej solidna niż wczorajsza.

Z szosy krakowskiej Baba-Jaga pociągnęła w boczną drogę do Łaszczek.

Biegła nią jeszcze około stu metrów.

aż do krzaka, pod którym znalazł ją ranną kapitan.

Niedaleko znajomego miejsca suka nagle stanęła.

Włos jej się zjeżył.

Rzuciła trzymaną w pysku paczkę i zawróciła.

Gdyby kapitan nie trzymał jej na smyczy, pies napewno by uciekł.

Zawrócili na autostradę.

Baba-Jaga długo jeszcze popiskiwała i drżała.

Ze strachu czy też ze zdenerwowania.

- Wracamy do auta - rzekł kapitan - i jedziemy do Salamuchów.

Powinniśmy tam zastać całe towarzystwo.

- Przypomniała sobie wypadek - zauważył wywiadowca.

- Powinna poznać również swojego pana.

Kapitan miał dobry pomysł.

- Czy ja jestem zając, że bym stale biegał po brzdach - sprzeciwiał się porucznik.

- Idź, Stefan, z suką do samochodu i niech tu kierowca po nas podjedzie.

Tchu wpiersiach nie mogę złapać.

Co za cholerne psisko.

Nie mogłato iść spokojnie?

Biegać jej się zachciewa!

- Proszę tutaj poczekać, a ja sprowadzę wóz - ofiarowała się wywiadowca.

Nie byłojednaktakiej potrzeby.

Kierowcą milicyjnej warszawy był ten sam sierżant, który we wtorek 10 lipca odwoził sukę do kliniki.

Gdy tylko ujrzał, że pies biegnie przez pola położone w trójkącie między widłami szosy krakowskiej i katowickiej, od razu się domyślił, gdzie należyszukać całej czwórki.

Toteż niedługo samochód zatrzymał się przed odpoczywającymi mężczyznami.

Podjechali pod ogród Piotra Salamuchy.

Kapitan założył suce kaganiec i wszedł z nią do willi.

Porucznik z wywiadowcą zostali przed domem.

U Salamuchów spożywano właśnie obiad.

Rodzinaw komplecie siedziałyza stołem.

Wraz z nimi Andrzej Nowaczyk i Zbigniew Sowa.

Baba-Jaga weszła do obcego domu jak zwykle niepewnie.

Poznawał się to po charakterystycznym ugięciu łap.

Suka stawała się mniejsza.

Uszymiała postawione do góry, łeb lekkospuszczony.

Ogon wyprężony, nieruchomy.

Na widok kapitana przerwano posiłek.

Gospodarz domu podniósł się:

154

- Co za niespodziewany imiły gość.

Dobrze pan trafił, kapitanie.

Elka, daj jeszcze jedno nakrycie.

Zje pan z nami.

Czym chata bogata.

- Jaki piękny pies - zawołał Andrzej Nowaczyk podchodząc z wyciągniętą ręką do Baby-Jagi.

Bez żadnego ostrzeżenia sukanagle skoczyła.

Gdybynie kaganiec, pokaleczyłabyAndrzejowi rękę.

Stało się totak szybko, że nie zdążył jej cofnąć.

Na szczęście skończyło sięjedynie na uderzeniu psim pyskiem.

Baba-Jagachciała ponowić atak, lecz kapitan uchwycił ją za kark.

- Nic się panu nie stało?

- spytałzaniepokojony.

-Tojuż drugi wypadek, że suka rzucasie na obcych, pragnących ją pogłaskać.

Przepraszam bardzo.

- Dobry pies.

Ma rację.

Trzeba ją jeszcze za to pochwalić.

Nic dziwnego, że sięzuciła.

Czuje drugą sukę.

Mojajest bardzo podobna.

Też owczar alzacki - przyjaciel Zygmunta Salamuchy nie był speszony tym incydem.

Baba-Jaga ciągle jeżyła się i głucho warczała.

Dopierona ostreupomnienie kapitana suka nieco się uspokoiłai położyła koło drzwi.

Tymczasemgościnnie pan domu zapraszał dostołu.

Kapitan wymawiał się tłumacząc, że niejest sam.

Są służbowo, w czwórce, samochodami tyłkowstąpił dowiedzieć się, czy nie zdarzyło się coś nowego.

- Chociaż kawy z ciastempanowie się napijecie - gospodarz był nieubłagany.

- My jużwłaściwie skończyliśmy, a kawę przyniesie nam Ela dogabinetu.

Nie chcę słyszeć o żadnych wykrętach.

Gdzie sąci panowie?

Zarazich poproszę.

TymczasemBaba-Jaga wstała inieufnie spoglądajacna Nowaczyka ruszyła na zwiady.

Najpierw podeszładodziewczyny.

Widocznie przypomniała sobie wczorajszespotkanie, bo zaczęła łasićsię machać ogonem.

Zaraz teżwzniuchała, że na stole są resztki mięsai kosteczki.

Usiadła więc przed Elą i podającjejobie łapy domagała sięprzysmaków.

- Ty żebraczko!

- strofował ją kapitan.

-Już po prośbiechodź!

A wstyd!

Ale Baba-Jaga uważała, że dla zdobycia smacznego kęska warto nawet narazić

się na wymówkę.
W dalszym cią-
155.

' gu służyła na dwóch łapach i przymilnie machała ogonem.
Otrzymałszy smakowity kąsek pobiegła z nim w kąt pokoju przy drzwiach.
Tam szybko schrupała kosteczkę i powróciła do stołu.
Teraz uznała widocznie, że od Eli niedostanie nic więcej, więc z kolei zaczęła przymilać się do Zbyszka Sowy.
Machała ogonem i popisывała się sztuką podawania obydwu łap naraz.

Wszyscy wstali od stołu.

Andrzej Nowaczyk zbliżył się do kapitana.

- Domyślam się, że to ta słynna suka, postrzelona naszoscie - powiedział cicho.

- A pan teraz jeździsz nią, aby poznała swojego dawnego właściciela, prawda?

Kapitan milczał.

Zaprzeczanie tak oczywistej prawdy byłoby głupotą.

Chłopiec widząc, że nikt nie stoi w pobliżu, dodał:

- Czy pan wie, że Matejakom zginęła suka, wilczyca?

Szkoda, że nigdy nie przyjrzałem się jejuważnie.

Ona również na mnie warczała.

Suki nie znoszą się wzajemnie.

Wystarczy zapach, żeby każda na mnie się rzuciła.

Sądzę, kapitanie, żeby było dobrze podskoczyć do sąsiadów i pod jakimkolwiek pretekstem zwabić Janka tutaj.

Panowie tymczasem będziecie pili kawę.

Chyba rozumiemy się?

- Ma pan rację.

Tak będzie z pewnością.

Mieliśmy zamiar wstąpić do Matejaków.

Andrzej Nowaczyk wyszedł.

Gdy przechodził koło drzwi, tam gdzie siedziała Baba-Jaga, suka podniosła głowę i groźnie zawarczała.

- Kapitanie, prosimy do nas - Salamucha wszedł do pokoju.

- Kawunia już się szykuje.

Gościnny pan domu wyciągnął jedną ze swoich starych nalewek i dotąd molestował gości, aż zgodzili się na wypicie "pod kawę".

Suka przyczłapała za kapitanem i położyła się w pobliżu drzwi.

Rozmowa zeszała, jak to bywa u ogrodników, nieodmiennie na temat złej pogody i padających deszczy.

Milicjanci pocieszali gospodarza, że sierpień będzie lepszy od ubiegłego miesiąca, a jesień według "stuletniego kalendarza" zapowiada się ciepłą i słoneczną.

156

- To już niczego nie zmieni.

Rolnicy będą mieli najwyżej nieco lepsze zbiory poplonów.

Może burak cukrowe na tym słońcu skorzystają.

Ogrodnicy jednak nie zbiorą nawet połowy tego, co w zeszłym sezonie.

Wczoraj Hortex zaproponował mi duże dostawy cebuli do Ghany.

Razemz Matejakami mogłem podjąć się dostarczenia niewielewięcej niż jednej trzeciej proponowanej ilości, mimo że cena była bardzozachęcająca.

No, jeszcze po jednym.

Nadrugą nogę.

Siedzącytwarzą do okna kapitan zauważył Jana Matejaka zbliżającego się do willi.

Trzymał on w ręku parę kluczy.

Wszedł do pokoju i rozejrzał się:

- Zygmunt!

- zawołał.

Baba-Jaga zerwała się z miejsca.

Spostrzegła obcegoipobiegła w jego stronę.

Matejak stał bez ruchu.

Suka obwąchała go i zaczęła się łąsić.

Janek pogłaskał psapo łbie.

Gdy zauważył, że w gabinecie jest pan domu, kapitani dwóch nieznanymu mężczyznm, uklonił się i rzekł:

- Jaka podobna domojej Bestii.

Żebyznalazł tego, co mi ją ukradł!

Policzylibyśmy się.

Tymczasem suka wróciła do kapitana ipołożyła się koło jego nóg.

Młody Matejakzapytał pana Piotra o Zygmunta, bowłaśnie przyniósł muklucze potrzebne do naprawytraktora.

Gdy dowiedział się, że chłopcy są w garażu, wyszedł.

Leżąca na podłodze suka ani drgnęła.

- Znowupudło - zauważył wywiadowca, gdy wracali do Warszawy.

- Suka łąsiła się zarówno do panny Eli, jak dotych dwóch młodych.

Jak imtam?

- Zbigniew Sowa iJan Matejak.

-Właśnie.

Taka zła, że nawet mnie nie da się pogłaskać, a donich macha ogonem.

Coś w tym jest, ale co?

- Jednakżeani w stosunku doSowy, ani do Matejaka niezachowywała się tak, jakby któryś z nich był jej dawnymwłaścicielem.

Witała ich, łąsiła się, ale nie widziałem u niej tej radości, z jakąpsy witają swoich dawnych właścicieli.

- A rzucała się na Nowaczyka.

Chłopak nie mógł przejść spokojnie, żebymunie pokazała zębów.

Miałem nosa, że założyłem jej kaganiec.

Ona bygo chybarozszarpała.

157.

- To zupełnie zrozumiałe - wyjaśnił wywiadowca.

-W szkole psów milicyjnych, gdy tylko przodownicy zagapili się, ich suki rzucały się na siebie.

Z psami nigdy nie było tylekramu.

Człowiek ledwie odwrócił głowę, a tu awantura.

A takie to byłozjadłe, odciągaliśmyza ogony, leliśmy wodę, aone jeszcze dosiebie zęby szczyrzyły.

UNowaczykapoczuła zapach jego suki, tochciała się na niegorzucić.

Ja jednak twierdzę, że Baba-Jaga straciła pamięćpodwpływem szoku.

- Przecieżdoskonale pamiętała drogę, jaką przebiegłaz paczką i wszystko, co zaszłopotem żywoplotem.

Miałabyzapomnieć jedynie swojego dawnegowłaściciela?

- Po ciężkich szokach u ludzi zdarzają się jeshcedziwniejsze wypadki całkowitego lubczęściowego zanikupamięci.

Czytałem, że ktoś po katastrofie samolotowejzapomniał o przeżyciach ostatnich dziesięciu lat swojegożycia.

Poznawał rodziców, a na żonę i dzieci patrzył jakna obcych.

- Jak do tej pory -zauważył kapitan - niewieleposunęliśmy się naprzód.

Nadal mamy pięciu podejrzanych, nikogo z nich nie można skreślić z naszej listy.

Ciągle niewiemy, czy Baba-Jaga jest dawną Azą czy Bestią.

To, comówią samipodejrzani, nie jest miarodajne.

Inni natomiast nie mogą z całą stanowczością potwierdzić tożsamości suki.

Nie pozostaje nic innego, jak obserwować całąpiątkę i szukać dalszych dowodów.

W parę godzin później do pokoju kapitanaKowalczykakoś zapukał.

W drzwiach stanął niewysoki mężczyzna.

Ongis jednaz najlepszych "much" w Polsce.

Obecnie trener bokserski Warszawskiego Klubu Sportowego "Gwardia", Jerzy Patora.

W ręku trzymałjakieś papiery.

- Kogo widzę?

Witammistrza.

Co pana do mnie sprowadza?

Proszę, bardzo proszę.

Patora wszedł i zajął miejsce naprzeciwko kapitana.

- Jak zwykle kłopoty, kapitanie.

Pracować dzisiajw sporcie, to lepiej tłuc kamienie.

158

- Nie jest tak źle!

Widzę, że garniturek nowy iza granicę się jeździ.

- Nie oto chodzi.

Robimy obóz przed jesiennymirozgrywkamiligi bokserskiej.

Już tydzieńbiegamza zwolnieniami z pracy dla moich podopiecznych ido kapitanaprzyszedłem w sprawie tego mojego boksioraka Golika.

O urlop dla niego natrzy tygodnie.

Do Jeleniej Góry.

- Z tym do mnie?

Do pułkownika.

Jeszcze tak nie urosłem, żebym mógł podejmować takie decyzje.

Pułkownik jest chyba u siebie w gabinecie.

Mogę zadzwonić.

- Dziękuję.

Z pułkownikiem rozmawiał i nasz sekretarz generalny, i przedtem pan Szajer.

Nic z tego niewyszło.

Pułkownik powiedział, że teraz urlopy i brakuje ludzi.

W końcu odesłał mnie do pana, ponieważ Golik jest w waszej dyspozycji i zgoda na jego zwolnienie zależy od kapitana.

- Przecież sami wiecie, że jest sierpień i kto mógł wyjechać, wyjechał.

Zostaliśmy z minimalnym aparatem.

A chcecie ludzi na obóz sportowy zabierać!

- Chociaż nadziesięć dni, kapitanie.

Na obozie mam wszystkich pod ręką.

Z treningu nikt nie może się wykręcić, że miał służbę albo źle się czuje, bo jest po służbie.

W Warszawie po prostu przyjdzie i co mu zrobisz?

Zawsze znajdzie wytłumaczenie.

Więc chociaż nadziesięć dni, żebym mógł trochę ich kondycję wyszlifować.

- Po co wam ten Golik?

Przecież to słabizna.

Nowicjusz.

W ogóle z waszym boksem krucho.

Wleczcie się na samymogonie w pierwszej lidze.

Zdaje się, że dłużej w niej nie zagrzejecie.

Trener zaczął się tłumaczyć złym kalendarzem rozgrywek, pechem i niesłusznymi werdyktami sędziowskimi nameczach wyjazdowych.

Jego zdaniem jednak sytuacja nie była jeszcze beznadziejna.

Właśnie ten trzytygodniowy obóz w Jeleniej Górze może dużo uratować.

- A Golik ma być ostatnim waszym ratunkiem - śmiało kapitan.

- Kapitan prawdę mówi, że to słabizna i nowicjusz, ale w lekkiej wadze akurat nikogo lepszego nie mamy.

Dłate-

159.

go musimy go koniecznie podciągnąć.

On nam bardziej potrzebny na obozie niż inni doświadczeni zawodnicy.

--Mnie on też potrzebny.

Mamy kłopotynawet ze służbąwartowniczą.

Przed miesiącem zwalnialiście go na całytydzień.

Potempojechaliście na mecz doŁodzi z tamtejszą"Gwardią" i Golik dostał podobno takie baty, że nie mógło własnych siłach zejść z ringu.

Chyba nic z tego zwolnienia nie będzie.

Nie mogę podpisać.

- Nie było tak źle, kapitanie.

Golik wprawdzie przegrał,ale tylko na punkty.

I to niezbyt wysoko.

Młody, niedoświadczony, a trafił na leworęcznego przeciwnika.

Ten bije inaczej i inaczej trafia.

- Leworęczny!

Mańkut!

Że też nie przyszło mi to do głowy!

- No właśnie.

Z mańkudem bardzo trudno walczyć -tłumaczył Jerzy Patora.

-Každy normalny człowiekmasilniejszą prawą rękę igłównie nią się posługuje.

Tak samo bokser.

Zadaje ciosy prawą.

Lewą stara się wychwytywać uderzeniazadawane prawą ręką przeciwnika.

Lewejmniejsię boi.

A z leworęcznym odwrotnie.

On chętnieji częściej bije lewicą, trafia nie tam,gdziespodziewa sięprzeciwnik.

Dlatego właśnie Golikprzegrał, bo.

Jamówię, a pan,kapitanie, nie słucha.

- Ależ słucham, słucham.

Leworęczny.

Bije na prawo.

Wszystkojasne, panie Jerzy.

- To dacie zwolnienie Golikowi, kapitanie?

-Zwolnienie?

Rzeczywiście.

Na ile?

Nasześć tygodni?

Dobrze.

Macie przy sobie blankiet?

Dajcie, podpiszę.

- Wystarczy na trzy tygodnie - Patora skwapliwiepodsunął kapitanowi papierek do podpisu.

- Bardzodziękuję.

Przepraszam, że zabrałem wam tyle czasu.

Widzę, że kapitan bardzo zajęty.

Pieczętkę przystawi panna Janeczka.

Trener uszczęśliwiony, że tak łatwo udało mu się załatwić sprawę, którą wszyscy w WKS "Gwardia" uważali za beznadziejną, szybko opuścił pokój.

Obawiał się, że kapitan może się jeszcze rozmyślić.

Pator byłby zadowolony ze zwolnienia Golika na dziesięć dni, a tu kapitan Kowalczyk sam zaproponował sześć tygodni.

160

- A to mi się udało - gratulował sobie w duchu trener, pragnąc jak najszybciej wynieść się z gmachu Komendy Wojewódzkiej, aby kapitan Kowalczyk w ostatniej chwili zmienił decyzję.

Ale kapitan siedział w swoim pokoju z tak zadowoloną miną, jak gdyby to nie trener, a on załatwił sprawę pomyślnie.

161.

Rozdział XIII:

BABA-JAGA ZNAJDUJE TROP

Przez parę dni nic się nie działo.

Kapitan Stefan Kowalczyk zajmował się w KWMO różnymi, na ogół błażymi sprawami, a tych nie brakowało jak zwykle, tym bardziej pod koniec lipca w "sezonie urlopowym".

Komendant wojewódzki kiedyś nawet zapytał:

- Jak tam sprawa Salamuchy?

Pamiętacie o swoim kwiecie w kasie?

Z finansowego już mnie pytali, co z tym fantem zrobić?

- Jeszcze trochę cierpliwości, pułkowniku.

Karty zostały rozdane.

Lada dzień zobaczymy, kto był tej grze waletem, a kto asem.

- Chorąży?

- Nie wiem.

Jeszcze nie wiem, ale będę wiedział.

Czekam na telefoni na jedną, chmurną noc.

- Nawet przede mną macie tajemnice - pułkownik powiedział to pół żartem, pół serio.

- Słowo honoru, żenie wiem.

Wiem tylko tyle, że szantażysta, który położył na biurku Piotra Salamuchy ostatni list z pogroźkami, znajdował się w gronie 12 osób obecnych na podwieczorku.

Był tam sam, względnie pomagał mu współpracownik.

Trzeba bowiem przyjąć, że szantażystą jest mężczyzna.

- Dlaczego nie kobieta albo młoda dziewczyna?

- Babę-Jagę tresował mężczyzna.

Ustaliliśmy to ponad wszelką wątpliwość.

Mieszkańcy Łaszczki parokrotnie widzieli mężczyznę szkolącego psa, a następnie poznali sukę jako wilczurę, który temu mężczyźnie przynosił ukryte w polu paczki.

Wykluczone, aby pies tresowany

162

przez jednego "przewodnika", specjalnie używam tu terminu stosowanego w służbie MO, spełniał później rozkazy innej osoby.

- Więc dobrze, niech będzie mężczyzna.

I co dalej?

- Z dwunastu podejrzanych wyeliminowaliśmy siedmiu.

Dzisiaj jestem pewny, że wszystkie dziewczęta, które były na podwieczorku u Salamuchów, nie mają nic wspólnego z całą aferą.

Ani o niej nie wiedziały, ani nie były niczym narzędziem.

Z listy podejrzanych skreśliłem następnie jeszcze czterech chłopców.

Dwóch: sympatie czy też narzeczonych tych dziewcząt, i dwóch kolegów z uczelni Elżbiety Salamuchy.

Zostało pięciu.

Najdalej w ciągu tygodnia dowiodę jednemu z tej piątki, że wymusił od ogrodnika

300 000 złotych.

- W ciągu tygodnia?

- Tak, najdalej w ciągu siedmiu dni.

Może nawet dzisiaj.

Dzisiejsza noc ma być ciemna i bezksiężycowa, a taka jest mi potrzebna.

Chciałbym zatem prosić obywatela pułkownika o podpisanie tego rozkazu - kapitan wyjął kopertę z urzędowym nadrukiem wysunawszy z niej kartkę papieru położył ją na biurku.

Komendant wojewódzki przebiegł tekst oczyma.

- Nic z tego nie rozumiem.

To bardzo dziwny rozkaz.

Pomyślał, że zwariowałem podpisując taką bzdurę.

A jeśli on odmówi wykonania tego żądania?

- Będzie znaczyło, że jest winien.

- To, co tutaj napisaliście, kapitanie, jest czystym nonsensem.

- Niechobywatel pułkownik jeszcze raz mi zaufa i podpisze.

Przecież dał mi pan 300 000 złotych, a ten papier jest chyba mniej wart?

- Co ja mam z wami - westchnął pułkownik, kładąc podpis na blankiecie.

Kapitan starannie schował rozkaz do kieszeni i służbowo zapytał, czy może się odmeldować.

- Tak jest!

- zezwolił pułkownik.

- Pamiętajcie jednak, kapitanie, że ryzykujecie coraz więcej.

- Ale wygram.

163.

- Gdy braliście pieniądze z kasy, również mówiliście, że wygracie.

Podawaliście nawet godzinę dostarczenia przestępcy.

- Wtedy się omyliłem.

Drugi raz nie będzie pomyłki.

- Nie radzę.

W waszym własnym interesie.

Upłynęły jednak jeszcze dwa dni, zanim na biurku kapitana zadzwonił telefon.

Po tej rozmowie oficernatychmiast poprosił o samochód służbowy i pojechał do miasta.

Wysiadł przy rogu Alei Jerozolimskich i Kruczej.

Odesłał samochód, a sam poszedł piechotą do pobliskiego "Gongu".

Tutaj czekała na niego Elżbieta Salamucha.

- Jak pani widzi, panno Elu, po telefonie stawiłem się możliwie jak najszybciej.

Dziewczyna spojrzała na zegarek.

- W każdym razie minęło dwadzieścia minut.

Walczyłam jak lwica, żeby nikt nie przysiadł się do stolika.

Oficer poprosił o herbatę wiedeńską, a gdy kelnerka odeszła, zapytał:

- Więc jak wyglądają nasze sprawy?

- Będą dzisiaj po południu.

- Wszyscy?

- Tak czarowałam, aby każdy uwierzył, że tylko dla niego organizuję tego brydza.

Z Jankiem Matejakiem i Zbyszkiem Sową nie byłoby wielkich kłopotów.

Każdy z nich przybiegnie, gdy tylko palcem kiwnę, ale z Bogdanem Wielgosem miałam trudności.

Martwiłam się, w jaki sposób wróci w nocy do Pruszkowa.

Obiecałam, że Zygmunt odwiezie go moskwiczem.

Andrzej Nowaczyk przyjechał jeszcze wczoraj i ma być u nas do poniedziałku.

Jak pan widzi, czwórka została skompletowana.

Ale dlaczego pan utak na tym zależało?

- Droga panno Elu, na razie nie mogę powiedzieć.

Proszę mi jednak wierzyć, że to bardzo ważne.

Może nawet decydujące dla całej sprawy.

- A wszystko omal nierozchwiało się w ostatniej chwili.

- Dlaczego?

- Zaniepokoił się kapitan.

- Gdy rodzice dowiedzieli się, że zaprosiłam chłopców, zrobili mi wymówkę.

"Roboty tyle, że rady sobie dać niemożna, dobrze, że Andrzej przyjechał trochę pomagać."

Lu164

dzi do pracy trudno wynajść, a tobie tylko zabawa w głowie.

"Ojciec kategorycznie zabronił i krzyczał, że jeżeli ktoś się zjawia, to "na mordę wyrzuci".

Dopiero gdy zaczęłam płakać i obiecałam, że codziennie o piątej rano wyjdę do pracy w

ogrodzie, trochę zmiękł.

W końcu mama wstawiła się zanną i tata pozwolił na to nieszczęsne spotkanie.

Ale oboje rodzice mają mnie teraz za wyrodną córkę.

- Bardzo mi przykro, że panią naraziłem.

Ale niemożliwym inaczej.

Tylko pani pomoc ułatwi rozwiązanie całej sprawy.

Przyrzekam, że rodzicom sam wytłumaczę.

Na pewno przestaną wówczas gniewać się na panią.

- Proszę się nie martwić.

Jeżeli ojciec nie udawał, a naprawdę się rozsierdził, to szybko muminie.

Mama wgruncierzeczy była zadowolona.

Szczególnie, że Janka zaprosiła.

Bardzo by jej odpowiadało.

połączenie dwóch ogrodów - śmiała się dziewczyna.

- To w porządku, bo przez chwilę miałem wyrzuty sumienia.

- A dalej co mam robić?

- Nic więcej.

Być miłą gospodynią dla swoich gości.

Dobrze się bawić.

No i oczywiście nie zdradzić się, że pani zemną rozmawiała.

Kiedy zjawię się w waszym domu, proszę udawać zaskoczoną i brać na serio wszystko, co będę mówił.

Nawet udawać przerażoną.

- A tam nie będzie nic groźnego?

- Mam nadzieję, że nie.

Na wszelki wypadek, mówię to pani w tajemnicy, poczynię pewne kroki zabezpieczające.

- Pan mnie i przeraża, i zaciekawia.

O której godzinie pan przyjedzie?

- Dopiero o zmierzchu, a może jeszcze później.

Niech pani w każdym razie zatrzyma wszystkich gości aż do mojego "niespodziewanego" przybycia.

Pani się śpieszy?

- Szczerze mówiąc, tak.

Trudno mi było wyrwać się z domu.

W tym roku urwanie głowy.

Cała praca spadła właściwie tylko na nas, panią Michasiową i państwa Walczaków.

Za żadne pieniądze nie można nikogo dostać do roboty w polu.

Czego się w porę nie zbierze, to zaraz zgnije.

To już nie nieurodzaj, a klęska.

Ogrodnicy wprowadzicie

\ na jednym stracą, a na drugim zarobią i zawsze jakoś tam.

wylądują, ale ze zbożem jest zupełnie źle.

Buraków dużo mniej, to samoz ziemniakami.

Czeka nas ciężki rok.

Więc, "kapitanie, do widzenia.

Do wieczora.

Chociaż w sierpniu o godzinie dziewiątej wieczorem jest jeszcze dość widno, ten dzień był pochmurny i zmierzchnął już na ziemię, gdy kapitan Stefan Kowalczyk wraz z Babą-Jagą skręcili z autostrady w stronę domu Piotra Salamuchy. Oficer niósł ciężką teczkę.

Baba-Jaga jak zwykle szorując pyskiem otrawę starała się pozbyć krępującego ją kagańca.

W domu ogrodnika świeciło się tylko w oknach jadalni.

Dochodząc do schodków kapitan zobaczył wewnątrz szóstkę młodzieży.

Czwórka, w tym również Ela, grała karty.

Zbyszek Sowa kibicował dziewczynie, a najstarszy syn budylniarza siedział natapczanie z wyraźnie znudzoną miną.

- Kto tam?

- zawołała Ela słysząc głośno otwieranych drzwi wejściowych.

Zamiast odpowiedzi do pokoju wsunęła się Baba-Jaga.

Z nastawionymi uszami podeszła do stołu nieufnie obwąchując obecnych.

Dziewczynie pomachała protekcjonalnie nogą, tradycyjnie już warknęła na Andrzeja Nowaczyka i zawróciła do holu, gdzie jej pan zdejmował płaszcz.

Panna Elżbieta przerwała grę i wyszła witać gościa.

- Co za niespodzianka!

Pan kapitan u nas o tak późno porze?

Jakie dobre bogipana sprowadzają?

Bardzo się cieszymy.

Proszę do jadalni.

Właśnie urządziliśmy sobie małą partyjkę brydza.

Nie można całymi dniami ścinać główek sałaty i pieścić rzodkiewek.

Zagra panz nami?

Kapitan przywitał się z obecnymi.

Swoją ciężką teczkę położył na tapczanie koło Zygmunta.

- Rodzice już się położyli.

Cały dzień pracowali, a wstają o świcie.

Ale jeżeli pan nie z wizytą, a tylko w jakiejś ważnej sprawie, to pójdę zawiadomić.

Na pewno jeszcze nie śpią.

- Nie ośmieliłbym się składać wizyt o tak późno porze do domu pracy - wyjaśniał oficer.

- Baba-Jaga, chodź do

166

mnie, zdejmę kaganiec.

Zanieś to do holu.

Sprowadziłamnie do państwa bardzo poważna sprawa.

Cieszę się, że zastałem tu prócz domowników jeszcze kilkunastu ludzi.

Mogą być bardzo potrzebni.

Rodzicom trzeba będzie ostrożnie o tym powiedzieć, aby ich zbytnio nie przestraszyć.

Może lepiej, że już się położyli.

- Co się stało?

- Zygmunt stracił nareszcie swój znudzony wyraz twarzy.

- Jest pan bardzo tajemniczy i bardzo nas pan zaciekawia - dodał Bogdan.

- Już służę wyjaśnieniami - kapitan usadowił się wygodnie na tapczanie.

Baba-Jaga umieszcza się w pobliżu, między nim a siedzącymi przy stole i nie spuszczała oczu ze swojego pana.

- Może filiżankę kawy?

- zaproponowała Ela.

- Jeszcze gorąca.

Przed chwilą parzona.

- Jak państwo zapewne czytali w prasie - zaczął kapitan popijając kawę - ostatnio bardzo wzrosła w tych stronach działalność bandytów.

Grasuje tu trzech niebezpiecznych opryszków, którzy wyspecjalizowali się w napadach na plebanie i stojące pojedynczo domostwa, z dala od innych.

Technika napadów zawsze jest ta sama.

Bandyci czekają, aż się ściemni, a w domu wszyscy położą się spać.

W lecie okna są otwarte.

Na parter łatwo się dostać.

Dwaj napastnicy wskakują do wewnątrz domu, trzeci zostaje na obstawie.

Po sterroryzowaniu domowników rabują, co się da.

Często gdy w obrabowanym domu znajdą motocykl lub samochód, uciekają nim ze swoim łupem.

- Mają broń?

- zagadnął Andrzej Nowaczyk.

- Tak!

Wszyscy są uzbrojeni.

Mają pistolety i chyb granaty.

Mówię "chyba", gdyż wiemy to jedynie z zeznań napadniętych, sterroryzowanych i przestraszonych ludzi.

W takich razach człowiek nie jest zdolny dobrze obserwować bandyty.

Nawet kawał drzewa można wziąć za rewolwer lub granat.

Bandyci dopuścili się pewnego razu chuligańskiego wybryku.

Napadli na pewną plebanie, gdzie zastali tylko ubogiego wikariusza.

Miał przysobie za ledwie dwieście złotych.

Rozdrażnieni brakiem łupu napastliwi.

nicy, pokazując księdzu granat, kazali mu uklęknąć, a głowę wsadzić w drzwiczki paleniska.

Byłoby przed paru tygodniami inaturalnie w piecu się paliło.

Następnie położyli wikaremu jakiś przedmiot na plecach mówiąc, że to odbezpieczony granat, który przy najmniejszym ruchu może spaść na podłogę i wybuchnąć.

Gdy bandyci biegli, gospodyni znalazła wikarego na pół żywego ze strachu.

Kłęczał z głową w piecu, a na jego plecach leżało.

zwykle kurze jajo.

Wszystyc się roześmieli, a kapitan ciągnął dalej:

- Nie ma w tym nic wesołego.

Każdy znałby się nabrać na taki "kawał".

Tym bardziej że parę razy napadymiały bardziej tragiczny finał.

Ludzie, którzy nie chcieli powiedzieć bandytom, gdzie przechowują pieniądze, lubnie dali się sterroryzować, zostali przez nich zastrzeleni.

Początkowo banda grasowała w Koszalińskim, później przeniosła się do województwa bydgoskiego.

Ponieważ tam robiło im się coraz ciasniej, za teren swoich operacji wybrali Warszawę.

Milionowe miasto daje możliwość łatwiejszego ukrycia się.

Ostatnio dokonali trzech rabunków w powiecie pruskowskim.

Za każdym razem ofiarą napadów byli bogaci ogrodnicy.

- To dla nas bardzo pocieszające - zauważył Zygmunt.

- Milicjanci tropią zbrodniarzy.

Mamy różne sposoby.

Nie będę tu o nich teraz mówić.

Dość, że z konfidenckich źródeł otrzymaliśmy wiadomość o przygotowaniu przez bandziorów nowej akcji w okolicach Nadarzyn.

Nie udało się nam ustalić, kto miał być ofiarą napadu, ale poczyniliśmy odpowiednie przygotowania i postanowiliśmy urządzić zasadzkę.

- Właśnie u nas?

- Ela była wyraźnie przerażona.

- Między innymi u państwa.

W Nadarzynie i kilku innych punktach skoncentrowaliśmy silne jednostki milicyjne z psami i samochodami.

W paru miejscach organizujemy zasadzki.

- Oby nie tylko z takim skutkiem jak wówczas, gdy chodziło o 300 000 złotych pana Salamuchy - złościwie zauważył Andrzej.

168

Kapitan puścił ten przytyk koło uszu.

- Są przypuszczenia, że bandyci wybiorą się właśnie tutaj.

Pan Salamucha uchodzi za najbogatszego plantatora w okolicy.

Ma dwa samochody, więc napastnicy mogą liczyć na środek lokomocji pozwalający potem szybko uciec.

A co do obłowienia się w tym domu, to chyba niemają wątpliwości, że wyjdą z pustym rękoma.

- Pan jest bardzo miły - stwierdził Zygmunt.

- Więc milicja ustaliła, że będziemy ofiarą napadu, a kapitan Kowalczyk przyjechał do nas, aby nas o tym osobiście zawiadomić.

Co za uprzejmość.

Czy nie lepiej jednak było przysłać kilku uzbrojonych milicjantów?

- Zygmunta wyraźnie zaniepokoiły wiadomości przyniesione przez kapitana, także stracił swoją zwykłą mrukliwość.

Po raz pierwszy kapitan usłyszał tyle słów wypowiedzianych naraz przez tego młodego człowieka.

- Nie, nie lepiej - odpowiedział Kowalczyk.

- Chcemy bowiem i was ochronić, i ująć bandytów.

Przyszedłem więc wieczorem i to nie szosą, tylko od strony ogrodu, żeby mnie nikt nie zauważył.

Ci bandyci to nie nowicjusze, tylko stare wygi w swoim fachu.

Wiedzą, że my na nich polujemy, zapewne też przeprowadzili własne "rozeznanie w terenie".

Dlatego przybyłem sam, a milicja dobrze ukryta zaczęła się w pobliżu.

- Kapitan uważa, że sam jeden wystarczy przeciwko trzem uzbrojonym, nie cofającym się przed niczym, bandytom?

- to pytanie zadał Andrzej Nowaczyk.

- Nie sam jeden.

Wraz z panami czterema mamy nad nimi przewagę, i ilościową, i momentu zaskoczenia.

Pozatym mamy Babę-Jagę, która nas uprzedzi o zbliżaniu się napastników.

- Świetnie - ironizował dalej Nowaczyk.

- Rzucimy się na nich z gołymi pięściami i znokautujemy.

Ela będzie wyliczała do dziesięciu.

Kapitan bez słowa otworzył teczkę.

Na granatowe obicie kanapy wysunęło się pięć pistoletów i rakieta.

- Dlaczego z gołymi pięściami?

Mamy broń.

Każdy z panów dostanie pistolet.

Ja swój służbowy mam w kieszeni.

169.

Gdybyśmy znaleźli się w krytycznej sytuacji, poprosimy pomoc umówionym sygnałem rakiety.

- A jak pan zamierza pokierować akcją?

- Jankowi Matejakowi zaczynał się podobać pomysł oficera milicji.

Będzie mógł popisać się bohaterstwem przed ukochaną, broniąc jej przedbandytami.

- Prosta rzecz.

Za paręminut zgasimy światło i będziemy czekali w ciemności.

Oczywiście milcząc, przez okna obserwując ogród.

Okna zostawimy otwarte tylko z tej strony domu.

W innych pokojach pozamykamy.

Da nam to pewność, że bandyci tędy spróbują dostać się do wnętrza.

Pies poczuje i usłyszy ich krok znacznie wcześniej od nas.

Gdy ich zobaczymy, od razu utworzymy ogień.

- Tak bez ostrzeżenia?

- Bez ostrzeżenia.

Na to nie ma czasu.

Tomordercy kilkunastu ludzi.

Nie cofną się przed niczym.

Nieprzelekną się też naszego okrzyku "ręce do góry".

Pierwsze strzały oddamy w górę.

Następne, gdyby banda się ostrzeliwała, prosto w nich.

Musimy działać szybko i zdecydowanie.

Chodzi o zmuszenie bandytów do ucieczki i zaalarmowanie naszej obstawy.

- To straszne - Ela była przerażona.

- Pani ma jeszcze jedną poważną misję.

Musi pani iść do rodziców i uprzedzić ich, żeby się nie przestraszyły strzałami.

Albo niech pani im powie, że przyjechałem i milicja urządza w pobliżu domu nocne ćwiczenia połączone ze strzelaniem.

- Ale potem wróć do was - zastrzegła Ela.

- Nie mogę tego pani zabronić, ale nie pozwolę zbliżyć się do kien.

Te stanowiska zajmą mężczyźni.

- Zawsze wy musicie mieć pierwszeństwo.

Rewolwerów przyniósł pantylko pięć.

O mnie pan nie pomyślał.

- Przeciwnie.

Myślałem o wszystkich, łącznie ze Staśkiem.

Dlatego przywoziłem aż pięć pistoletów.

Przecież niewiedziałem, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności prócz domowników zastaną tutaj także liczne grono.

Kapitan spojrzał na zegarek.

Dochodziła dziesiąta.

Nadworze zrobiło się, zupełnie ciemno.

170

- Musimy się szykować.

Panno Elu, niech pani idzie dorodzciców.

Ela opuściła jadalnię.

- Proszę panów.

Broń jest nabita i zabezpieczona.

O, ten rygielek trzeba przesunąć w dół - kapitan zademonstrował to na jednym z pistoletów.

- Każdy z panów masiedem kul w magazynku.

Umawiamy się, że najpierw oddamy w górę po trzystrzały szybko jeden po drugim.

Jeżeli bandyci rzucą się do ucieczki, biegniemy za nimi.

Nasygnął rakieta wracamy do domu.

Pan Zygmunt zajmie posterunek w holu, my tutaj przyoknach.

Staniemy przy framugach, aby nie stanowić celudla bandytów.

Więc namiejsca.

Gaszę światło.

Wróciła Ela.

Kapitan polecił jej szeptem, aby usiadła między oknami i nie odważyła się ruszać.

Siedzieli w milczeniu przeszło pół godziny.

Oczy powoli przyzwyczajały się dociemności.

Wśród nerwowego napięcia starano się wyłowić znikłych odgłosów dochodzących z sadu charakterystyczne kroki skradających się ludzi.

Baba-Jaga skrzyła się w kłębek idrzemała.

Nagle gdzieś w sadzie trzasnęła złamana gałązka.

Piesobudził się i bacznie nastawił uszu.

Wstał i zbliżył się dookna.

Sierść na karku jeżyła mu się, z gardła wydobywał cichy bulgot, jak gdyby ktoś gotował kartofle.

Szybkim ruchem kapitan położył dłoń na karku Baby-Jagi.

Pies umilkł, tylko uszy świadczyły, że nasłuchuje i coraz bardziej jest niespokojny.

- Idą - szepnął kapitan.

- Idą.

Już ich widzę.

Tam, między drzewami - odpowiedział również szeptem Jan Matejak, który widocznie miał najlepszy wzrok ze wszystkich obecnych.

Za chwilę pozostali również zauważyli trzech mężczyzn posuwających się ogrodem w kierunku domu.

- Ognia!

- krzyknął kapitan, a jednocześnie jego pistolet buchnął płomieniem.

Naten rozkaz wszyscy zaczęli strzelać.

Napastnicy odskoczyli od siebie.

Ich rewolwery także przemówiły.

Zachwilę trzech bandyci rzucili się do ucieczki.

171.

- Naprzód!

Gonić ich!

- krzyknął kapitan wyskakując, na dwór.

' Cała piątka wybiegła za nim.

Znowurozległa się strzelanina.

W pewnym momencie pomarańczowa rakietka poszybowała w powietrze.

- Wracamy!

- zakomenderował kapitan.

- Dalej nie ma sensu ich ścigać.

Na znak rakietki ruszyła obława.

Baba Jaga, noga!

Wrócili dojadalni.

Gdy kapitan zapalił światło, prócz Elizy i najmłodszego syna, Stasia, oboje Salamuchowie, mocno wystraszeni, i ich najmłodszy syn, Stasiek.

- Co się tu dzieje, panie kapitanie?

Ela mówiła, że milicja będzie miała ćwiczenia na szosie, ale strzelano chyba bliżej.

Tu pachnie spalenizną - pani Halina Salamuchowska wskazała chmurę błękitnego dymu unoszącą się jeszcze w pokoju.

- Teraz już wszystko w porządku - uspokajał ją oficer.

- Niech wszyscy siadają.

Poproszę o zwrot broni.

Już niepotrzebna.

Cała piątka oddała pistolety, które kapitan wrzucił do teczek.

- Huk był straszny.

Jak na wojnie - zauważył ogrodnik nie mniej przejęty od swojej małżonki.

- Nic dziwnego.

Strzelaliśmy ze ślepaków, a te są dużo głośniejsze od normalnych pocisków.

- Ze ślepaków?

Dlaczego?

- spytało kilka głosów.

- To był taki sobie mały eksperyment, który zresztą udał się znakomicie.

- Przecież strzelaliśmy do bandytów?

- Zbyszek Sowa, jak zresztą pozostali młodzi ludzie, był zaskoczony.

- Sam widziałem trzech napastników.

Ostrzeliwali się nam.

Kapitan uśmiechnął się lekko.

- Winien jestem państwu kilka słów wyjaśnienia.

Był to taka niewinna komedijka.

Żadna bandzie grasującej w pobliżu Nadarżyna, nikt też nie miał zamiaru dokonywać napadu na państwo Salamuchów.

Trzej funkcjonariusze milicji otrzymali polecenie, żeby punktualnie o godzinie 10 minut 40 podejść pod ten dom, strzelać pustymi

mi nabojami i rzucić się do ucieczki.

Pełnili, jak to się w milicji fachowo określa, rolę "pozorantów".

I jak samipaństwo widzieliście, zagrali jądoskonale.

- Po co?

- zdenerwował się Zygmunt.

- Żeby przestraszyć rodziców?

Ładnazabawa.

- Celem tej maskarady - powiedział spokojnie kapitan- było wyjaśnienie sprawyszantażu i ujęcie rabusia 300000 złotych.

Przypominacie sobie państwo ten podwieczorek urządzony tutaj w niedzielę trzy tygodnietemu?

Wtedy szantażysta podrzuciła biurko pana Salamuchy listprzypominający oterminie złożenia pieniędzy.

Przestępcamusiał więc znajdować się między nami.

Gości, nie licząc kolegów Stacha, było jedenastu.

Dwunastym, który również mógł położyć list na biurku, był chorąży Jan Kamiński, komendant miejscowego posterunku MO w Nadarzynie.

Tak więc za punkt wyjściowy śledztwa trzeba byłoznać listę dwunastu podejrzanych. Alejak z nich wyłowić prawdziwego przestępcę?

W milczeniu słuchano słów oficera.

-Od samego początku najbardziej podejrzany byłchorąży.

Jednakże przestępca nie zgłosił się po pieniądzeza pierwszym razem, gdy w kopercie był tylko pociętypapier.

Zrodziło się przeto przypuszczenie, że jest nim człowiek wiedzący o tym,cosię dzieje nakonciebankowympana Piotra.

To domniemanie zostało potwierdzone udanapróbaporwania pieniędzywówczas, gdybank w Pruszkowie wypłacił panu Salamusze 300 000 złotych w nowychbanknotach pięćsetzłotowych.

Pomimo licznejobstawyudało się przestępcy zagarnąć pieniądze.

Pomysł wytresowaniem psa i przysłaniem go po paczkę banknotów był,przyznaję, wręcz genialny.

Ale niema przestępstwa doskonałego.

Sprawca popełnił zasadniczy błąd.

Usiłowałzastrzelić Babę-Jagę.

Rozumował, że w ten sposób pozbędzie się żywego dowodu przestępstwa, a zostawił jeszczebardziej charakterystyczny ślad.

My równieżużyliśmy małego fortelu.

Pieniądze w paczce nie były banknotamipana Salamuchy.

Owszem, taksamo jak tamte były to nowe pięćsetki jak najbardziej autentyczne, tylko że z serii

dotychczas nie znajdującej się jeszcze w obiegu.

Banki, większe sklepy i instytucje finansowe zostały uprzedzone, że takie banknoty mogą się u nich pojawić.

Należało zatrzymać tego, kto będzie usiłował dokonać zapłaty tymi pieniędzmi.

Przestępca puścił w obieg trzy pięćsetki i przypasał.

Znowu proste tłumaczenie, dowiedział się komunikatu rozesłanego wszystkim bankom, a więc Narodowemu Bankowi Polskiemu w Pruszkowie, że seria jest znaczone i poszukiwana.

Spojrzenia powędrowały do Bogdana Wielgosa.

Młody urzędnik bankowy zrobił się najpierw czerwony na twarzy, a potem raptownie zbladł.

Drżącą ręką sięgnął do gardła, aby rozpiąć nagle zbyt ciasny kołnierzyk koszuli.

- Przysięgam, że nieja.

To jakiś straszny zbieg okoliczności.

Kapitan zrobił ręką gest, aby mu nie przerywano opowiadania.

- Mieliśmy więc dwa ślady, pieniądze ipsa, którego życie ocaliła natychmiastowa operacja przeprowadzona przez profesora weterynarii.

Pieniądze, jak zaznaczyłem, nie doprowadziły nas do bezpośredniego sprawcy.

Sądziłyśmy, że wskaże go Baba-Jaga, ale i tu spotkał nas zawód.

A właściwie niezawód, tylko nie mogliśmy zrozumieć suki.

Ona od początku wskazywała nam przestępcę.

Niestety, nie umiała tego powiedzieć ludzkim głosem.

Pozostała nam wywiad i dokładna inwigilacja całej dwunastki podejrzanych.

Dowiedzenie się przede wszystkim, kto z nich ma psa i jaki to pies.

Czy miał psa przed niedawnym czasem.

Czy się trudni i co robił w czasie napadu.

To doprowadziło do tego, że z naszej listy mogliśmy skreślić siedem nazwisk.

Pozostało jeszcze pięć.

Obecnych tu czterech panów chorąży Kamiński.

Właśnie dlatego urządziliśmy ten mały dzisiejszy eksperyment.

- Nadal nic nie rozumiem - powiedział Salamucha.

- Muszę nieco cofnąć się w czasie.

Gdy profesor skończył operować Babę-Jagę, stwierdził, że strzał byłby śmiertelny, gdyby przestępca trafił nie w prawą, lecz lewą pierś psa.

Profesor zadał wówczas pytanie: dlaczego on

174

strzelał w prawą stronę?

Gdy zawiodły i pieniądze, i Baba-Jaga, usiłowaliśmy odpowiedzieć na to pytanie.

Przecież nawet dziecko wie, że wszystkie ssaki mają serce po lewej stronie klatki piersiowej.

Dlaczego jednak zbrodniarz celował w prawą stronę psiej piersi?

- Dlaczego?

- zapytała Elżbieta.

- Dlatego, że był mańkutem!

Trzymając rewolwer w lewym ręku i stojąc naprzeciwko psa miał przed
lufą jego prawą pierś.

Normalny człowiek trafiłby z lewej strony wokół serca, mańkut nacisnął cyngiel i
zranił psa w okolicach prawej łopatki.

Piotr Salamucha zrobił palcem gest jak gdyby celował w żonę.

- Rzeczywiście, tak wypada, jak mówi pan kapitan.

- Leworęczność jest cechą dość pospolitą, ale ludzie niądoknięci wstydzą się
tego, jak mogą ukrywać.

W dzieciństwie są strofowani przez rodziców, aby posilkowali się lewą, a prawą
ręką.

Dlatego każdy prawie mańkut jest właściwie obojnakiem, władarównie biegle prawą
jak lewą ręką.

Z reguły je pisze prawą ręką, gdyż zmusza go do tego wychowanie.

Natomiast ma wrodzone predyspozycje psychiczne do posługiwania się lewą ręką.

Krótko mówiąc, gdy mańkut działa odruchowo, posługuje się lewą ręką.

Gdy zastanawia się, ukrywa swoją cechę i posługuje się prawicą.

Například gdy damy mu ołówek i kartkę papieru, będzie pisał normalnie, ale gdy
nagle rzucimy mu piłkę lub jabłko z okrzykiem "łap", to chwyci je lewą ręką.

Andrzej Nowaczyk demonstracyjnie ziewnął i mruknął:

- Chodźmy lepiej spać.

Nie interesuje mnie psychologiamañkutów.

- Jeszcze chwileczkę- uspokoił zebranych kapitan.

- Na mojej liście pięciu podejrzanych wszyscy mieli równą szansę na
głównego bohatera.

Każdy albo miał psa, i ten pies mu zginął, albo niemógł
wykazać się wiarygodnym alibi.

Jedynie pan Andrzej ma sukę podobną do Baby-Jagi.

Suka taży jej jest uniego w domu.

Żeby odkryć przestępcę, trzeba było stworzyć odpowiednie warunki, podobne do tych,
jakie miał przestępca, gdy pies przyniósł mu

pieniądze.

Wówczas musiał działać szybko i niewątpliwie był w wielkim napięciu nerwowym. Napad bandycki, moment, kiedy z ogrodu wyłoniły się trzy postacie podchodzące pod dom z bronią w ręku, stworzył podobną atmosferę.

Wtedy chwycił zabronił tą ręką, do której ma, jaktouczenie się nazywa, "większe predyspozycje psychiczne".

Jedynie ja byłem spokojny.

Wiedziałem, że to wszystko jest niewinną komedią.

Stałem, obserwowałem, kto chwyci pistolet w lewą rękę.

I dlatego, panie Andrzeju, uważam, że eksperyment się udał.

Już wiem, kto jest przestępcą.

Tym razem spojrzenia wszystkich skierowały się na Andrzeja Nowaczyka.

Siedział najbliżej drzwi.

Na ostatnie słowa oficera zerwał się z krzesła.

- Tak - powiedział.

- Toprawda.

Bardzo sprytnie panto wykombinował, ale popełnił mały błąd.

Jeszcze mnie pan nie ujął i nie ujmie.

W lewym ręku młodego człowieka błysnęła czarna stal pistoletu.

- Nie ruszać się!

Wszyscy ręce na kark!

Tak.

Dobrze - lufa pistoletu wędrowała kolejno po obecnych w pokoju.

Nowaczyk cofnął się o dwa kroki w stronę drzwi.

Miał zdecydowany wyraz twarzy i dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że w razie najmniejszej próby oporu zrobi użytek z trzymanej w ręku broni.

- Stać - powtórzył.

- To nie ślepaki, a w kieszeni mam zapasowy magazynek.

Wystarczy, żeby was wszystkich wybić co do jednego.

Psa chybiłem, ale tobie, draniu, zapłacę.

I za pieniądze, i za wszystko.

Lufa pistoletu powędrowała w stronę siedzącego na kanapie kapitana.

- Taki zdolny, wszystko przewidział, wszystko wie, a teraz rączki na karku i trzeba liczyć ostatnie sekundy życia.

- Andrzej!

- krzyknęła Ela zrywając się z miejsca.

- Stój!

Bo i ciebie zastrzelę - lufa znowu skierowała się w stronę dziewczyny, która zastygła w bezruchu.

Nagle coś wielkiego, czarnego, bez szmeru mignęło przed oczyma zebranych i runęło naprzestępcę.

Potężeszczęki Baby-Jagi zamknęły się na przegubie lewej ręki

176

Andrzeja.

On sam pod ciężarem prawie czterdziestu kilogramówspotęgowanych siłą skoku
runął na ziemię.

Padając, zdążył jeszcze nacisnąć spust pistoletu.

Strzał poszedłwsufit.

Rewolwer wyleciał z obezwładnionej ręki.

Tym razem Baba-Jaganie chybiła tropu.

Pierwszy zerwał się kapitan.

Doskoczył do leżącychi odciągnął sukę, która puściwszy rękę przestępcy
sięgałakłamido jego gardła.

Rozwścieczony pies niechciał tymrazem posłuchać swojego ukochanego pana.

Trzeba gobyłosiłą odrywać odAndrzeja.

Na odgłos strzału do pokoju wpadło trzech milicjantów.

Jednym z nich byłchorąży Jan Kamiński.

Podnieśli Nowaczyka oszołomionego nagłymupadkiem.

- Niech jeden z was skuje się z nim, aby nie uciekł -rozkazał kapitan.

- Nasza warszawa czeka na stacji obsługi w Jankach.

Zawieziecie go na Sierakowskiego.

Niechmu ktoś prowizorycznie opatrzy rękę.

Panie chorąży, proszę zadzwonić do Janek po samochód - kapitan mówiąc tociagle
trzymał za kark Babę-Jagę, która warczała, szczyrzyła zęby i chciała się wyrwać, aby
rzucić się na dawnego swojego właściciela.

- Baba-Jaga - dodał kapitan - odpoczątku starała sięnampokazać, że to właśnie
Andrzej Nowaczyk jest tym,który ją postrzelił.

Jeżyła sięnajejgo widok, nieraz musiałemją powstrzymywać.

Zręczność przestępcy, który jednego psa natychmiast zastąpił innym,zmyliła nas
przyprawadzeniu wywiadu.

A jednocześnie tłumaczyła niechęć Baby-Jagi do niego.

Rzuciała się naNowaczyka rzekomo dlatego, żezuła inną sukę.

Uwierzyliśmy w to tłumaczenie, nie uwierzyliśmy psu, który nie mógł nam
inaczejokazaćswojej nienawiści.

Błędnie przypuszczaliśmy, że sukabędzie się łąsić do dawnego pana i w ten sposób
go zdradzi.

- Za to dzisiaj spisała się chwacko, ocaliłapanu życie.

- Jesteśmy kwita- roześmiał się kapitan.

- Wszystko słyszeliśmy przez otwarte okna - wyjaśniłjeden z milicjantów.

- Trzymałem tego drania na muszczemojego pistoletu, ale bałem się strzelać, bo z tyłu,
na liniistrzału, znajdował się starszy pan.

Gdyby nie suka, to

177.

i tak użyłbym broni.

Bałem się, że on jednak naciśniesz pistoletu.

Baba-Jaga szybciej zareagowała.

Wrócił chorąży meldując, że auto już jedzie.

- Proszę, przeszukajcie pokój, w którym mieszkał tengagatek - polecił kapitan.

- Wcale nie dziwiłbym się, gdyby właśnie tam ukrył pieniądze.

Weźcie i jego na górę, żeby był świadkiem rewizji, i pana Zygmunta.

Jeszcze później powie, że podrzuciliśmy mubanknoty.

- Andrzej, Andrzej - szeptała pani Halina, ocierając łzy.

- Jestem tak zdenerwowana, że chyba wezmę waleriany.

Elu, daj mikrople, moje dziecko.

Stoją wszufladziestolika przy moim łóżku.

- Żeby to Andrzej!

Śmierci bym się prędzej spodziewał!

- panu Salamusze nie mogło pomieścić się w głowie, że szantażystą był jego ulubieniec.

- Andrzej Nowaczyk był stosunkowo mniej obciążony podejrzeniami od innych - wyjaśniał kapitan.

- Posiadanie drugiego psa stwarzało pozory, że właśnie on nie jest zamieszany w tę aferę.

Jednakże zostawiłem go naliście "pięciu", gdyż jako stały bywalec tego domu, ulubieniec obójga państwa i przyjaciel Zygmunta wiedział o wszystkim.

Również jego alibi - oczyszczenie sadu morelowego, położonego na krańcu ogrodu - było niesprawdzalne.

Stamtąd mógł niepostrzeżenie odejść na dwie lub trzy godziny, dojść do szosy krakowskiej, w odpowiednim momencie puścić psa i tą samą drogą wrócić.

Babę-Jagę przywiózł ze sobą rano z Warszawy i uwiązał za żywopłotem.

Pies był nauczony, że ma spokojnie siedzieć i czekać na powrót swojego pana.

W tej chwili z piętka zszedł chorąży.

Położył na stole mały pakunek w lnianej szmatce.

- Znaleźliśmy.

Nawet nie silił się, aby dobrze chować.

Był pewien, że w tym domu nikt nie będzie szukał.

Leżały na półce za jego książkami.

Kapitan przeliczył banknoty.

W paczce było 298 500 złotych.

Brakowało tylko trzech pięćsetek.

Pod dom podjechała Warszawa.

Milicjanci weszli do pokoju.

178

- Panie chorąży - powiedział kapitan - musi pan jednak pojechać z aresztowanym na Sierakowskiego.

Trzeba sporządzić oficjalny protokół.

Ja przyjadę za wami.

- Pan pułkownik dwa razy pytał przez radio, czy sprawca" ujęty i kto nim jest - zameldował jeden z wywiadowców.

-Czeka na odpowiedź.

- Odpowiedzcie komendantowi, że wszystko poszło dobrze.

Pieniądze odzyskane, przestępca aresztowany.

- Chodźmy - zakomenderował milicjant, który był skuty za rękę z Nowaczykiem.

-Andrzej!

- zawołał Zygmunt podchodząc do byłego przyjaciela.

W oczach przestępcy błysnęła nienawiść.

-Jeszcze wam zapłacę!

Wszystkim!

- powiedział twardo opuszczając pokój.

Warszawa odjechała.

W pokoju pozostali tylko domownicy, goście zaproszeni na brydża i Kowalczyk.

- Panie Zbyszku - kapitan wrócił się do Sowy- chciałbym, aby pan odpowiedział mi na jedno pytanie.

Skąd wziął pan 1500 złotych, którymi zapłacił pan za ubranie i ciuchach?

- To było we wtorek.

Właśnie 10 lipca.

Podniosłem książeczki PKO 1500 złotych.

Pamiętam, otrzymałem w kasie trzy nowiutkie pięćsetki.

Włożyłem je do książeczki i pojechałem do Nadarżyna.

Niestety, spóźniłem się na autobus i wsiałem do idącego w stronę Białobrzegów.

W Jankach wysiałem, aby złapać jakąś okazję.

Na stacji benzynowej stała warszawa, której właściciel zgodził się podwieźć mnie do celu, ale przedtem chciał napić się kawy.

Wstąpiłem razem z nim.

Bufetowa opowiadała wszystkim gościom o sensacji - obławie milicyjnej.

Doskonale znała szczegóły, ponieważ część milicjantów po nieudanej akcji wstąpiła do niej na oranżadę i nie robiła tajemnic z fiaska obstawy.

Bufetowa znała nawet hasła rozpoznawcze: "Wega", bo jeden z radioaparatów był w czasie akcji umieszczony w kawiarence.

We wtorek przenocowaliśmy państwa Salamuchów razem z Andrzejem i w środę rano wyjechałem do Warszawy po zakupy.

Nawet radziłem

179.

się Zygmunta i Andrzeja, jaki kupić garnitur, jasny czy ciemny.

- No tak, teraz rozumiem.

Korzystając z okazji Nowaczyk zamienił banknoty i podrzucił panu trzy pięćsetki z tamtej serii.

Niewiele brakowało, aby pan znalazł się w więzieniu.

Do pana Matejaka również mam małą prośbę.

Niech pan sprawdzi, bo milicja ma informacje, że jakiś mężczyzna podobny wyglądem do Nowaczyka umieścił w "schronisku" dla psów dwie suki, owczarki alzackie.

Prawdopodobnie jedną z nich jest pańska Bestia, a drugą Aza chorążego Kamińskiego.

Mężczyzna opłacił miesięczny pobyt psów, motywując tym, że wyjeżdża na urlop i nie ma z kim zostawić suk.

A teraz, panie Zygmuncie, pożycz mi pan chyba swój samochód.

Muszę natychmiast wracać na Sierakowskiego.

Po drodze odwożę pana Wielgosa i podrzucę do Warszawy pana Sowę.

A może pan sam chce prowadzić samochód?

- Za żadną cenę.

Jestem zbyt zdenerwowany.

Wpadłbym na pierwszy słup.

Przecież Andrzej to mój najlepszy przyjaciel.

Znamy się od małych dzieci.

I tenczłowiek.

- Zygmunt Salamucha nie dokończył zdania.

Za chwilę moskwicz podjechał pod dom.

Zygmunt wręczył kapitanowi klucz od stacyjki i umówił się z nim, że za jutro odbierze samochód na Raszyńskiej, gdzie oficer zostawi go przed swoim domem.

- Państwo będziecie jeszcze wzywani do prokuratury dla złożenia zeznań.

Proces odbędzie się w sądzie wojewódzkim dla województwa warszawskiego, ale czynności wstępne będzie prowadziła zapewne prokuratura powiatowa w Pruszkowie.

Do widzenia.

Jeszcze raz przepraszam za nocne hałasy.

Rodzina Salamuchów gorąco dziękowała kapitanowi za opiekę i za wykrycie sprawcy szantażu.

Wreszcie Kowalczyk zajął miejsce za kierownicą auta.

Z tyłu usiedli Wielgos i Sowa.

Na miejsce obok kierowcy wpackowała się Baba-Jaga.

- Baba-Jaga, a gdzie kaganiec?

- przypomniawszy sobie kapitan widząc psa bez jego zwykłej ozdoby.

- Przynieś swój "kapelusik".

180

Pies niechętnie wylazł z auta, pobiegł do holu po kaganiec.

Trzymając go w pysku suka usadowiła się obok kapitana.

Ten zatrzasnął drzwiczki i wóz ruszył.

Mimopóżnej pory, a było już dobrze po północy, pułkownik czekał w komendzie na kapitana.

- Mówiłem, że tym razem uda się - śmiało officer MO odbierając gratulacje od zwierzchnika.

- Musicie jednak przyznać, że mieliście doczynienia z nieprzeciętnym spryciarzem.

- Niewątpliwie.

To był bardzo zdolny człowiek.

Szkoda, że te zdolności skierował w niewłaściwym kierunku.

Rozgrywał nami partię tak, że nie powinno się go nawet podejrzewać.

A pomysł z psem, specjalnie wytresowanym dla odbioru łupu, był znakomity.

- A mimo to wpadł.

- Musiał wpaść.

Nie ma przestępstw doskonałych i niewykrywalnych.

Wcześniej czy później zawsze zostaną wyjaśnione.

- Kiedy zaczęliście go podejrzewać?

- Od początku wydawało mi się dziwne, że tylko przeciwko temu człowiekowi nie ma w zasadzie żadnych poszlak.

Gdy w kole najbliższych znajomych młodych Salamuchów ginęły psy, jedynie Nowaczyk miał sukę.

Kiedy nikt nie miał ustalonego alibi, tylko on pracował od świtu w sadzie.

To w końcu zaczynało nasuwać podejrzenia, że ten młody człowiek jest reżyserem dziwnych wypadków dziejących się pod Nadarzynem.

Ale aż do końca mojego podejrzenia były bardzo nikłe.

Opierały się przede wszystkim na słowach Bogdana Wielgosa, że to Nowaczyk zaprosił go na podwieczorek do Salamuchów.

Elżbietę wyjaśniła, że Wielgosi nigdy u nich nie był.

Znali się jedynie z banku.

Dziewczyna przypuszczała, że zjawił się bez zaproszenia.

Był jednak zaproszony i to przez Nowaczyka.

Nasunęło mi się wówczas przypuszczenie, że specjalnie udało się wrócić moją uwagę na urzędnika banku doskonale poinformowanego o stanie majątkowym bogatego badylarza.

Również chorąży Kamiński powiedział nam, że zjawił się wtedy przed domem Salamuchów, gdyż w przed 181.

dzień spotkał Nowaczyka i pytał go, czy w poniedziałek ogrodnik jedzie z towarem do Warszawy.

W odpowiedzi usłyszał, że najlepiej będzie, jeżeli w niedzielę gdzieś około szóstej po południu wstąpi do ogrodnika i ustali z nim godzinę wyjazdu.

Wszystko bowiem zależy od tego, czy uda się zerwać odpowiednią ilość woców, aby go odwieźć ciężarówką.

- A poszlaki przeciwko chorążemu?

- Dużo w tym było przypadku, który Nowaczyk umiał wykorzystać.

W domu Salamuchów traktowano go jak własnego syna.

Był ulubieńcem ogrodnika i jego żony, a jedynym przyjacielem i powiernikiem ich syna.

W tej sytuacji w odpowiednim momencie bardzo łatwo mógł skierować podejrzenia na chorążego.

Znał jego wołomińską historię, bo sprawa była głośna w miasteczku, gdy Kamińskiego karnie przeniesiono na stanowisko komendanta posterunku.

Nowaczyk mógł przypuszczać, że milicja pójdzie tym fałszywym śladem.

Później zρέcznie wplątał Wielgosa i dwóch pozostałych młodych ludzi.

Może liczył nie tylko na to, że aresztujemy i zrobimy sprawę niewinnemu, ale na jak największe zagmatwanie całej afery.

Przypuszczam, że w trakcie dalszego śledztwa uda nam się ustalić jego rolę w tajemniczym ginięciu psów zarówno domowego chorążego Kamińskiego, jak Matejaków.

Wyjaśniliśmy też, że chorąży nie posłał wyjętych ze ściany pocisków do ekspertyzy, gdyż były prawie całkowicie spłaszczone.

Zrobiło tym notatkę służbową, którą wraz z kulami przesłał do KPMO w Pruszkowie.

- A jak wyglądała sprawa psów Nowaczyka?

- Miał tylko jednego psa.

Właśnie Babę-Jagę, tę, która teraz leży na dywanicy jest wyraźnie niezadowolona, że nie śpi na swoim posłaniu w domu.

Tresował ją z góry obmyślając przestępstwo.

Potem doszedł do wniosku, że należy pozbyć się tego czworonożnego świadka i zastrzelić psa zaraz po przyniesieniu przez niego pieniędzy.

Ale słusznie rozumował, że brak psa będzie przeciwko niemu poszlaką.

Kupił więc podobną sukę i sprowadził do domu w dniu, w którym zabił Babę-Jagę po wyprawie po złote runo.

182

- To było bardzo dobre pociągnięcie.

- Jego wszystkie pociągnięcia były bardzo dobre i szczegółowo przemyślane.

Jedyny błąd tostrzał do Baby-Jagi.

Odruchowo użył lewej ręki i trafił w prawą pierś psa.

I tym zdradził się, że jest mańkutem.

Reszta podejrzanych była ludźmi praworęcznymi.

- Miałem tutaj wizytę chorążego Kamińskiego.

Oświadczył, że wobec podejrzenia go o popełnienie przestępstwa będzie musiał złożyć podanie o zwolnienie z milicji.

Uważa, że nie może dłużej u nas pracować, skoro potraktowaliśmy go jak potencjalnego bandytę.

Oczywiście wyrzuciłem go z drzwi razem z jego podaniem i kazałem wracać do Nadarzyna.

- Miałem rację prosząc pana pułkownika o skierowanie Kamińskiego do szkoły oficerskiej.

Tam go nauczą, że gdy zdarza się przestępstwo, nie ma ludzi niepodejrzanych, bezwzględnie na mundur i na ich stanowisko.

Rozumiem, że jest mu przykro, ale inaczej nie mogłem postąpić.

Musiałem i jego włączyć do grona poddawanych ostatniej próbie.

- Przecież Kamińskiego tam nie było.

Pozorował napad.

- W pokoju nie było, ale jeden z odkomenderowanych do Nadarzyna ludzi siedział obok chorążego i uważał, którą ręką Kamiński sięgnie po pistolet.

Strzelał z prawej.

- Byłby niemały kłopot, gdyby się okazało, że wśród tej piątki jest dwóch mańkutów.

- Tego się bałem.

Do ostatniego momentu właściwie niewiedziałem, kto z tych pięciu jest przestępcą. Dwóch leworęcznych przekreśliłoby całe doświadczenie.

A jak tam Nowaczyk?

- Spędza pierwszą w życiu noc w areszcie.

Lekarz opatrzył go, ma solidnie poharataną rękę.

Suka nie żałowała, że wzięła na nim dobry odwet.

Jutro odeśle się go do szpitala na prześwietlenie.

Trzeba sprawdzić, czy kości całe.

Poddano go przesłuchaniu wstępnemu, odmówił zeznań.

Ale to niema znaczenia.

Sprawa jest dostatecznie jasna i bezsporna.

- A co zrobimy z dowodem rzeczowym, Babą-Jagą?

Suka słysząc swoje imię wstała z dywanu, podeszła do kapitana i położyła swój piękny łeb na kolanach oficera.

183.

- Sądzę, że tym razem nie będziemy się trzymać "przepisów o przepadku i niszczeniu rzeczy służących do popełniania przestępstw" i o depozycie sądowym.

Zabierajcie się do domu.

Kapitan odetchnął ulgą.

184

Rozdział XIV:

HONOR BADYLARZA

Jak w lipcu, człowiek w wypłowiałym, przybrudzonym prochowcu szedł ulicą Sierakowskiego, nie zważając ani na deszcz, ani na kałużerozpryskujące się pod jego stopami.

Tedługie buty, które miał na nogach, szyldobry szewc, nie przepuszczały wilgoci.

Człowiek szedł spokojnym krokiem, bez pośpiechu.

Czapkę z daszkiem nasunął głęboko naczóło.

Nie rozglądał się.

Znał już drogę.

Gdy otworzył drzwi szarego domu przy ulicy Sierakowskiego, domu z napisem: Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej, dyżurny sierżant zapytał stereotypowo:

- Obywatel w jakiej sprawie?

Do kogo?

- Do komendanta wojewódzkiego.

- Obywatel ma wezwanie?

- Moje nazwisko Piotr Salamucha.

Pan pułkownik napewno mnie przyjmie.

Sierżant zadzwonił na górę.

Najpierw rozmawiał z sekretarką, a później samym komendantem.

Potem odłożył słuchawkę.

- Usiądźcie, obywatelu, w poczekalni.

Wywołały was.

Piotr Salamucha wszedł do sporego, wysokiego holu z kolumnami i usiadł na jednym ze stojących tutaj krzeseł.

Nie zdołał przejrzeć nawet pierwszej strony gazety, gdy podszedł do niego dyżurny milicjant.

- Obywatelu, pułkownik czeka.

Chodźcie z mną.

Za chwilę sekretarka, panna Janeczka, otwierała drzwi do gabinetu szefa.

185.

- Witajcie - pułkownik wskazał gościowi fotel przyokrągłym stoliku.

- Co panadomnie sprowadza?

Czyżby jakiś nowy szantaż?

"" - Przyniosłem, panie pułkowniku, pieniądze- Piotr Salamucha sięgnął do lewej górnej kieszeni marynarki, wyjął z niej sporych rozmiarów pakiet owinięty w gazetę i powoli go odpakowywał.

Spodzadrukowanego papieru wyłonił się gruby plik pięćsetek.

Pułkownik patrzył na to zdziwiony.

- To są te pieniądze.

Trzysta tysięcy złotych.

Wyjąłem je z banku, aby zapłacić temu łobuzowi.

- No to w porządku.

Ten, jakmówicie, łobuzjest podkluczem i nieprędko wyjdzie.

Pieniądze trzebaz powrotemodnieść do banku.

Piotr Salamucha pokręcił głową.

- To nie w porządku.

Ja jestemchłop i swój chłopskihonor mam.

Temu draniowi i tak miałbym zapłacić.

Gdybym raz dał pieniądze, żądałby więcej.

Znowu bym płacił.

W końcu nie wiem, czy nie strzeliłby do mnie lub do moich dzieci.

Tak jak strzelałdo swojego psa i tak jak chciałzastrzelić pana kapitana.

A co dopieniędzy.

Itakbymnie to kosztowało.

Moim zdaniem te 300 000 złotychwam się należą.

No nie?

Pułkownik zacząłsię śmiać.

- Bardzo cieszymy się, że udało namsię usunąć groźnego przestępcę bez rozlewu krwi.

A właściwie bez rozlewu krwi ludzkiej, bo psiej to się tam trochę polało.

Ale ładnie wyglądałoby społeczeństwo, gdyby milicja pracowałaz myślą o korzyściach materialnych lub za odszkodowanie.

Zabierzcie, panie Salamucha, swoje pieniądze.

A nagroda?

Kiedy będę przejeżdżał w pobliżu Nadarzyna, towstąpię na poziomki ześmietaną.

I zabiorę ze sobą kapitana Kowalczyka.

- Szczerymsercem zapraszamy.

Zawsze panowie będziecie najmiłszymi gośćmiw moim domu.

Ale tak nie może być.

Przecieżmieliścietyłe kosztów.

I samochody, i obstawa i radiostacja.

Kapitan Kowalczyk życiemryzykował, już niemówiąc o tym, że wziął z kasy pieniądze na własny podpis.

- Ale zato zdobył Babę-Jagę.

Jego i innych, którzy się wyróżnili w tej akcji, przedstawiłem do nagrody specjalnej generała komendanta MO i mam nadzieję, że tę nagrodę otrzymają. A że ryzykował życiem?

No cóż.

Kto decyduje się na służbę w milicji, musi nieraz ryzykować głową.

- Panie pułkowniku, jestem człowiekiem bogatym.

Niewstydzę się tych pieniędzy.

Dorobiłem się ich ciężką pracą własną i mojej rodziny.

Co należysz państwu, płacę wszystko co do grosza.

Mam spokojne sumienie.

Rozumiem, że milicja pilnuje porządku nie za pieniądze.

Ale tonie słuszne, żenie można odwdziżyć się za ocalenie życia i mienia.

Pułkownik uśmiechnął się słuchając wywodów badylarza.

- Jako szef milicji wojewódzkiej - powiedział - bardzo się cieszę, że sprawa skończyła się dla wszystkich pomyślnie.

Moim chłopcom udało się spełnić swój obowiązek.

Piotr Salamucha sięgnął poleżące na stole banknoty.

Zapakował je starannie w papier i schował do kieszeni.

Wstał z fotela.

- Więc trzymam pana pułkownika za słowo.

Te poziomki ze śmietaną dla pana komendanta będą nawet w zimie.

Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Ale my, badylarze, mamy swój honor i jesteśmy ludźmi upartymi.

Pan pułkownik powiedział przed chwilą, że wystąpił do generała o przyznanie nagrody specjalnej.

Ja też zwrócę się do komendanta głównego MO z prośbą o taką nagrodę specjalną i zadeklaruję, że pokryję jej wysokość.

Poproszę w swoim piśmie pana generała, żeby wysoko nagroził człowieka, który nie zawahał się poświęcić życia w walce z groźnym bandytą.

Nie byłbym Salamucha, gdybym tak nie postąpił.

Wielu ludzi marzy o własnych "czterech kółkach".

Wielu ciuła na tencel całymi latami grosz do grosza.

Jednym z tych entuzjastów "małej motoryzacji" był i kapitan Kowalczyk.

Nawet żonę potrafił zarazić tą pasją.

187.

Gdy więc pewnego dnia przed domem na ulicy Raszyńskiej, gdzie mieszka kapitan Kowalczyk, pojawił się grabny żółty trabant, zawistni - a tych nigdy nie brak - uśmiechali się znacząco i mówili: "z pensji tego nie kupił".

Bliscy i przyjaciele wiedzieli, że na ten mały samochódziki złożyły się całe lata różnych wyrzeczeń i wysoką nagrodą przyznano niedawno kapitanowi przez Komendę Główną MO „za wzorowe spełnienie obowiązku z narażeniem życia”.

Gdy kapitan otwiera drzwi swojego samochodu, Baba Jaga natychmiast wskazuje na siedzenie koło kierowcy.

Szyba obowiązkowo musi być opuszczona i pies wysuwając piękną, długą mordę uważnie obserwuje wszystko, co się dzieje na mijanych ulicach.

Czasem marszczy się gniewnie i przechodnie słyszą głęboki bas szczekającej Baby-Jagi.

Na pewno nieraz widzieliście na ulicach Warszawy jasnego trabanta z ręcznie wymijającym inną jazdą.

Jeżeli za kierownicą zauważycie szczupłą sylwetkę w popielatym mundurze, a w oknie ładnego psa, będziecie wiedzieli, że to właśnie kapitan Kowalczyk ze swoją Babą-Jagą.

Może jądał pochwycić innego, niebezpiecznego przestępcę?

KONIEC

Jerzy Edigey

Na ostrzu brzytwy

Dziwnie się układają nieraz losy człowieka.

Iluż to ludzi, dając przykład nieustraszonego męstwa, wychodziło obronną ręką z sytuacji, w której według wszelkich reguł powinni byli zginąć.

A jednak los ich ocalił, by w innej okoliczności po prostu zadrwić sobie z nich.

Mam przyjaciela, a właściwie miałem przyjaciela, który podczas powstania warszawskiego znalazł się aż trzykrotnie w budynkach trafionych bombami.

Wtedy prawie niknie wyszedł stamtąd żywy.

Memu druhowinie spadł włos z głowy, a w niecały rok później "na prostej drodze" w Łodzi na ulicy Piotrkowskiej, pośliznął się, upadł uderzając głową o płytę chodnika i już się nie podniósł.

Ja również przeżyłem bez najmniejszego szwanku wszystkie okropności trzydziestego dziewiątego roku, długie lata okupacji i całe piekło powstania warszawskiego.

Jeżeli nawet znalazłem się kiedyś w prawdziwym niebezpieczeństwie, to ani wówczas, ani dzisiaj zdaję sobie z tego sprawy.

Dopiero po wojnie, w małym, cichym miasteczku dolnośląskim dane mi było zajrzeć śmiertelnie w twarz.

Wtedy to moje życie dosłownie zawisło na ostrzu brzytwy.

A było to tak.

Maj tamtego roku był piękny i radosny.

Pracowałem w jednym z ministerstw - prawie wszystkie mieściły się w Warszawie, przy ulicy Wileńskiej, w gmachu dyrekcji kolejowej.

Pewnego dnia dostałem polecenie udania się do nieznanego mi zupełnie miasteczka

na Dolnym Śląsku - Bolesławca (Niemcy nazywali je: Bunzlau).
Najpierw sprawdziłem, gdzie "to" jest na starej polonijnej mapie.
Okazało się, że daleko za Wrocławiem.
O pociągach wiadomo było tylko tyle, że chodzą do Kuluszek.
Optymiści twierdzili, że można dojechać nawet do Częstochowy.

Ale o tym, jak się dalej jedzie do Wrocławia, kursowały już tylko legendy.
Za Wrocławiem rozciągał się "dzikizachód".

W Warszawie jedynie nieliczni szabrownicy znali tamte strony.

Tak więc pod koniec maja pomaszzerowałem pewnego słonecznego poranka "spacerkiem" z Pragi na Dworzec Zachodni, stamtąd bowiem miał rzekomo codziennie odchodzić pociąg do Kuluszek.

O takich drobiazgach jak biletynie było wówczas nawet mowy, a cóż dopiero o jakimkolwiek rozkładzie jazdy.

Potrzech godzinkach przechadzki dotarłem w okolice Dworca Zachodniego. Wśród morza gruzów, zerwanych szyn i porozbijanych wagonów stał ocalały biały mur.

Tuż obok niego biegła jedna zdatna do użytku nitka torów.

Pod parkanem stał tysięczny tłum.

Wszystkie głowy wrócone były na zachód.

Dyskutowano zawzięcie, czy pociąg do Kuluszek przybędzie tego dnia, czy nie.

W pewnej chwili tłum drgnął.

Rozległy się okrzyki:

- Idzie!

Idzie!

I rzeczywiście od strony Włoch toczył się powolutku pociąg.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu i przerażeniu zauważyłem, że był już tak pełny, iż nawet na dachach nie było skrawka wolnego miejsca.

Rozpoczął się szturm.

Ci z wewnątrz bronili się odpychając głowy i nogi.

i wyrzucając toboły podstępnie pakowane przez okna.

Wrzaski i przekleństwa słyhaćbyłychoyba w promieniu paru kilometrów.

Przyłączyłem się do grupy forsującej jakiś brek i drogę na dach.

W końcu udało mi się postawić stopę na żelaznej drabince.

Jedną ręką obejmowałem nogę jakiegoś jegomościa przede mną, druga rozpaczliwie szukała oparcia raz po raz spoczywając na wielkim słomkowym kapeluszu paniusi zama.

Pociąg powstał "małe półgodzinki" i ruszył.

Była bodajdziewiąta rano.

Już pod wieczór dojechaliśmy do Kuluszek.

Wszyscy byli zachwyceni, że tak prędko.

Noc w zatłoczonej poczekalni nie należała do najprzyjemniejszych, ale inny nocleg był niemożliwy.

W każdej chwili mógł przyjechać pociąg do Częstochowy.

190

Nazajutrz pojechałem dalej.

Muszę bezstronnie przyznać, że jazda była prawie komfortowa: jechałem na dachu dużego towarowego wagonu.

Wprawdzie piękna dotychczas pogoda zepsuła się i padał deszcz, ale i tak ci zestopni i ci z buforów spoglądali na nas z niekłamaną zazdrością.

Za dwa dni byłem już we Wrocławiu.

Przeżen czas myłem się tylko jeden raz, ogoleniu naturalnie nie byłonawet mowy.

We Wrocławiu wszyscy gdzieś siępieszyli.

Chcieligdzieś jechać albowłaśnie skądś przyjechali.

Udało mi sięzłapać samochód ciężarowy, aby "na łebka" dojechać doLegnicy.

Tu utkwilem na prawie cały dzień.

Poprostu stałem na rogatcei bezskutecznieusiłowałem złapać wóz w moim kierunku.

Ponieważ wszystko ma swój koniec, więc i ja - poośmiodniowej podróży - rozbity, brudny i zamęczony prawie na śmierć, wylądowałem narynku w Bolesławcu.

Pierwszarzecz - coś zjeśći spać, spać, spać.

Miasteczko, choć zniszczone, budziło się jużdo nowego życia.

Tuż przy rynku był nawet hotel.

Jak wszystkiewóczas w tamtych stronach, nazywał się oczywiście "Piast".

Nazajutrz obudziłem się wspaniale wypoczęty i pełnysił.

Alę gdy spojrzałem w szczątek potłuczonego lustra naścianie, aż się przeraziłem.

Ujrzałem osobnika, który niewątpliwie zbiegł z więzienia.

Rzadki rudy zarostrosł kępkami na mojej brodzie.

Włosy również domagał się nożycyfryzjera.

Umyłem się, zszedłem na dół.

Z aprowizacją w mieście było nie najgorzej i właścicielka hotelu potraktowała mnieśniadaniem, którego niepowstydziłaby się żadnaz uważanych wówczas za najelegantsze knajp przy ulicy Targowej.

Nawet "Paloma".

Gdy sobie dobrzepodjadłem, humormi się poprawił.

Żeby tylko nie ta broda.

Co za pech, żezapomniałemżyletki!

- Czy tu jest w miasteczku fryzjer?

- zapytałem.

Właścicielka hotelu spojrzała na mnie jakoś dziwniei zamieniła parę nic nie znaczących słów ze swoim mężem.

191.

- Gdzie tu jest fryzjer?

- zapytałem jej męża.

- Co proszę?

-Czymacie fryzjera?

- Fryzjer?

No, tam jest - tu nieokreślonym ruchem pokazał w stronę drzwi wyjściowych na ulicę.

Widząc, że się niedogadam, wyszedłem z hotelu.

Ostatecznie Bolesławiec nie jest jakimś wielkim miastem.

Nie zabłądzą w nim i znajdę mistrza brzytwy bez cudzej pomocy.

Przedemną rozciągał się duży plac brukowany kostką granitową.

Na środku placu wznosił się okazały ratusz w stylu renesansu.

Przypominał nieco ratusz w Poznaniu.

Piastowski orzeł na szczycie wieży przetrwał szczęśliwiei hitlerowców, i wojenną zawieruchę.

Pod ratuszem gromadka dzieci grała w kukso.

Jakaś może dwunastoletniadziewczynkaszła przez rynek, niosąc dzbanek mleka.

- Panienczko, gdzie tu jest fryzjer?

- zapytałem.

Zdawało mi się, że w oczach dziewczynki mignął przelotny strach.

Popatrzyła na mnie nic nie mówiąc, wreszcie

wyjąkała:

- O tam, z tamtej strony ratusza.

Zadowolonyobszedłem budynek i rzeczywiście od razuzobaczyłem duży szyld fryzjera.

Z tej strony rynku rosły wielkie lipy, podktórymi urządzono coś wrodzaju targu.

Ot, po prostu miejscowiNiemcy handlowali z miejscowymi i przyjezdnymi Polakami.

Gdy stanąłem na małym ganeczku już miałem ująć zaklamkę,zadziwiła mnie nagła cisza.

Wrzaski targowiskaumilkły.

Cały tłum wpatrywał się we mnie.

"Straszę ludzi moją brodą" - pomyślałem i nacisnąłemklamkę.

Zakład fryzjerski urządzony był z ujmującą czystością.

Lustrai niklowe aparaty aż lśniły.

Na stoliczku stały świeżekwiaty.

Ażdziw, że taki miły, taki elegancki fryzjer znalazł się w takiejdziurze, jaką wówczas był, nikogo nieobrażając, Bolesławiec.

Na krześle pod oknem siedziała przyjemnie wyglądającai dośćprzystojna blondynka.

Coś robiła nadrutach.

Spojrzała na mnie z niesłychanym zdziwieniem, chociaż

192

widok nieogolonego i nieostrzyżonego człowieka w zakładzie fryzjerskim nie

jest przecież niczym nadzwyczajnym.

A jednak w spojrzeniu tej kobiety widziało się wyrzut, że znowu jakiś natręt przychodzi zakłócić jej spokój.

- Czy mogę się ogolić?

Czy jest fryzjer?

Pani jak gdyby nagle zbladła i znowu się zaczerwieniła.

- W tej chwili poproszę męża - powiedziała i znikła w drugim pokoju.

Usłyszałem jakieś szepty.

Kobięcy głos mówił żarliwie:

- Na litość boską, tylko się postaraj.

Pamiętaj, że możesz, pamiętaj, że musisz!

Po chwili wyszedł w niepokałanie białym kitlu sammistrz.

- Pan chce się ogolić?

Proszę bardzo - okrągłym ruchem ręki wskazał mi jeden z trzech foteli.

Zająłem wskazanym miejscem.

Szeroki pędzel regularnie namydłał moje policzki.

Pod białą pianą mydła ginęły nieszczęsne rude kosmyki mojego zarostu.

Fryzjer krzątał się bezszelestnie, szybko i sprawnie.

Srebrna klinga jego brzytwy wprawnymi ruchami ręki spadała na skórzany pasek.

Po chwili, gdy mistrz uznał ją już za dostatecznie ostrą, dotknęła mojej szyi.

Czy zauważyliście, że każdy fryzjer inaczej goli?

Jedni zaczynają od lewego boczka, inni natomiast od prawego policzka.

Fryzjer z Bolesławca zaczął zupełnie inaczej.

Najpierw dotknął brzytwą miejsca zwanego jabłkiem Adama", chwileczkę przytrzymał ostrze na mojej grdyce i z uśmiechem rozpoczął golenie ciągnąc ostrze w górę aż do dolnej wargi.

To był naprawdę mistrz!

Człowieka tak znającego swój fach nie spotkałem nigdy w życiu.

Pod jego rękami miły w gruncie rzeczy zabieg golenia stał się prawdziwą przyjemnością.

Co za pewność ręki!

Ani jednego zacięcia, ani jednego błędu!

Ostrze brzytwy ślizgało się delikatnym ruchem po mojej twarzy.

W ciągu pięciu minut byłem ogolony.

Gdy chciałem płacić, fryzjer ku wielkiemu mojemu zdziwieniu odmówił przyjęcia pieniędzy.

- Bardzo panu dziękuję.

Pan i tak bardzo dużo dla mnie zrobił.

Całe życie będę pańskim dłużnikiem.

Nic nie rozumiejąc spojrzałem na panią z drutami.

Siedziała na swoim dawnym miejscu.

W jej twarzynie byłochybaani jednej kropli krwi, ale w jej oczach widziałemszczenie.

Bez słowa zerwała się i podbiegajacdo mężachwyciła go w ramiona.

Dom wariatów - pomyślałem wychodząc z zakładu.

Oniemiałem ze zdziwienia.

Przed gankiem zebrał sięspory tłum- wszyscy, którzy byli na targowisku, kiedywchodziłem do zakładu i chyba jeszcze dwa razy tyle mężczyzn i kobiet.

Na mójwidok rozległo się głośne "Aaa"!

Ktoś nawetzaczął klaskać.

Roztrąciłem tłum i wróciłem do hotelu.

- Ach, jak się cieszę!

- zawołała bufetowa.

A hotelarz od razu sięgnął do butelki i nalałdwie pełneangielki.

-Do końca życia nie wybaczyłbym sobie- zapewniałmnie.

Wszyscy obecni w knajpie gościechcieli pić ze mnąi koniecznie chcieli mi fundować.

Byłem dla nich bohaterem.

Tylkoniem wiedziałem ciągle dlaczego.

Dopiero wieczorem, kiedy już wszyscy mieliśmy dobrzew czubie, dowiedziałem się prawdy.

Fryzjer, który mnie golił, został w czasie okupacji zaaresztowany, był nieludzkio torturowany, późniejprzebywałw pobliskim obozie koncentracyjnym Gross Rosen.

Straszne przeżyciazachwiały jegopsychiką.

Niedawnodostałprzy goleniu ataku szału i podciął brzytwą gardło swojemuklientowi.

Lekarze go badali.

Był nawet na kuracji.

W końcu orzeczono, że jestzupełnie zdrowi że atak nie powtórzysię, jeżeli bez wypadku ogoli choć jednego klienta.

I właśnie ja byłem tymogolonym.

-Widzi pan -tłumaczyli mi później mieszkańcy Bolesławca - żal nam pana było bardzo, ale cóż,fryzjer jestwmiasteczku koniecznie potrzebny.

Pan sam rozumie?

A przecież zawsze to lepiej, jeżeli nieszczęście spotkaprzyjezdnego.

Nota redakcyjna

Powieść Jerzego Edigeya jest dwudziestą pozycją, która ukazuje się w Serii z Warszawą.

Po raz pierwszy powieść ukazała się w 1967 r.

w serii "Z jamnikiem" wydawnictwa Czytelnik.

Dodatkowo prezentujemy opowiadanie "Na ostrzu brzytwy", które miało pierwodruk w 1967 r.

w "Panoramie".

Pomysł wydawania serii z Warszawą zrodził się na spotkaniach Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd.

Dotąd wydaliśmy:

1. Helena Sekuła - "Tęczowy cocktail"
2. Helena Sekuła - "Kieliszek Bordeaux"
3. Helena Sekuła - "Wstęga Kaina"
4. Zygmunt Zeydler-Zborowski - "Czwarty klucz"
5. Piotr Kitrasiewicz - "Sherlock Holmes i koledzy"
6. Zygmunt Zeydler-Zborowski - "Nieudany urlop majora Downara"
7. Anna Kłodzińska - "Królowa Nocy"
8. Anna Kłodzińska - "Jak śmierć jest cicha"
9. Zygmunt Zeydler-Zborowski - "Za dużo kobiet"
10. Jerzy Edigey - "Uparty milicjant"
11. Jerzy Edigey - "Czek dla białego gangu"
12. Helena Sekuła - "Złoty blues"
13. Jerzy Edigey - "Niech pan zdejmie rękawiczki"
14. Anna Kłodzińska - "Malwersanci"
15. Anna Kłodzińska - "Złota bransoleta"
16. Jerzy Edigey - "Ostatnie życzenie Anny Teresy"
17. Jerzy Edigey - "Trzy płaskie klucze"
18. Anna Kłodzińska - "Błękitne okulary"
19. Emil Zorr (Zygmunt Zeydler-Zborowski) - "Sukces dr Gordona"

Zapraszamy wszystkich zainteresowanych do naszego grona.

Prowadzimy stronę internetową Klubu MOrd

www.ldubmord.com

oraz na Forum Mordu

www.klubmord.com

fora.

pl

Nasza inicjatywa ma charakter pasjonacki i skierowana jest do miłośników starych polskich kryminałów.

Pozdrawiam

Grzegorz Cielecki (prezes kl3wp)

prezes Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd

1.

(Wykaz książek Jerzego Edigeja)

1. Czekdla białego gangu (1963) Klub Srebrnego Klucza, (2010) Seria z
Warszawą

2. Mister MacAreck i jego business (1964) Jamnik

3. Trzy płaskie klucze (1965) Jamnik, (2010) Seriaz Warszawa

4. Sprawa Niteckiego (1966) Jamnik

5. Wagon pocztowy GM38552 (1966) Klub Srebrnego Klucza

6. Baba-Jaga gubitrop (1967) Jamnik

7. Umrzesz jak mężczyzna (1967) Klub Srebrnego Klucza

8. Elżbieta odchodzi (1968) Tukan

9. Przy podniesionej kurtynie (1968) Jamnik

10. Szkielet bez palców (1968) Ewa wzywa 07.

11. Pensjonatna Strandvagen (1969) Tukan

12. Człowiek zbliżną (1970) Klub Srebrnego Klucza

13. Strzały na rozstajnych drogach (1970) Jamnik

14. Zbrodnia w południe (1970) Klub Srebrnego Klucza

15. Żółta koperta (1970) Tukan

16. Błękitny szafir (1971) Jamnik

17. Jedna noc w Carltonie (1971) Tukan

18. Minerva-Palace-Hotel (1972) Tukan

19. Testament samobójcy (1972)

20. Gang i dziewczyna (1973) Ewa wzywa 07.

21. Śmierć czeka przedoknem (1973) Klub Srebrnego Klucza

22. Śmierć jubilera (1973) Jamnik

23. Diabeł przychodzi nocą (1974) Ewa wzywa 07.

24. Szklanka czystej wody (1974) Jamnik

25. Najgorszy jest poniedziałek (1975) Klub Srebrnego Klucza

26. Strzał na dansingu (1975) Czerwona Okładka

27. Walizka z milionami (1975) Jamnik

28. Dwie twarze Krystyny (1976) Jamnik

29. Dzieje jednego pistoletu (1976) Czerwona okładka

30. Tajemnica starego kościołka (1976) Ewa wzywa 07.

31. As trefl (1978) Ewa wzywa 07.

196

32. Nagła śmierć kibica (1978) Jamnik

33. Sprawadła jednego (1978) Czerwona Okładka

34. Alfabetyczny morderca (1981) Klub Srebrnego Klucza

35. Pomysł za siedem milionów (1982) Jamnik- 36.

Siedem papierosów "Maracho" (1982) Ewa wzywa 07.

37. Zdjęcie z profilu (1984) Tukan

38. Operacja "Wolfram" (1985) Tukan

39. Wycieczka ze Sztokholmu (1987) Tukan

40. Uparty milicjant (2010) Seria z Warszawa

41. Niechpan zdejmie rękawiczki (2010) Seriaz Warszawa

42. Ostatnie życzenie Anny Teresy (2010) Seriaz Warszawa
43. Morderca szuka drogi (2010) Kryminał.

Książki wydawnictwa "Wielki Sen
do nabycia na stronie internetowej
www.klubmord.

60mPierwsza seta

n

Pierwszy tom serii, w której dokonujemy przeglądu wszystkich polskich powieści kryminalnych, jakie ukazały się od roku 1945 do początku lat 90.

Staramy się zainteresować Czytelników gatunkiem.

Oferujemy ogromną różnorodność podejścia do tematu: są to teksty, które można uznać za klasyczne recenzje, są noty, luźne refleksje, analizy.

Jednych interesuje sposób popełnienia zbrodni, inni oglądają tło społeczno-obyczajowe, zagląдают do lokali gastronomicznych - każdy z Klubowiczów zмага się bowiem z gatunkiem na swój własny sposób.

"Serią po kryminałach"

czyli Katalog konesera kryminałów z PRL

Miłośnicy powieści kryminalnych z epoki PRL-u mieli do tej pory poważny problem z gromadzeniem ulubionych książek wydawanych w klasycznych seriach:

Klub Srebrnego Klucza, z Jamnikiem, Labirynt, Różowa Okładka oraz wielu innych, nie było bowiem żadnego wykazu czy katalogu, grupującego w kompleksowy sposób te bezcenne dla koneserów pozycje.

Nasz katalog wypełnia tę bolesną lukę informując, co, kiedy i w jakiej serii wydano, co z pewnością niejednemu ułatwi kompletowanie zbiorów.

Seria z Warszawą Helena Sekuła

"Tęczowy cocktail"

"Tęczowy cocktail" ukazał się po raz pierwszy w roku 1962 w legendarnej serii kryminalnej wydawnictwa Iskry - Klub Srebrnego Klucza.

Już w tej debiutanckiej powieści Heleny Sekuły można dostrzec wiele cech właściwych dla późniejszych dzieł pisarki.

Warto zwrócić uwagę przede wszystkim na wielowątkowość fabuły, nagłe zwroty akcji, a przede wszystkim galerię intrygujących, mocnych postaci kobiet.

Helena Sekuła

"Kieliszek Bordeaux"

"Kieliszek Bordeaux" może z powodzeniem uchodzić z "Tęczowym cocktailem" za dylogię.

Łączy te dzieła czas powstania, trunkowy tytuł oraz osoba śledczego - majora Korosza - jednego z najzdolniejszych oficerów dochodzeniowych Komendy Głównej Milicji".

Tym razem major Korosz musi odkryć, ktożto był łaskaw otruć tytułowym kieliszkiem wina, wzbogaconym o stosowną dawkę cyjanku potasu, niejakiego Igora Ordon - z zajęcia producenta ceramiki, z zamiłowania zaś hurtowego łamacza serc niewieścich.

Helena Sekuła

"Wstęga Kaina"

"Wstęga Kaina" to trzeci tytuł, który ukazuje się w Serii z Warszawy.

Napisana z epickim rozmachem, wypełniona wartką fabułą kryminalną i tchnącą wielkim światem, powieść Heleny Sekuły miała zostać opublikowana przez wydawnictwo Iskry w słynnej serii Klub Srebrnego Klucza.

Niestety, nie miała szczęścia.

Maszynopis zakwalifikowano do druku dopiero w roku 1990, kiedy seria przestawała istnieć.

Dotąd zatem "Wstęga Kaina" jest znana jedynie czytelnikom, którzy mieli szczęście zetknąć się z pierwodrukiem gazetowym.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

"Czwarty klucz"

Powieść kryminalna Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego "Czwarty klucz" nie miała dotąd wydania książkowego.

Była publikowana w odcinkach na łamach "Kurierza Polskiego" w roku 1981.

Miłośnicy twórczości tego autora pewno nie będą zawiedzeni.

Wielkie emocje i zazdrości kulminują morderstwem przy użyciu sztyletu.

Ginie piękna kobieta, a podejrzanych nie brakuje.

Brawurowe zwroty akcji, cięte dialogi oraz szczypta erotyki, to niezaprzeczalne atuty "Czwartego klucza".

Piotr Kitrasiewicz

"Sherlock Holmes i koledzy"

Książka Piotra Kitrasiewicza "Sherlock Holmesi koledzy" jest monografią o detektywach - począwszy od pierwszego, którego powołał do życia na kartach swoich powieści Edgar Allan Poe, poprzez wszystkich bardziej lub mniej znanych, aż po Jamesa Bonda.

Autor omawia wprawdzie tylko rdzennych detektywów z Zachodu, ale nie wątpimy, że prędzej czy później napisze monografię poświęconą kapitanowi Glebowi, porucznikowi Szczęsnemu, majorowi Downarowi, majorowi Koroszwii i innym tuzom rodzimych organów ścigania.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

"Nieudany urlop majora Downara"

Prawdziwy oficer milicji jest na służbie zawsze.

Jeżeli przebywa na urlopie, to też jest na służbie.

Może o tym nie wiedzieć, ale rychło się dowie.

Tak jest w przypadku majora Stefana Downara, któremu upragniony odpoczynek przerwał trup i to trup kobiety, znaleziony w sopockim pensjonacie, w którym Downar zamieszkał.

Prywatne uciechy muszą poczekać - Downar rzuca się w wir dochodzenia.

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego "Nieudany urlop majora Downara" nie miała dotąd książkowego wydania.

Była jedynie publikowana na łamach "Dziennika Łódzkiego" na przełomie 1968 i 1969 roku.

Anna Kłodzińska

"Królowa nocy

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej "Królowanocy" nie miała dotąd książkowego wydania.

Była jedynie publikowana na łamach "Dziennika Zachodniego" w roku 1971.

Dyrektor Derbach miał stosowne stanowisko, odpowiednią do niego żonę oraz perspektywę na awans.

Do pełni życiowego szczęścia brakowało mu tylko skoku w bok.

Gdy nadarzyła się ku temu okazja, poszedł w nią jak w dym.

Miał jednak pecha.

Rychło po zaznaniu cielesnych uciech dyrektor Derbach dostał propozycję nie do odrzucenia.

W zamian uzyskał obietnicę nierozpowszechniania pięknych zdjęć wiadomego rodzaju.

Anna Kłodzińska

"Jak śmierć jest cicha"

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej "Jak śmierć jest cicha" nie miała dotąd książkowego wydania.

Była jedynie publikowana na łamach "Ilustrowanego Kuriera Polskiego" w roku 1962.

Po Warszawie grasuje tajemniczy morderca.

Najpierw śmiertelnie strzały padają na Dworcu Warszawa Główna.

Potem akcja przenosi się na prawą stronę Wisły.

Kolejny trup na stacji Warszawa Wileńska.

Z kolei w wykopie na Mokotowie odkryto czyjeś zwłoki.

Czy coś łączy te trzy sytuacje?

Kapitan Szczęsny, jeden z asów Komendy Stołecznej Milicji, staje przed najtrudniejszym zadaniem w swej karierze.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

"Za dużo kobiet"

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego "Za dużo kobiet" nie miała dotąd książkowego wydania.

Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach "Kurierza Polskiego" w roku 1986.

Co łączy pracownika spółdzielni krawieckiej z estradową zansonistką, poza nagłą śmiercią?

Jakby dwóch trupów było mało, mamy jeszcze aferę szpiegowską oraz narkotykową.

Na okrasę zaś całych kobiet zaciemniających milicji drogę do prawdy.

Całe szczęście major Stachurski z kontrwywiadu to spec jakich mało.

Sprostaj każdemu wyzwaniu.

Jerzy Edigey

"Uparty milicjant"

Powieść Jerzego Edigeja "Uparty milicjant" nie miała dotąd książkowego wydania.

Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach "Głosu Pracy" w roku 1980.

Jak wynika z tytułu, ważną cechą dobrego milicjanta jest upór.

Czasem śledztwo może ciągnąć się latami.

Tak właśnie było w przypadku tajemniczego zaginięcia w Kętrzyńskim.

Mianowicie zawieruszył się pewien mężczyzna po weselu.

Milicja nie dała wiary sugestiom, jakoby zaginiony wyjechał w Kieleckie i tam zszedł z pola widzenia organów ścigania.

Latami trwa zмова milczenia w rodzinnej wsi.

Milicja jednak na wszystko znajdzie sposób.

Jerzy Edigey

"Czekdla białego gangu"

Warszawska aferacementowa zatacza coraz szersze kręgi.

Milicja wyłapała już prawie wszystkichi właśnie wtedy w Alei Szucha zostaje napadniętypracownik prokuratury.

Nieznany sprawcakra dni niezwykle cenny tom akt, do którego dołączony był czek na 80 tys.

dolarów - należność za opchniętynalewo transport szybko schnącego cementu 404.

Tę piekielnie trudną sprawę dostaje major Stanisław Krzyżewski.

Właśnie zakończył w Zambrowie sprawę pewnego kowala.

Afera cementowa to sprawa zupełnie innego kalibru.

Wygląda na niezły kopniak w górę.

Czy major sprostawyzwaniu?

Wznowienie pierwszej opublikowanej książkowopowieści Jerzego Edigeya - smakowita lektura nie tylko dla wielbicieli kryminałów, ale również dla miłośników Warszawy.

Helena Sekuła

"Złoty blues"

Major Stefan Korosznowu w akcji.

Tym razem asoficerów śledczych Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej musi zmierzyć się z gangiem przemytników i wyjaśnić co się stało z drogocenną kolia oraz kogo i dlaczego pchnięto nożem w portowej knajpie.

Oczywiście tam gdzie Korosz, tam i piękna, tajemnicza modelka.

Czyżby miała coś wspólnego z kryminalną aferą?

Legendarna powieść Heleny Sekuły "Złoty blues" po raz pierwszy ukazują się w formie książkowej.

Dotąd publikowana była jedynie w odcinkach na łamach "Kurierza Polskiego" w roku 1961.

Jerzy Edigey

"Niech pan zdejmie rękawiczki"

W peryferyjnej dzielnicy Warszawy grasuje morderca.

Pierwsza ofiara zostaje znaleziona w wannie, we własnym mieszkaniu.

Wkrótce giną kolejne dwie osoby.

Nic nie wskazuje na motywy rabunkowe.

Milicja rzuca na ten trudny dochodzeniowy odcinek majora Polakiewicza.

Wspierają dzielnicy Lipkowski.

Czy to wystarczy?

Legendarna powieść Jerzego Edigeya "Niech pan zdejmie rękawiczki" nie miała dotąd książkowego wydania.

Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach "Dziennika Zachodniego" w roku 1971.

Anna Kłodzińska

"Malwersant"

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej nie miała dotąd książkowego wydania. Tylko wytrawni znawcy kryminałów z PRL mogą znać wersję gazetową "Malwersantów".

Powieść drukowano w odcinkach na łamach "Kurierza Polskiego" w 1961 roku.

Pracownik zakładów garbarskich otrzymuje lukratywną, acz wiodącą ku bezprawiu propozycję: przejść z biura na produkcję i pomagać w tajnych machinacjach swoich szefów.

Przestępczy proceder nielegalnego handlu skórami wyprawdzany z zakładu kwitnie w najlepsze do chwili, kiedy tropem szajki krusza porucznik Kręglewski, podwładny legendarnego "Białego Kapitana", czyli kapitana Szczęsnego.

Anna Kłodzińska

"Złota bransoleta"

Kapitan Szczęsny musi tym razem rozwikłać zagadkę dwóch morderstw - jednego w sklepie komisowym, drugiego zaś w szpitalu.

Międzytymi dwiema sprawami, jak się okazuje, istnieje bardzo bliski związek.

Sprawca wydaje się zupełnie nieuchwytny.

Czyżby był to przestępca o wielu twarzach?

Wraz z kapitanem Szczęsnym i jego ludźmi przemierzamy ulice, lokale, placówki użyteczności publicznej oraz zakamarki Warszawy przełomu lat 50.

i 60.

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej "Złota bransoleta" została wydana w roku 1958 w serii Labirynti należy do wczesnego okresu twórczości autorki.

Dziś kryminał ten jest niemal nieosiągalny i po prostu trzeba było go wznowić.

Jerzy Edigey

"Ostatnie życzenie Anny Teresy"

Legendarna powieść Jerzego Edigeya, która nie miała dotąd książkowej edycji. Tylko wielcy pasjonaci kryminałów z PRL mogą znać ten tytuł, który był publikowany w odcinkach m.

in. na łamach "Kuriera Polskiego" w roku 1979.

Powieść z czasów schyłkowego Gierka należy do rzadko uprawianego w Polsce nurtu kryminału sądowego.

Nie tylko dlatego jednak warta jest dziś uwagi.

Uważny czytelnik znajdzie tu specyficzny koloryt epoki, dostrzeże wzmiankę o działającej do dziś w Warszawskiej kawiarni, a nawet pozna szczegółowo zawartość torebki pewnej damy.

Większość akcji rozgrywa się oczywiście na sali sądowej, a rozpatrywana sprawadotyczy szczególnego morderstwa.

Jerzy Edigey

"Trzy płaskie klucze"

Ze skarbca Powszechnego Banku Rzemiosła zniknęło 10 min zł.

Kto mógł dokonać tak zuchwałej kradzieży?

Czyżby ktoś z dyrekcji, dysponującej tytułowymi kluczami?

A może jakiś pracownik księgowości?

Kradzieży bowiem dokonano akurat w dniu zamykania bilansu miesięcznego i księgowi pili ostro.

Kapitan Piotr Jarkowski oraz porucznik Roman Widera stają przed najtrudniejszą w swej karierze sprawą.

Legendarna powieść Jerzego Edigeya "Trzy płaskie klucze", została wydana w roku 1965 i reprezentuje wczesny okres twórczości autora.

Kryminał ten jest cały czas marzeniem wielu miłośników powieści milicyjnej.

Cieszymy się, że możemy je spełnić.

Zdobycie bowiem egzemplarza pierwszego wydania graniczy z cudem.

Anna Kłodzińska

"Błękitne okulary"

Inżynier, księgowy, magazynier, referent i właściciel warsztatu samochodowego.

Cóż może łączyć przedstawicieli tak rozmaitych profesji?

Hazard, rzecz jasna.

Jeżeli jeszcze wspomnimy o tajemniczym zgonie młodego prawnika i tropie wiodącym do szulerni przy ul.

Nowogrodzkiej w Warszawie, to staje się jasne, że kapitan Szczęsny będzie miał ciężką sprawę do rozwikłania.

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej "Błękitne okulary" została wydana w roku 1965 w serii z Jamnikiem (były to piękne czasy Jamnika kolorowego).

Dziś kryminał ten jest niemal niemożliwy do zdobycia.

To kwestia nie tylko niskiego nakładu, ale i kiepskiego kleju używanego przez drukarnię.

Całe szczęście mamy wreszcie wznowienie.

Emil Zorr (Zygmunt Zeydler-Zborowski)

Sukces dr Gordona"

W Londynie zamordowano dyrektora sławnego cyrku.

Głównym podejrzanym jest poskramiacz dzikich zwierząt, Marvan, który od dawna miał z dyrektorem na pieńku.

W podejrzeniach utwierdza policję niezwykle ślady, znalezione przy zwłokach.

Scotland Yard prosi o pomoc sławnego londyńskiego psychiatrę, który znany jest z rozwiązywania niezwykle zagadek.

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego z 1948 roku napisana pod pseudonimem Emil Zorr nie miała dotąd książkowego wydania.

Drukowana była jedynie w prasie lokalnej - czasopiśmie "Naprzód" i "Głosie Pomorza".

Po 63 latach od chwili premiery trafia do rąk Czytelników pierwsze wydanie książkowe.

Wejdź na

www.klubmord.com

zgłoś akces do Klubu MOrd

i kupuj następne książki w Serii z Warszawy po cenie klubowej.

